

SARAH DESSSEN



ktoś taki
jak ty

Sarah Dessen

Ktoś taki jak ty

*Tłumaczenie:
Magdalena Słysz*

===LUIgTCVLIA5tAm9Pfk9SXxKaghtDHgMbUMzWjtILU4lRARjDm8GakQn
SCU=

Chciałabym bardzo podziękować mojej agentce literackiej, Leigh Feldman, oraz wydawcy, Sharyn November, za pomoc, poczucie humoru i determinację, aby ta książka ukazała się w druku. Jestem wam wdzięczna.

Tę książkę dedykuję Biance

Część I

Wielki Kanion

Rozdział 1

Scarlett Thomas jest moją przyjaciółką, odkąd sięga moja pamięć. Dlatego, kiedy zadzwoniła do mnie na Obóz Siostrzany, w najgorszym tygodniu mojego życia, zorientowałam się, że coś jest nie tak, jeszcze zanim mi o tym powiedziała. Poznałam to po głosie. Po prostu wiedziałam.

– Chodzi o Michaela – wyznała cicho. Na linii rozległy się trzaski. – Michaela Sherwooda.

– Co się stało?

Dyrektorka obozu, niejaka Ruth, kobieta o krótkich włosach, w klapkach ortopedycznych, niecierpliwie przestąpiła przede mną z nogi na nogę. Na Obozie Siostrzanym miałyśmy uciec od „presji społecznych”, żeby „doskonalić się jako kobiety”. Nie powinnyśmy odbierać telefonów. A już na pewno nie w środku nocy, w dzień powszedni, wstawszy z trzeszczącej polówki, przeszedłszy przez las do zbyt jasno oświetlonego pomieszczenia i wzięwszy w dłoń ciężką słuchawkę.

Scarlett westchnęła. Wydarzyło się coś złego.

– Co z nim? – pytałam dalej.

Dyrektorka tym razem przewróciła oczami, na pewno myśląc, że to nic ważnego.

– Nie żyje. – Scarlett mówiła bezbarwnym głosem, jakby odklepywała tabliczkę mnożenia.

W tle słyszałam jakieś brzęki i pluski.

– Nie żyje? – zapytałam.

Dyrektorka spojrzała na mnie nagle zaalarmowana. Odwróciłam się do niej plecami.

– Jak to się stało?

– Wypadek motocyklowy. Dziś po południu. Na Shortcrest potracił go samochód.

Znowu rozległ się plusk wody i dotarło do mnie, że Scarlett zmywa naczynia. Zawsze racjonalna, sprzątałaby w domu nawet podczas zagłady nuklearnej.

– Nie żyje – powtórzyłam i pokój nagle wydał mi się bardzo mały, ciasny, a gdy dyrektorka mnie objęła, wyrwałam się i odsunęłam. Wyobraziłam sobie Scarlett w obciętych džinsach i T-shircie, z włosami w kucyk, ramieniem przytrzymującą telefon przy uchu. – O Boże.

– No właśnie – odparła Scarlett i rozległo się dobiegające z odpływu gulgotanie wody. Nie płakała. – Właśnie.

Milczałyśmy całą wieczność, jedynym dźwiękiem na linii było brzęczenie. Chciałam przeniknąć przez kabel telefoniczny i wyjść po drugiej stronie, w kuchni,

obok niej. Michael Sherwood, nasz kolega, chłopak, którego kochała jedna z nas. Odszedł.

– Halley? -zapytała nagle łagodnie.

– Tak?

– Przyjedziesz do domu?

Wyjrzałam za okno w ciemność, patrząc na znajdujące się w dali jezioro, od którego powierzchni odbijał się blask księżyca. Był koniec sierpnia, koniec lata. Za tydzień rozpoczynał się rok szkolny; szłyśmy do przedostatniej klasy.

– Halley? – powtórzyła i zrozumiałam, że trudno jej było o to spytać. Nigdy wcześniej nie była tą, która potrzebowała pomocy.

– Czekaj na mnie – powiedziałam w tamtym jasnym pokoju, tej nocy, w której wszystko się zaczęło. – Już się zbieram.

Michael Alex Sherwood zginął 13 sierpnia o ósmej pięćdziesiąt pięć. Skręcał w lewo, z Shortcrest Drive w Morrisville Avenue, kiedy został potrącony przez biznesmena w bmw, tak że spadł z motocykla i przeleciał sześć metrów; jeździł nim zaledwie od czerwca. W gazecie napisano, że śmierć nastąpiła wskutek uderzenia i że z maszyny nic nie zostało. To nie była jego wina. Miał szesnaście lat.

Był jedynym chłopakiem, którego Scarlett naprawdę kochała. Znałyśmy go obie od dzieciństwa, prawie tak długo jak jedna drugą. Lakeview, nasze przedmieście, obejmowało kilka ulic i ślepych zaułków odgraniczonych tylko drewnianymi słupami i wycinanymi ręcznie znakami, które obwiedziono żółtą farbą: „Witamy w Lakeview, wśród przyjaciół”. Jednego roku jacyś dowcipnicy ze szkoły średniej domalowali „nie” przed słowem „przyjaciele”, tak że hasło brzmiało: „Witamy w Lakeview, wśród nieprzyjaciół”, co mojemu ojcu wydawało się strasznie śmieszne. Tak go to bawiło, że matka zaczęła się zastanawiać, czy sam tego nie zrobił.

O specyfice Lakeview decydowało także nowe lotnisko, które znajdowało się w odległości pięciu kilometrów i oznaczało ciągłe starty i lądowania samolotów. To też się ojcu bardzo podobało; przez większość wieczorów siedział na ganku i patrzył z podnieceniem w niebo, gdy odległy ryk silników stawał się coraz głośniejszy, coraz bliższy i w górze pojawiał się biały nos maszyny, z błyskającymi światłami, tak potężny i donośny, że mógłby nas zmieść z powierzchni ziemi. Nasz sąsiad, pan Kramer, nabawił się od tego nadciśnienia, ale mój ojciec trwał w zachwycie. Dla mnie było to coś normalnego. Nie ruszało mnie, kiedy przelatywał samolot, nawet podczas snu, mimo że szyby w oknie drżały wraz z całym domem.

Pierwszy raz zobaczyłam Scarlett w dniu, w którym sprowadziła się z matką, Marion, do Lakeview. Miałam wtedy jedenaście lat. Siedziałam przy oknie i obserwowałam pracowników firmy przeprowadzkowej, kiedy nagle zauważyłam

dziewczynkę w moim wieku, o rudych włosach, w granatowych tenisówkach. Siedziała na schodach przed swoim nowym domem, przyglądając się wnoszeniu mebli, z łokciami na kolanach, brodą wspartą na rękach, w białych plastikowych okularach przeciwsłonecznych w kształcie serc. I zupełnie nie zwróciła na mnie uwagi, gdy do niej podeszłam, stanęłam w cieniu daszka i czekałam, żeby coś powiedziała. Nie umiałam nawiązywać znajomości; byłam nieśmiała i cicha, a do tego przeważnie wybierałam na koleżanki despotyczne dziewczynki, które rozstawiały mnie po kątach i doprowadzały do płaczu. W Lakeview, dzielnicy przyjaciół, było pełno małych wredot na różowych rowerkach, z lalkami Barbie w białych koszykach z kwiatowymi aplikacjami. Dotychczas nie miałam przyjaciółki.

Zbliżyłam się więc do tej nowej, widząc w jej okularach własne odbicie: biały T-shirt, granatowe szorty, sfatygowane trampki i różowe skarpetki. I czekałam, aż zacznie się ze mnie śmiać, każe mi odejść albo zignoruje mnie jak inne dziewczynki.

– Scarlett! – Kobięcy głos dał się słyszeć zza siatkowych drzwi, wyraźnie zmęczony i podenerwowany. – Co zrobiłam z moją książeczką czekową?!

Dziewczynka siedząca na stopniu odwróciła głowę.

– Leży na stole kuchennym! – zawołała czystym głosem. – W pudełku z dokumentami sprzedaży domu.

– W pudełku z dokumentami... – Dobiegł znowu tamten głos, nierówny, jakby jego właścicielka się przemieszczała. – Hm, kochanie, nie sądzę, żeby tu była. O, poczekaj. Jest! Znalazła się! – Kobieta triumfowała, jakby właśnie odkryła Przejście Północno-Zachodnie, o którym uczyliśmy się pod koniec roku szkolnego.

Dziewczynka odwróciła się z powrotem i spojrzała na mnie, jakby kręcąc głową. Pamiętam, wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że wydaje się starsza, niż wskazywałby jej wiek, starsza ode mnie. I poczułam się znowu jak w obecności jednej z wredot na różowym rowerze.

– Cześć – powiedziała nagle, gdy już zamierzałam się odwrócić i pobiec do domu. – Nazywam się Scarlett.

– A ja Halley – odparłam, starając się mówić śmiało, tak jak ona. Nigdy nie miałam koleżanki o niezwykłym imieniu; dziewczynki w mojej klasie miały na imię Lisa, Tammy, Caroline, Kimberley. – Mieszkam tam. – Wskazałam na drugą stronę ulicy, wprost na okno swojego pokoju.

Kiwnęła głową, po czym wzięła torebkę i przesunęła się na stopniu, omiatając go ręką i zostawiając akurat tyle miejsca, żeby zmieściła się na nim osoba mniej więcej jej rozmiarów. Spojrzała na mnie z uśmiechem, więc przecięłam niewielką połąć spalonej słońcem trawy i usiadłam przy niej, zwracając się w stronę swojego domu. Nie od razu zaczęliśmy rozmawiać, ale to było w porządku; na rozmowy miałyśmy jeszcze całe życie. Po prostu siedziałam przy

niej, patrząc wzdłuż ulicy na nasz dom, garaż, ojca wjeżdżającego kosiarką między różane krzewy. Na to wszystko, co stanowiło moje życie. Ale teraz miałam Scarlett. I od tego dnia nic już nie było takie samo.

Rozłączywszy się ze Scarlett, od razu zadzwoniłam do matki. Była terapeutką, specjalizowała się w problemach związanych z dorastaniem. Ale mimo że miała na koncie dwie książki, dziesiątki seminariów i występów w lokalnych programach typu talk-show, w których radziła rodzicom, jak postępować z dziećmi w „trudnym okresie”, nie do końca wiedziała, jak postępować ze mną.

Było piętnaście po pierwszej.

– Halo? – O dziwo, głos matki brzmiał całkiem przytomnie. Był to element wizerunku, który starała się stwarzać: „Jestem sprawna, silna, zawsze czujna”.

– Mamo?

– Halley? Co się stało?

W tle rozległo się mamrotanie, pewnie obudził się tata.

– Chodzi o Michaela Sherwooda, mamo.

– Kogo?

– On nie żyje.

– Kto nie żyje?

Znowu mamrotanie, tym razem głośniejsze. Ojciec powtarzał: „Kto nie żyje? Kto?”.

– Michael Sherwood – odpowiedziałam. – Mój kolega.

– O Boże. – Mama westchnęła i usłyszałam, jak zasłaniając dłonią słuchawkę, mówi ojcu, żeby spał dalej. – Wiem, kochanie. To straszne. Ale jest bardzo późno... skąd dzwonisz?

– Z biura obozu – odpowiedziałam. – Musisz po mnie przyjechać.

– Przyjechać po ciebie? – zapytała ze zdziwieniem. – Masz jeszcze przed sobą tydzień pobytu, Halley.

– Wiem, ale chcę wrócić do domu.

– Kochanie, jesteś zmęczona, to późna pora... – I przybrała ton terapeutki, który dobrze znałam po tych wszystkich latach. – Może zadzwonisz jutro rano, kiedy ochłoniesz. Przecież nie chciałabyś zrezygnować z obozu.

– Mamo, on nie żyje – powtórzyłam. Za każdym razem, kiedy wypowiadałam te słowa, dyrektorka obozu, która wciąż stała obok, robiła współczującą minę.

– Wiem, kotku. To okropne. Ale powrót do domu tego nie zmieni. Tylko zepsujesz sobie wakacje, a nie ma powodu...

– Chcę wrócić – odparłam, nie dając jej dokończyć. – Muszę. Dzwoniła Scarlett. Ona mnie potrzebuje. – Coraz bardziej ścisnęło mnie w gardle, tak że prawie nie mogłam mówić. Mama nie rozumiała. Nigdy nie rozumiała.

– Scarlett ma matkę, Halley. Nic jej nie będzie. Kochanie, już późno. Jest

przy tobie ktoś? Twoja opiekunka?

Wzięłam głęboki oddech, bo jedyne, co miałam przed oczami, to Michael, chłopak, którego nie znałam zbyt dobrze, ale którego śmierć znaczyła tak wiele. Pomyślałam o Scarlett czekającej na mnie w swojej wesołej kuchni. To było teraz najważniejsze.

– Proszę – szepnęłam do słuchawki. Ukryłam twarz przed Ruth, nie chcąc, żeby ta obca kobieta jeszcze bardziej mi współczuła. – Proszę, przyjedź po mnie.

– Halley. – Matka była już zmęczona, niemal poirytowana. – Wracaj do łóżka, zadzwonię rano. Wtedy porozmawiamy.

– Powiedz, że przyjedziesz – nalegałam, bo nie chciałam, żeby się rozłączyła. – Powiedz tylko, że przyjedziesz. To był nasz kolega, mamo.

Wtedy zamilkła. Wyobraziłam ją sobie, jak siedzi na łóżku obok śpiącego ojca, prawdopodobnie w niebieskiej koszuli nocnej, a za plecami ma okno kuchni Scarlett, gdzie pali się światło.

– Och, Halley – powiedziała, jakbym zawsze przysparzała takich problemów; jakby moi przyjaciele umierali codziennie. – No dobrze, przyjadę.

– Na pewno?

– Już powiedziałam – odparła i wiedziałam, że to wpłynie na nasze stosunki, ta z trudem wygrana przeze mnie bitwa. – Daj mi do telefonu swoją opiekunkę.

– Dobrze. – Spojrzałam na Ruth, która prawie już przysypiała. – Mamo?

– Tak?

– Dziękuję.

Zapadła cisza. Wiedziałam, że jeszcze za to zapłacę.

– Nie ma za co. Pozwól mi z nią porozmawiać.

Przekazałam słuchawkę Ruth, a potem stanęłam za drzwiami i słuchałam, jak zapewnia moją matkę, że w porządku, będę spakowana i gotowa, i dodaje, jaka szkoda, to straszne, taki młody. Później wróciłam do swojej chaty, po ciemku wślizgnęłam się pod kołdrę i zamknęłam oczy.

Przez długi czas nie mogłam zasnąć. Myślałam o twarzy Michaela Sherwooda, tej, na którą w szkole średniej zerkałam z ukosa, którą Scarlett i ja studiowałyśmy w kolejnych rocznikach szkolnych. I później tę na zdjęciu zatkniętym za lustro w jej pokoju, przedstawiającym jego i ją nad jeziorem z lśniącymi falami, sprzed kilku tygodni. Ona z głową wspartą na jego ramieniu, on trzymający dłoń na jej kolanie. Jak na nią patrzył, nie w obiektyw, kiedy przyciskałam czerwony guzik, rozświetlając ich twarze.

Mama nie wyglądała na zadowoloną, kiedy następnego dnia po południu zajechała przed biuro. Nie ulegało już wątpliwości, że mój pobyt na Obozie Siostrzanym jest całkowitą porażką. Zresztą przewidywałam to, kiedy wbrew mojej woli skazano mnie na spędzenie dwóch ostatnich tygodni wakacji w samym środku gór z gromadą innych dziewczyn, które także nie miały nic do gadania w tej

kwestii. O Obozie Siostrzanym (tak naprawdę nazywał się Obozem Wiary, to ojciec wymyślił tamto określenie) matka usłyszała na jednym ze swoich seminariów. Przyniosła do domu broszurę reklamową, którą przed śniadaniem wetknęła mi pod talerz, przyklejając na niej żółtą samoprzylepną karteczkę z pytaniem: „Co o tym myślisz?”. Gdy spojrzałam na zdjęcie przedstawiające dwie dziewczyny mniej więcej w moim wieku, które biegły przez pole, trzymając się za ręce, moją pierwszą reakcją było: „Nie, dziękuję”. Zasadniczo koncepcja była taka: zwykły obóz z pływaniem, jazdą konną i wiązaniem węzłów, a po południu seminaria i zajęcia grup samopomocy poświęcone takim zagadnieniom, jak „Matka i ja” czy „Presja ze strony rówieśników. Gdzie jest moje miejsce?”. Ulotka zawierała cały akapit mówiący o poczuciu własnej wartości, świadomości tego, co naprawdę ważne, i innych pojęciach, które znałam tylko z okładek książek pisanych przez matkę. Wiedziałam, że jako piętnastolatka, z możliwością uzyskania za trzy miesiące prawa jazdy, jestem za stara na obóz jako taki albo doskonalenie siebie, nie mówiąc już o wiązaniu węzłów.

– To będzie dla ciebie cenne doświadczenie – powiedziała matka tamtego dnia przy kolacji. – O wiele cenniejsze niż siedzenie ze Scarlett na basenie i gadanie o chłopcach.

– Mamo, jest lato – odparłam. – Poza tym wakacje już się kończą. Za dwa tygodnie zaczyna się szkoła.

– Zdasz na rozpoczęcie roku – skwitowała, znowu przeglądając ulotkę.

– Mam pracę – oponowałam, uciekając się do ostatniej wymówki. Scarlett i ja dorabialiśmy sobie jako kasjerki w Milton’s Market, sklepie spożywczym w centrum handlowym na obrzeżach naszego przedmieścia. – Nie mogę się zwolnić na dwa tygodnie.

– Pan Averby mówi, że nie ma dużego ruchu i może znaleźć dla ciebie zastępstwo – wyjaśniła krótko.

– Dzwoniłaś do pana Averby’ego? – Odłożyłam widelec.

Ojciec, który do tej pory jadł w milczeniu i nie włączał się do rozmowy, spojrzał na nią znacząco. Nawet on zdawał sobie sprawę, że matka dzwoniąca do twojego szefa to obciach.

– Boże, mamo – jęknęłam.

– Chciałam się tylko dowiedzieć, czy jest taka możliwość – odpowiedziała bardziej ojcu niż mnie, ale on tylko łagodnie pokręcił głową i jadł dalej. – Wiedziałam, że będzie wynajdywała powody, aby nie pojechać na ten obóz.

– Dlaczego mam tracić dwa ostatnie tygodnie wakacji z gromadą osób, których nie znam? – sprzeciwiłam się. – Scarlett i ja mamy plany. Bierzemy dodatkowe zmiany, żeby zarobić pieniądze na plażę, a poza tym...

– Halley. – Matka zaczęła się już złościć. – Scarlett nie zniknie, kiedy cię nie będzie. Zresztą chyba nie oczekuję od ciebie zbyt wiele, prawda? Naprawdę zależy

mi, żebyś pojechała. Ze względu na mnie, ale i na siebie, jak sama się przekonasz. To tylko dwa tygodnie.

– Nie chcę – oświadczyłam.

Spojrzałam na ojca z prośbą o wsparcie, ale biorąc jeszcze chleba, uśmiechnął się do mnie przepraszająco i nic nie powiedział. Nigdy nie mieszał się w spory między nami; łagodził i uspokajał, gdy było już po wszystkim. Kiedy miałam szlaban, podkradał się do mojego pokoju i przemycił mi swój „mrożący mózg koktajl czekoladowy”, który według niego mógł rozwiązać wszelkie problemy. Po krzykach i trzaskaniu drzwiami, gdy matka i ja wycofywałyśmy się do swoich narożników, zawsze mogłam się spodziewać dźwięku blendera w kuchni; potem ojciec pojawiał się w drzwiach i dawał mi gęstego lodowatego shake’a jako gałązkę oliwną. Wiedziałam jednak, że tym razem żaden shake nie załatwi sprawy.

W ten sposób straciłam więc koniec lata. W następną niedzielę byłam już spakowana i przez trzy godziny jechałam w góry z matką, która przez całą drogę wspominała własne złote lata spędzone na obozach i zapowiadała, że jeszcze jej kiedyś podziękuję. Podrzuciła mnie pod recepcję, cmoknęła w czoło, powiedziała, że mnie kocha, po czym odjechała w kierunku zachodzącego słońca. A ja stałam tam z workiem i patrzyłam za nią w otoczeniu innych dziewczyn, które najwyraźniej także nie miały ochoty spędzić dwóch tygodni na „nawiązywaniu więzi”.

Byłam „na stypendium”, jak to nazywano na Obozie Siostrzanym, co oznaczało, że nie musiałam za niego płacić, podobnie jak cztery inne córki terapeutów, które poznałam. Zakolegowałam się z dziewczynami z tej samej chaty, razem narzekałyśmy, wyśmiewałyśmy się z prowadzących seminaria, opalałyśmy się i rozmawiałyśmy o chłopakach.

A teraz wyjeżdżałam przed czasem, wracając do domu z powodu śmierci chłopca, którego prawie nie znałam. Wsadziłam rzeczy do bagażnika, a potem wsiadłam do samochodu obok matki, która rzuciła tylko „cześć” i przez pierwszych piętnaście minut prawie się nie odzywała. Jeśli chodzi o mnie, był remis: ja nie chciałam tu przyjechać, ona nie chciała, żebym wyjechała. Wiedziałam jednak, że matka widzi to inaczej. Ostatnio wszystko widziałyśmy inaczej.

– I jak było? – zapytała, gdy już znalazłyśmy się na autostradzie. Włączyła tempomat, nastawiła klimatyzację i była gotowa zawrzeć pokój. – A przynajmniej jak było w twojej ocenie?

– W porządku – odparłam. – Seminaria wydawały mi się nudne.

– Hm – mruknęła i domyśliłam się, że trochę przeciągam strunę. Znałam jednak matkę. Wiedziałam, że tak łatwo się nie podda. – Może gdybyś została do końca, skorzystałabyś bardziej.

– Może – odpowiedziałam. W lusterku wstecznym widziałam oddalające się

góry.

Miałam świadomość, że ma ochotę powiedzieć coś więcej. Może pragnęła spytać, dlaczego tak przejmuję się Michaeliem Sherwoodem, skoro prawie o nim nie wspominałam. Albo dlaczego od początku nie chciałam jechać na ten obóz, nie chciałam nawet spróbować. A może nawet dlaczego w ostatnich miesiącach już na sam jej widok tak się najeżałam. Jak to się stało, że z najlepszych przyjaciółek stałyśmy się nie wiadomo nawet kim. Ale się nie odezwała.

– Mamo?

Odwróciła ku mnie głowę i niemal słyszałam, jak nabiera powietrza, przygotowując się na kolejny numer z mojej strony.

– Tak?

– Dziękuję, że po mnie przyjechałaś.

Spojrzała znowu na drogę.

– W porządku, Halley – powiedziała łagodnie, a ja odchyliłam się na oparcie.

– Nie ma sprawy.

Mama i ja zawsze byłyśmy sobie bliskie. Wiedziała o mnie wszystko, począwszy od chłopców, którzy mi się podobali, po dziewczyny, którym zazdrościłam; po szkole siadałam w kuchni, jadłam kanapkę i odrabiałam lekcje, nasłuchując odgłosu silnika jej samochodu. Wciąż miałam mamie coś do powiedzenia. Po moich pierwszych tańcach w szkole jadłyśmy razem lody wprost z pudełka, a ja szczegółowo relacjonowałam jej wszystko, od pierwszej do ostatniej piosenki. W soboty, kiedy tata miał poranny dyżur w radiu, organizowałyśmy sobie babskie wyjścia, żeby pogadać. Mama uwielbiała wyszukane knajpki, w których podawano pastę, a ja fast foody i pizzerie, więc chodziłyśmy raz tam, raz tam. Ona namówiła mnie na ślimaki, a ja patrzyłam, jak pochłania kolejnego big maca. Miałyśmy jedną zasadę: zamawiałyśmy dwa desery i jadłyśmy je wspólnie. Później szłyśmy do centrum handlowego i polowałyśmy na wyprzedaże, rywalizując o to, która z nas zrobi lepszy interes. Przeważnie mama wygrywała.

Pisała artykuły do gazet i czasopism o naszych udanych relacjach, o tym, jak pomyślnie przebrnęłyśmy przez mój pierwszy rok nauki w liceum, zabierała głos w szkole i na zebraniach rodzicielskich, radząc, „jak nie stracić kontaktu z nastoletnim dzieckiem”. Kiedy jej koleżanki przychodziły na kawę i narzekały, że ich dzieci robią, co chcą, albo zażywają narkotyki, zapytana, jak to się dzieje, że tak dobrze się między nami układa, tylko kręciła głową.

– Nie wiem – odpowiadała. – Halley i ja po prostu jesteśmy ze sobą blisko. Możemy rozmawiać o wszystkim.

Ale nagle na początku tego lata coś się zmieniło. Nie potrafię powiedzieć, kiedy dokładnie to się stało. Jednak ujawniło się po Wielkim Kanionie.

Każdego lata rodzice i ja jeździliśmy razem na wakacje. To była największa atrakcja w roku i zawsze wybieraliśmy takie odjazdowe miejsca jak Meksyk czy

Europa. Tego roku wybraliśmy się w podróż samochodem przez Stany do Kalifornii, a potem do Wielkiego Kanionu, zatrzymując się tu i tam, podziwiając widoki i odwiedzając krewnych. Mama i ja świetnie się bawiłyśmy; przeważnie tata prowadził, a my gadałyśmy, słuchałyśmy radia, wymieniałyśmy się ciuchami, wymyślałyśmy piosenki i dowcipy, gdy za oknem przesuwały się granice stanów i punkty orientacyjne. Ojciec i ja zmuszaliśmy ją do jedzenia fast foodów w rewanżu za cały rok sałatek z rukoli i tortellini z prosciutto. Spędziliśmy tak dwa tygodnie, czasami się kłócąc, ale przeważnie dobrze bawiąc.

Jednak gdy wróciliśmy do domu, nastąpiły trzy ważne zdarzenia. Po pierwsze, podjęłam pracę w Milton's. Scarlett i ja pod koniec roku szkolnego składałyśmy podania o pracę, gdzie tylko się dało, ale tylko w tym miejscu mieli wystarczająco dużo stanowisk, żeby zatrudnić nas obie. Kiedy wróciłam do domu, Scarlett pracowała tam już dwa tygodnie, więc pokazała mi co i jak. Po drugie, poznała mnie z Ginny Tabor, z którą pod moją nieobecność zaznajomiła się na basenie. Ginny była szaloną cheerleaderką i słynęła wśród zawodników drużyny piłkarskiej nie tylko ze swoich występów i szpagatów. Mieszkała kilka kilometrów od nas, w Arbors, eleganckim osiedlu domów z country clubem, basenem i polem golfowym. Jej ojciec był dentystą, a matka, chuda jak szczapa, paliła jeden za drugim papierosy marki Benson and Hedges 100 i miała tak suchą cerę jak obicie naszej kanapy w salonie. Nie szczydziła na Ginny pieniędzy i zostawiała nas samopas, tak że w drodze na basen włączyłyśmy się ulicami Arbors albo wieczorami podkradałyśmy się na pole golfowe, żeby spotykać się z chłopakami.

Co z kolei doprowadziło do trzeciego ważnego wydarzenia tamtego lata, bo dwa tygodnie po powrocie do domu zerwałam z Noah Vaughnem, z którym chodziłam z nudów przez rok.

Noah był moim pierwszym chłopakiem, co znaczyło, że dzwonił mi do siebie i czasami się całowaliśmy. Wysoki i chudy, miał gęste, ciemne włosy i lekki trądzik. Nasi rodzice się przyjaźnili i spędzaliśmy razem piątkowe wieczory, u nich albo u nas. Na początku mi się podobał. Ale kiedy weszłam w nowy szalony świat Ginny Tabor, musiałam z nim skończyć.

Nie przyjął tego zbyt dobrze. Dąsał się, patrzył na mnie spode łba, ale wciąż przychodził do nas w piątkowe wieczory z młodszą siostrą i rodzicami, i siedział z kamienną miną, gdy wybiegałam za drzwi, wołając głośno „do widzenia”. Zawsze mówiłam, że będę u Scarlett, ale obie szłyśmy na basen, żeby spotkać się z chłopakami, albo włączyłyśmy się z Ginny. Najbardziej tym zerwaniem zmartwiła się moja matka; chyba miała nadzieję, że wyjdę za Noah. Ale ja byłam już kimś innym, kimś, w kogo zmieniałam się z każdym gorącym, wilgotnym letnim dniem. Nauczyłam się palić papierosy, wypijałam swoje pierwsze piwo, opaliłam się na głęboki brąz, przekłułam uszy i zaczęłam, początkowo niezauważalnie, oddalać się od matki.

Na kominku stoi zdjęcie, które zawsze mi przypomina o naszych ówczesnych relacjach. Jesteśmy w jednym z miejsc widokowych Wielkiego Kanionu, za nami rozciąga się wielka, głęboka przepaść. Nosimy takie same T-shirty i okulary przeciwsłoneczne, uśmiechamy się szeroko i obejmujemy ramionami. Na żadnym zdjęciu, ani wcześniej, ani później, nie byliśmy do siebie bardziej podobni. Mamy taki sam mały nos, taką samą postawę, taki sam głupawy uśmiech. Wyglądamy na szczęśliwe, kiedy tak stoimy w słońcu, na tle błękitnego nieba. Po powrocie do domu mama oprawiła to zdjęcie i postawiła na kominku, na samym środku, w miejscu, w którym nie można go przeoczyć. Jakby skądś wiedziała, że za miesiąc stanie się ono reliktem przeszłości, pamiątką z zupełnie innych czasów, które trudno odtworzyć: moja matka i ja, najlepsze przyjaciółki, pozujące do fotografii nad Wielkim Kanionem.

Kiedy przyjechałyśmy, Scarlett siedziała na stopniach ganku. Był wczesny wieczór, właśnie zmierzchało, w domach paliły się już światła, ludzie wyprowadzali psy i dzieci na spacer. Kilka przecznic dalej ktoś urządzał grilla, zapach pieczonego mięsa mieszał się w powietrzu z wonią ściętej trawy i niedawnego deszczu.

Wysiadłam z samochodu i wystawiłam torbę na chodnik, patrząc przez ulicę w stronę domu Scarlett. Jedyne światło dochodziło z kuchni, oświetlając pustą wiatę na samochód. Scarlett podniosła rękę i pomachała do mnie.

– Mamo, idę do Scarlett – powiedziałam.

– Dobrze. – Jeszcze nie całkiem mi wybaczyła. Ale było już późno, czuła się zmęczona i ostatnio musiałyśmy obie zdecydować, kiedy lepiej odpuścić sobie wojnę.

Znałam drogę przez ulicę i podjazd przed domem Scarlett na pamięć, mogłabym ją pokonać z zamkniętymi oczami. Szybko na drugą stronę ulicy, obok dwóch kolczastych krzewów po obu stronach podjazdu, które zostawiały małe zadrapania na skórze, gdy się o nie otarło. Osiemnaście kroków przez chodnik do schodów od frontu; obliczyłyśmy to, gdy chodziłyśmy do szóstej klasy i miałyśmy obsesję na punkcie faktów oraz liczb. Przez całe miesiące mierzyłyśmy odległości i liczyłyśmy stopnie, starając się poskładać świat z kawałków.

A teraz szłam ku niej w półmroku, świadoma jedynie swoich cichych kroków i szumu klimatyzatora pod bocznym oknem.

– Hej – powiedziałam, a ona przesunęła się, żeby zrobić mi miejsce. – Co tam?

Było to najgłupsze pytanie, jakie mogłam zadać, ale żadne inne, odpowiedniejsze, nie przychodziło mi na myśl. Spojrzałam na nią, gdy tak siedziała obok mnie, boso, z włosami związanymi w kucyk. Płakała.

Nie widywałam jej takiej. Scarlett zawsze była tą silniejszą, energiczniejszą, odważniejszą. Dziewczyną, która zdołała Missy Lassiter, najwredniejszą

i najzłośliwszą z panienek z różowymi rowerami tamtego pierwszego lata, kiedy się tu przeprowadziła, a one nas otoczyły i próbowały doprowadzić do płaczu. Dziewczyną, która od piątego roku życia prowadziła dom i opiekowała się swoją trzydziestopięcioletnią matką jak własnym dzieckiem. Dziewczyną, która nie pozwoliła światu mnie zjeść, bo tak zawsze myślałam.

– Scarlett? – zapytałam wtedy w ciemności, a ona odwróciła się do mnie i zobaczyłam, że twarz ma całą we łzach.

Przez chwilę nie wiedziałam, co zrobić. Znowu pomyślałam o zdjęciu zatkniętym za lustro w jej pokoju, zdjęciu jej i Michaela zaledwie sprzed kilku tygodni, z lśniącymi wodami jeziora w tle. I przypomniałam sobie, co robiła miliony razy, kiedy przy niej płakałam, załamując się z powodu najdrobniejszej przykrości.

Przyciągnęłam więc najlepszą przyjaciółkę do siebie, objęłam ją i przytuliłam, odwzajemniając to wszystko, co do tej pory dla mnie zrobiła. Siedziałyśmy tak przez długi czas, Scarlett i ja, podczas gdy jej ciemny dom górował nad nami, a po drugiej stronie ulicy wznosił się mój rozświetlony. Był koniec lata i koniec wielu rzeczy. Siedziałam przy niej, czując jej drżące ramiona. Nie miałam pojęcia, jak się zachować i co będzie dalej. Wiedziałam tylko, że mnie potrzebuje, a ja jestem przy niej. I na razie nic innego nie mogliśmy zrobić.

Rozdział 2

Scarlett była ruda, ale nie jak marchewka. Jej włosy miały kolor kasztanowaty, głęboki, stanowiły połączenie czerwieni i brązów, przez co zielone oczy wydawały się niemal świetliste. Jej jasną cerę w pierwszych latach naszej znajomości pokrywały piegi; potem, gdy dorastałyśmy, pozostały już tylko na nosie, jakby ktoś rozsypał je dłonią. Prawie pięć centymetrów niższa ode mnie, miała stopy o rozmiar większe i bliznę na brzuchu po wyrostku, która wyglądała jak uśmiechnięte usta. Była piękna w nieświadomy sposób, inaczej niż ja, i zazdrościłam jej tego bardziej, niż się do tego przyznawałam. Dla mnie Scarlett była odmienna, egzotyczna. Ale mówiła, że dałaby wszystko za moje długie włosy i letnią opaleniznę, grube rzęsy i brwi. Nie mówiąc już o moim ojcu, normalnej rodzinie, z dala od Marion i jej wahań nastroju. To był uczciwy układ, ta nasza wzajemna zazdrość; dzięki niej panowała sprawiedliwość.

Zawsze uważałyśmy, że wiemy idealnie równoległe życie. W tym samym czasie przechodziłyśmy przez te same fazy; obie lubiłyśmy krwawe filmy i sentymentalne, słodkie obrazki, znałyśmy słowa wszystkich starych piosenek musicalowych, jakie moje rodzice mieli na płytach. Scarlett, bardziej pewna siebie, szybko nawiązywała przyjaźnie, podczas gdy ja, nieśmiała i cicha, trzymałam się z dala od tłumu. Byłam znana jako „Halley, przyjaciółka Scarlett”. Ale to mi nie przeszkadzało. Wiedziałam, że bez niej wystawałabym na przystanku autobusowym z kujonami i Noah Vaughnem. Taki czekałby mnie los, na pewno, gdyby tamtego pierwszego dnia Scarlett nie spojrzała na mnie zza swoich białych okularów i nie zrobiła dla mnie miejsca obok siebie na resztę mojego życia. I byłam jej za to wdzięczna. Bo życie jest brzydkie i trudne, jeśli nie ma się najlepszej przyjaciółki.

Kiedy myślałam o sobie, widziałam tylko kontur w książeczce do kolorowania, ale jeszcze niewypełniony. Były tam wszystkie elementy, na które składa się postać. Ale brakowało barw, wzorów i plam, tego wszystkiego, co składało się na mnie, Halley. Pomogły mi trochę czerwienie i złoto Scarlett, ale wciąż czułam się niekompletna.

Przez większość szkoły średniej nie znałyśmy za dobrze Michaela Sherwooda, chociaż wychowaliśmy się na tym samym przedmieściu. Po skończeniu szkoły wyjechał na lato do Kalifornii i wrócił całkiem odmieniony: opalony, wyższy i nagle bardzo przystojny. Od razu stał się obiektem pożądania.

Przez chwilę spotykał się z Ginny Tabor, potem przez kilka miesięcy chodził z Elizabeth Gunderson, czołową cheerleaderką. Ale jakoś nigdy nie pasował do grona kapitanów drużyn piłkarskich i kurtek bejsbolówek. Wrócił do kumpli z Lakeview, do których należał jego najlepszy przyjaciel, Macon Faulkner.

Czasami widywałyśmy ich, jak późnym wieczorem szli ulicą między naszymi domami, paląc papierosy i śmiejąc się wesoło. Wyróżniali się i nas fascynowali.

Opuszczając tamtą popularną paczkę, Michael Sherwood stał się zagadką. Nie wiadomo było, gdzie jest jego miejsce, a on sam przyjaźnił się ze wszystkimi i pełnił w szkole średniej funkcję stabilizatora. Słyszał z kawałów robionych nauczycielom na zastępstwa i zawsze pożyczał od chętnych dolara w zamian za ciekawą opowieść; a opowiadał świetne historie, w najlepszym razie tylko w połowie prawdziwie, ale tak śmieszne, że warte były tych pieniędzy. Pamiętam, że mnie opowiedział o psychotycznych skautkach, które go nękały. Nie uwierzyłam w nią, ale dałam mu dwa dolary, przez co opuściłam lunch. Nie żałowałam.

Każde z nas miało własną historię o Michaelu, o tym, co zrobił, powiedział albo puścił w obieg. Ale najbardziej intrygujące w nim było to, czego nie zrobił; wydawał się taki daleki od reszty z nas, a jednak należał do wszystkich.

Pod koniec każdego roku szkolnego odbywał się pokaz slajdów z nieudanymi zdjęciami, które nie weszły do rocznika. Wszyscy schodziliśmy się do audytorium i oglądaliśmy pojawiające się na wielkim ekranie twarze naszych kolegów i koleżanek, przyjmując wiwatami wizerunki tych, z którymi się przyjaźniliśmy, i wygwizdując tych nielubianych. Na tym pokazie było tylko jedno zdjęcie Michaela Sherwooda, ale dobre: siedział sam na murku w czarnej bejsbolówce, którą zawsze nosił, i śmiał się z czegoś poza kadrem. Za plecami miał zieloną trawę, a nad głową – połąć błękitnego nieba. Kiedy ukazał się ten slajd, cały tłum zebrany w sali zaczął wiwatować, klaskać, krzyzczeć i wykręcać szyje, żeby zobaczyć jego samego. Siedział na balkonie z Maconem Faulknerem, wyraźnie zmieszany. Ale właśnie był dla nas kimś takim, kimś, kto nas łączył.

Na następnym dzień, w czwartek, zaplanowano pogrzeb. Po śniadaniu poszłam do Scarlett na drugą stronę ulicy, boso i w uciętych dżinsach, niosąc dwie czarne sukienki, między którymi nie mogłam dokonać wyboru. Brałam udział w pogrzebie tylko raz, kiedy zmarł dziadek w Bufflo, ale byłam tak mała, że ktoś mnie ubrał. Teraz to zupełnie coś innego.

– Wejdz! – usłyszałam wołanie Marion, zanim jeszcze zdążyłam zapukać do bocznych drzwi. Siedziała przy kuchennym stole, z filiżanką kawy, przerzucając „Vogue’a”.

– Dzień dobry – powiedziałam, kiedy się do mnie uśmiechnęła. – Czy ona już nie śpi?

– Nie spała prawie całą noc – odparła cicho, odwracając kartkę i popijając kawę. – Kiedy wstałam, leżała na kanapie. Potrzebuje wypoczynku, bo inaczej nie wytrzyma.

Musiałam powściągnąć uśmiech. Te same słowa regularnie słyszałam od Scarlett na temat Marion; odkąd tylko pamiętałam, ich role były odwrócone. Kiedy

Marion kilka lat temu wpadła w depresję i piła, Scarlett w koszuli nocnej pukała do naszych drzwi o drugiej w nocy, bo znajdowała Marion nieprzytomną na chodniku przed domem, z odciśniętymi na policzku pęknięciami i rysami betonu. Ojciec wnosił ją do domu, a matka testowała swoje najlepsze metody terapeutyczne na Scarlett, która nic nie mówiła, tylko kuliła się na krześle obok leżącej w łóżku Marion i czuwała nad nią do rana. Ojciec mówił o Scarlett, że jest poważna, a matka twierdziła, że „znajduje się na etapie wyparcia”.

– Hej. – Obejrzałam się i zobaczyłam Scarlett w progu, w czerwonej koszuli i uciętych kalesonach, z włosami potarganymi po bezsennej nocy. – Którą zamierzasz włożyć? – zapytała.

– Nie wiem – odparłam.

Podeszła bliżej, wzięła obie sukienki, a potem, mrużąc oczy, przyłożyła do mnie każdą z nich.

– Włóż tę krótszą – powiedziała cicho i położyła drugą sukienkę na blacie obok misy z owocami. – W tamtej, z okrągłym dekoltem, wyglądasz jak dwunastolatka.

Spojrzałam na sukienkę z okrągłym dekoltem, usiłując sobie przypomnieć, kiedy miałam ją na sobie. Scarlett zawsze pamiętała takie rzeczy: daty, wydarzenia, fakty. Ja wszystko zapominałam, ledwie zapamiętując to, co najważniejsze, z tygodnia na tydzień. Ale ona miała w głowie każdy szczegół, począwszy od tego, w co była ubrana, gdy pierwszy raz się całowała, a skończywszy na imieniu siostry chłopaka, którego poznała na plaży poprzedniego lata; była naszą wyrocznią, wspólną pamięcią.

Otworzyła lodówkę i wyjęła mleko, potem przecięła kuchnię z pudełkiem chrupek pod pachą, po drodze wyjmując ze zmywarki miskę. Usiadła u szczytu stołu, z Marion po lewej stronie, a ja zajęłam miejsce po prawej. Nawet w ich miniaturowej rodzinie, ze mną jako członkiem honorowym, obowiązywały pewne zwyczaje.

Scarlett nasypała sobie płatków, zalała je mlekiem i posłodziła.

– Chcesz trochę? – zapytała.

– Nie – odpowiedziałam. – Jestem po śniadaniu.

Mama zrobiła mi francuskiego tosta, gdy już skończyła plotkować przez płot z najlepszą przyjaciółką, Irmą Trilby, która słynęła z pięknych azalii i niezamykających się ust; słyszałam ją cały ranek przez okno. Pani Trilby dobrze знаła panią Sherwood ze Stowarzyszenia Rodzice-Nauczyciele i już była u niej, by złożyć kondolencje. Nieraz też widywała mnie, Michaela i Scarlett, jak razem wracaliśmy z pracy, a którejś nocy zauważyła nawet, że Scarlett i Michael całują się w świetle latarni. Był uroczym chłopcem, powiedziała swoim nosowym głosem. Skosił jej trawnik, gdy Arthur dostał zawału, i zawsze wynajdywał dla niej najlepsze banany w Milton's, nawet jeśli musiał poszukać na zapleczu. Miły

dzieciak.

Moja matka wróciła do domu z nowymi informacjami i przepojona współczuciem zrobiła mi obfite śniadanie, które ledwie tknęłam, podczas gdy ona siedziała po drugiej stronie stołu, z kubkiem kawy w dłoni i uśmiechem, jakby czekała, żebym coś powiedziała. Jakby moja żaloba nabrała dla niej sensu dopiero wtedy, gdy się dowiedziała, że Michael Sherwood kosił trawniki albo wynajdywał najlepsze banany.

– O której jest nabożeństwo? – zapytała Marion, biorąc swoje marlboro light z obrotowej tacy pośrodku stołu.

– O jedenastej.

Zapaliła papierosa.

– Mamy dziś mnóstwo roboty, ale postaram się przyjechać. Dobrze?

– Dobrze – odparła Scarlett.

Marion pracowała w galerii handlowej Lakeview w Fabulous You, wyrafinowanym zakładzie fotograficznym, gdzie cię przebierali i malowali, a potem robili ci zdjęcie, które mogłaś dać mężowi albo chłopakowi. Marion przez czterdzieści godzin w tygodniu szminkowała usta gospodyniom domowym i ubierała je w te same wieczorowe suknie, a następnie ustawiała przed aparatem z kieliszkiem szampana w dłoni, a one seksownie patrzyły w obiektyw. Była to ciężka robota, biorąc pod uwagę niewdzięczny materiał; nie każdy może wyglądać olśniewająco. Często mówiła, że trzeba wyczyniać cuda korektorem i kreatywnym oświetleniem.

Marion odsunęła krzesło i przeciągnęła ręką po włosach; miała okrągłą twarz o zielonych oczach, jak Scarlett, i grube blond włosy, które co kilka miesięcy rozjaśniała. Malowała paznokcie na czerwono, paliła bez przerwy i miała więcej bielizny niż Victoria's Secret. Kiedy ją poznałam, tamtego dnia, gdy tu zamieszkały, Marion flirtowała z facetami od przeprowadzek, ubrana w spodnie biodrówki, odsłaniający brzuch szydełkowy top i buty na obcasach wysokości co najmniej dziesięciu centymetrów. Nie przypominała mojej matki – ani żadnej innej. Moim zdaniem wyglądała jak Barbie i wciąż mnie fascynowała.

– Cóż – odezwała się przeciągle. Wstała i przechodząc obok Scarlett, zmierzwiła jej włosy. – Muszę się przygotować do ciężkiej harówki. Zadzwońcie do mnie, dziewczynki, jeśli będę potrzebna. Okej?

– Okej – odparła Scarlett i włożyła do ust kolejną łyżkę płatków.

– Do widzenia, Marion – powiedziałam.

– Nie przyjedzie – oświadczyła Scarlett, kiedy matka zniknęła na górze i nad nami dał się słyszeć stukot jej obcasów.

– Dlaczego nie?

– Bo pogrzeby ją dołują. – Rzuciła łyżkę do miski, kończąc jeść. – Zawsze ma jakąś dogodną wymówkę.

Kiedy poszliśmy na górę do jej pokoju, żeby przygotować się do wyjścia, przysiadłam na łóżku. Było zasłane ubraniami, czasopismami, kocami i pościelą nie od kompletu. Scarlett otworzyła szafę i stanęła przed nią z rękami na biodrach. Marion zawołała z dołu „cześć”; potem rozległo się trzaśnięcie drzwiami i warkot silnika, gdy wycofywała samochód z podjazdu. Przez okno nad łóżkiem zobaczyłam moją matkę, która siedziała na huśtawce na ganku naszego domu, pijąc kawę i czytając gazetę. Kiedy Marion przejeżdżała obok, posłała jej swój „sąsiedzki” uśmiech i wróciła do lektury.

– Nie znoszę tego – powiedziała nagle Scarlett, sięgając do szafy i wyjmując granatową sukienkę z białym kołnierzykiem. – Nie mam ani jednej stosownej rzeczy.

– Możesz włożyć tę moją dla dwunastolatki – zaproponowałam, ale ona się skrzywiła.

– Założę się, że Marion ma coś odpowiedniego – rzuciła nagle i wyszła z pokoju.

Szafa jej matki była wręcz legendarna; Marion podążała za modą i miała naturę chomika, a to najniebezpieczniejsze połączenie.

Wyciągnęłam rękę i włączyłam radio przy łóżku, a potem odchyliłam się do tyłu i zamknęłam oczy. W pokoju Scarlett spędziłam pół życia, rozciągnięta na łóżku ze stosem czasopism „Seventeen” pomiędzy nami, gdy wybierałyśmy sukienkę balową na zakończenie szkoły, czytałyśmy o zapobieganiu trądzikowi i problemach z chłopakami. Po prawej stronie od okna znajdowała się półkami ze zdjęciami: ja i ona na plaży przed dwoma laty, w takich samych czapkach żeglarskich, salutujące żartobliwie do aparatu ojca. Marion w wieku osiemnastu lat na starej szkolnej fotografii, wyblakłej i pomiętej. I wreszcie na końcu, jeszcze nieoprawione, tamto zdjęcie jej i Michaela nad jeziorem. Od mojego wyjazdu na obóz zostało przez nią przesunięte, więc łatwo mogłam zdjąć je z półki.

Poczułam, że coś uwiera mnie w plecy, więc sięgnęłam tam ręką. Był to but z grubą podeszwą, który stawiał opór, kiedy za niego pociągnęłam. Zmieniłam pozycję i szarpnęłam ponownie, zastanawiając się, kiedy Scarlett kupiła buty do wspinaczki. Już miałam ją o to zapytać, kiedy nagle but się wyrwał i nagle wszystko się poruszyło, z łóżka wyłoniły się ręce i nogi, czasopisma spadły z obu stron na podłogę. Spod bałaganu wokół mnie ktoś się podniósł, zrzucając czasopisma, koce, pościel. I nagle znalazłam się twarzą w twarz z Maconem Faulknerem.

Rozejrzał się po pokoju, jakby nie bardzo wiedział, gdzie jest. Jasne włosy, obcięte krótko nad uszami, opadały mu kosmykami na oczy. W jednym uchu miał trzy srebrne kółka.

– Co, u...? – wykrztusił, siadając prosto i mrugając. Był spowity w pościel, prześcieradło owinęło mu się wokół ręki. – Gdzie jest Scarlett?

– Na dole – odpowiedziałam automatycznie i wskazałam drzwi, jakby to był dół.

Potrząsnął głową, żeby się obudzić. Nie byłabym bardziej zaszokowana, gdybym zobaczyła w łóżku Scarlett Mahatmę Gandhiego albo Elvisa; nie miałam nawet pojęcia, że zna Macona Faulknera. Oczywiście wszyscy wiedzieliśmy, kto to jest. Wyprzedzała go sława chłopaka o złej reputacji.

Ale co robił w jej łóżku? Bo to przecież nie mogło znaczyć... Nie. Powiedziałyby mi; mówiła mi wszystko. A Marion wspomniała, że Scarlett spała na kanapie.

– Chyba włożę to – usłyszałam głos Scarlett, która nadchodziła korytarzem z czarną sukienką przewieszoną przez ramię.

Spojrzała na Macona, potem na mnie i podeszła do szafy, jak gdyby to, że w jej łóżku o dziesiątej rano w czwartek leży obcy chłopak, było najnaturalniejszą rzeczą na świecie.

Macon opadł na plecy, zakrywając dłonią oczy. Jego but, czy raczej stopa w bucie, wylądowała na moich kolanach i już tam została. Trzymałam na kolanach stopę Macona Faulknera!

– Poznałeś już Halley? – zapytała go Scarlett, wieszając sukienkę na drzwiach szafy. – Halley, to Macon. Macon, Halley.

– Cześć – powiedziałam i zauważyłam, że mówię dziwnie wysokim głosem.

– Cześć. – Skinął mi głową, jak gdyby nigdy nic, zdejmując nogę z moich kolan. Potem wstał z łóżka, wyprostował się i przeciągnął. – O rany, okropnie się czuję.

– Nic dziwnego – odparła Scarlett tonem przygany, którego używała wobec mnie, gdy zachowywałam się wyjątkowo tchórzliwie. – Strasznie się nawaliłeś.

Macon pochylił się i szukając czegoś, zanurkował pod pościel, podczas gdy ja siedziałam na łóżku i patrzyła na niego. Miał na sobie porwany od dołu biały T-shirt i ciemnogrnatowe szorty, no i te buciory. Był wysoki, żylasty i opalony od pracy na dworze przy koszeniu trawników i przycinaniu żywopłotów w naszej dzielnicy. Widywałam go tylko w takich miejscach, a i to z daleka.

– Nie widziałaś...? – zaczął, ale Scarlett już sięgała na szafkę nocną po leżącą tam bejsbolówkę.

Macon wziął ją od niej, po czym włożył na głowę, zmieszany.

– Dzięki.

– Broszę bardzo. – Scarlett ściągnęła włosy do tyłu, co znaczyło, że myśli. – Podwieźć cię do kościoła?

– Nie – odparł. Podeszedł do drzwi z rękami w kieszeniach, przekraczając moje nogi, jakbym była niewidzialna. – Zobaczymy się na miejscu.

– Dobrze. – Podeszła do wyjścia.

– Czy jest bezpiecznie? Mogę wyjść tędy? – zapytał szeptem, wskazując

w głąb korytarza, gdzie znajdował się pokój Marion.

– Tak.

Kiwnął głową i zbliżył się do niej niezręcznie, a potem pochylił się, żeby pocałować ją w policzek.

– Dzięki – powiedział cicho tonem, który chyba nie był przeznaczony dla mnie. – Naprawdę.

– Nie ma za co – odrzekła Scarlett i uśmiechnęła się do niego.

Obie patrzyłyśmy, jak się oddala, tupiąc po schodach i potem na dole. Kiedy usłyszałyśmy, że zamyka i otwiera drzwi, zbliżyłam się do okna i oparłam o szybę, czekając, aż pojawi się na chodniku. Mrużąc oczy, zrobił te osiemnaście kroków w stronę ulicy. Po drugiej stronie moja matka podniosła głowę, składając gazetę, i także za nim spojrzała.

– Nie wierzę własnym oczom – powiedziałam głośno, kiedy Macon Faulkner minął kolczaste krzewy i skręcił w lewo, żeby opuścić Lakeview, „dzielnice przyjaciół”.

– Miał doła – wyjaśniła Scarlett. – Michael był jego najlepszym przyjacielem.

– Nigdy mi nie mówiłaś, że go znasz. Przychodzę do ciebie i zastaję go w twoim łóżku.

– Poznałam go przez Michaela. Nie może się pozbierać, Halley. Ma mnóstwo problemów.

– To jednak trochę dziwne – zauważyłam. – To znaczy, że tu był.

– Potrzebował kogoś – odparła. – To wszystko.

Wciąż odprowadzałam wzrokiem Macona Faulknera, gdy szedł obok ślicznych domów naszego przedmieścia. Zdawał się jakby nie na miejscu wśród szumiących zraszaczy i leżących na chodniku gazet tego ciepłego słonecznego letniego ranka. Nie wiedziałam wtedy, co w nim takiego było, że nie mogłam oderwać od niego oczu. Gdy skręcał za róg i już miał zniknąć z widoku, odwrócił się, podniósł rękę i pomachał do mnie, jakby wiedział, że stoję wciąż przy oknie i go obserwuję.

Kiedy przyjechałyśmy do kościoła, przed wejściem stała kolejka. Podczas jazdy Scarlett prawie się nie odzywała, a gdy szłyśmy pod kościół, nerwowo wykręcała rękę.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam ją.

– To takie dziwne – odparła niskim, pustym głosem. Patrzyła przed siebie. – Wszystko razem.

Uniósłszy głowę, zrozumiałam, co ma na myśli. Na stopniach kościoła w otoczeniu koleżanek i kolegów stała Elizabeth Gunderson, czołowa cheerleaderka. Szłochała histerycznie z czerwoną bawełnianą koszulką w dłoniach.

Scarlett zatrzymała się w odległości około dwóch metrów od zebranych, i to

tak nagle, że poszłam naprzód i musiałam zawrócić. Stała samotnie, z ramionami ciasno splecionymi na piersi.

– Scarlett? – zapytałam.

– To nie był dobry pomysł – odrzekła. – Nie powinnyśmy były tu przyjeżdżać.

– Ale...

Więcej nie zdążyłam powiedzieć, bo zza moich pleców wyłoniła się Ginny Tabor, która objęła nas i wybuchnęła płaczem. Pachniała lakierem do włosów i dymem papierosowym. Miała na sobie krótką niebieską sukienkę, która zbyt odsłaniała nogi.

– Mój Boże – powiedziała. Podniosła głowę i spojrzała na nas, kiedy obie delikatnie się od niej odsunęłyśmy. – To straszne, okropne. Od chwili, gdy się dowiedziałam, nie mogę jeść. Jestem załamana.

Żadna z nas się nie odezwała; ruszyłyśmy przed siebie, podczas gdy Ginny, znalazwszy papierosa, zapaliła go i jedną ręką rozwiała dym.

– To znaczy, kiedy ze sobą chodziliśmy, nie było idealnie, ale bardzo go kochałam. Rozdzieliły nas okoliczności... – Rozszłochała się, kręcąc głową. – Ale przez te dwa miesiące był dla mnie wszystkim. Wszystkim.

Spojrzałam na Scarlett, która wbiła wzrok w chodnik, i wydusiłam:

– Przykro mi, Ginny.

– Tak – podjęła zduszonym głosem, wolno wydmuchując dym – to zupełnie inaczej, gdy się kogoś dobrze znało. Rozumiecie?

– Rozumiemy – odrzekłam.

Od połowy wakacji prawie się z nią nie widywałyśmy. Po kilku szalonych tygodniach, które razem spędziłyśmy, została wysłana na jakiś obóz cheerleadersko-biblijny, podczas gdy jej rodzice wyjechali do Europy. Ale nie ma tego złego, pomyślałyśmy. Ginny była na dłuższą metę męcząca. Kilka dni później Scarlett poznała Michaela i zaczęła się druga połowa wakacji.

Stanęłyśmy na końcu kolejki do wejścia i natknęłyśmy się na Elizabeth. Ginny oczywiście urządziła przedstawienie, podbiegając do niej i znowu zalewając się łzami. Obie obejmowały się, szlochając.

– To takie straszne – powiedziała za mną jakaś dziewczyna. – Bardzo kochał Elizabeth. Ona trzyma jego koszulkę. Nie wypuściła jej z rąk, odkąd się dowiedziała.

– Myślałam, że ze sobą zerwali – odezwała się inna i zrobiła balona z gumy do żucia.

– Tak, na początku wakacji. Ale on wciąż ją kochał. W każdym razie Ginny Tabor jest strasznie płytka – zauważyła pierwsza dziewczyna. – Chodziła z nim ze dwa dni.

Po wejściu do środka usiadłyśmy z tyłu, obok dwóch starszych pań, które

przepuściły nas w głąb ławy, elegancko przesuając kolana. Przy ołtarzu znajdowały się dwie tablice ze zdjęciami Michaela z dzieciństwa, szkoły i rocznika. A pośrodku, największe ze wszystkich, widniało to zdjęcie z pokazu slajdów, które wzbudziło aplauz w czerwcu w ciemnym audytorium. Chciałam zwrócić na nie uwagę Scarlett, ale kiedy się do niej odwróciłam, blada patrzyła w tył ławy przed sobą, więc nic nie powiedziałam.

Nabożeństwo zaczęło się z opóźnieniem, bo ludzie wciąż wchodzili i stawali pod ścianami, szurając nogami i wachlując się małymi programami, które wręczano przy drzwiach. Wkroczyła Elizabeth Gunderson, wciąż zapłakana, i została zaprowadzana na miejsce przez Ginny, także szlochającą. Dziwnie było widzieć w takim otoczeniu koleżanki i kolegów ze szkoły; jedni byli starannie ubrani, bo najwyraźniej tak się nosili do kościoła. Inni wyglądali nie na miejscu, dziwacznie, gdy tak poprawiali krawaty i obciągaliby ubrania. Zaczęłam się zastanawiać, co myśli Michael, patrząc z góry na tych wszystkich ludzi o czerwonych twarzach, którzy wiercili się w ławkach, na chlipiące dziewczyny, na rodziców z młodszą siostrą w pierwszej ławce, cichych, poważnych i smutnych. Spojrzałam na Scarlett, która tak mocno go kochała przez ten krótki czas, i wzięłam ją za rękę. Odpowiedziała uściskiem, wciąż jednak patrząc przed siebie.

Nabożeństwo było oficjalne i krótkie; przy tyłu obecnych panowała duchota, a z powodu trzeszczenia ławek i szumu wachlowania ledwie dał się słyszeć głos pastora. Mówił o Michaelu i o tym, ile znaczył dla wielu osób; powiedział coś o Bogu, który ma swoje plany. Elizabeth Gunderson po dziesięciu minutach wstała i wyszła; idąc wzdłuż nawy, przyciskała dłoń do ust, a za nią podążył tłumek jej koleżanek. Siedzące obok nas starsze panie pokręciły głowami z dezaprobatą, a Scarlett ścisnęła moją rękę, wbijając mi w skórę paznokcie.

Po nabożeństwie, gdy wszyscy powoli wychodzili, przez tłum przeszedł dziwny pomruk. Nagle zrobiło się ciemno i powiał silny wiatr, przynosząc zapach deszczu. Na niebie za drzewami zebrały się gęste czarne chmury.

Przed kościołem niemal zgubiłam Scarlett w tłumie twarzy, gwarze głosów, morzu kolorów. Ginny wspierała się na Bretcie Hershey, kapitanie drużyny futbolowej, który prowadził ją pod rękę. Elizabeth siedziała w samochodzie na parkingu, przy otwartych drzwiach, chowając głowę w dłoniach. Reszta stała niepewnie, jakby potrzebowała pozwolenia na odejście, trzymając programy i spoglądając w niebo.

– Biedna Elizabeth – powiedziała Scarlett cicho, kiedy stanęliśmy przy jej samochodzie.

– Zerwali ze sobą już jakiś czas temu.

– Uhm. Tak. – Kopnęła kamyk, który odbił się od czegoś pod wozem. – Ale on naprawdę ją kochał.

Spojrzałam na nią; wiatr zwiewał jej włosy na twarz, a cerę miała wręcz

białą przy czarnej sukience Marion. Czasami, gdy była nieświadoma mojego wzroku, wyglądała najpiękniej.

– Ciebie też kochał – odparłam.

Popatrzyła na niebo ciemne od chmur. Coraz bardziej pachniało deszczem.

– Wiem – odrzekła łagodnie. – Wiem.

Pierwsza kropla była duża, spadła mi na ramię i pozostawiła wilgotną plamę. Nagle lunęło jak z cebra i ludzie rozbiegli się do samochodów, osłaniając głowy pomiętymi programami. Scarlett i ja wskoczyłyśmy do samochodu i patrzyłyśmy na wodę spływającą po przedniej szybie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak padało.

Wjechałyśmy należącym do Scarlett formem aspire w Main Street. Dostała go w kwietniu od babci, na urodziny. Był wielkości pudełka na buty i wyglądał jak większy samochód przecięty na pół wielkim nożem do chleba. Gdy przejechałyśmy przez istny potok na drodze, pomyślałam przez chwilę, czy nurt nas nie porwie i nie popłyniemy do morza niczym Wynken, Blynken i Nod w wielkim bucie^[1].

Scarlett dostrzegła go pierwsza. Szedł samotnie ulicą w przemoczonej białej koszuli, która przylgnęła mu do pleców. Głowę miał pochyloną, ręce w kieszeniach, a wzrok wbiły w chodnik. Obok niego przebiegali ludzie z parasolami. Scarlett nacisnęła klakson i zwolniła.

– Macon! – zawołała, wychylając się na deszcz. – Hej! – Nie słyszał jej, więc dźgnęła mnie. – Zawołaj go, Halley.

– Co takiego?

– Opuść szybę i zapytaj, czy chce, żeby go podwieźć.

– Scarlett – odparłam, nagle zdenerwowana. – Nawet go nie znam.

– I co z tego? – Spojrzała na mnie wymownie. – Leje deszcz. No już.

Odsunęłam szybę i wystawiłam głowę, czując na karku deszcz.

– Przepraszam – powiedziałam.

Nie usłyszał mnie. Chrząknęłam, zbierając się na odwagę.

– Przepraszam – powtórzyłam.

– Halley – odezwała się Scarlett, patrząc w lusterko wsteczne – wstrzymujemy ruch. Wysił się trochę.

– On mnie nie słyszy – odparłam obronnym tonem.

– Bo mówisz prawie szeptem.

– Nieprawda – burknęłam. – Mówię wystarczająco głośno.

– Po prostu zawołaj.

Samochody zaczęły nas wyprzedzać i jednocześnie nadeszła nowa fala deszczu, który zacinał przez okno, padając mi na kolana. Scarlett westchnęła głośno, co miało znaczyć, że traci cierpliwość.

– No dalej, Halley, nie bądź ofiarą.

– Nie jestem żadną ofiarą – jęknęłam. – Boże.

Ona tylko na mnie popatrzyła. Znowu wysunęłam głowę za okno.

– Macon – powiedziała już głośniej, bo byłam zła. – Macon.

Kolejne westchnienie ze strony Scarlett. Mokłam coraz bardziej.

– Macon – powtórzyłam jeszcze głośniej, wystawiając głowę z samochodu. – Macon!

Zatrzymał się gwałtownie. Odwrócił się i spojrzał na mnie, jakby się spodziewał, że wjedziemy na chodnik i go zmiażdżymy. A potem tylko patrzył, stojąc w tej swojej przemoczonej koszuli, klejącej się do ciała, z wodą spływającą z włosów na twarz. Stał i patrzył, jakbym kompletnie postradła zmysły.

– Co?! – odrzyknął głośno. – O co chodzi?!

Scarlett obok mnie wybuchnęła śmiechem. Pierwszy raz od powrotu usłyszałam, że się śmieje. Opadła na oparcie fotela i zakrywając dłonią usta, chichotała niepowstrzymanie. Chciałam zapaść się pod ziemię.

– Eee... – zaczęłam, zwracając znowu głowę w stronę Macona, który wciąż się na mnie gapił. – Podwieźć cię?

– Nie, dzięki – rzucił do Scarlett.

– Macon, leje jak z cebra. – Mówiła głosem swojej mamy, dobrze mi znanym.

Gdy Macon patrzył na Scarlett, zauważyłam, że miał czerwone oczy, spuchnięte od płaczu.

– Wsiadaj – ponagliła go.

– Nic mi nie jest – powtórzył, oddalając się od samochodu. Przetarł twarz i włosy, rozpryskując wodę. – Na razie.

– Macon! – ponownie zawołała za nim, ale on już odchodził w deszczu.

Gdy zatrzymałyśmy się na światłach, skręcił za róg; ostatnią rzeczą, jaką widziałam, była jego biała koszula na tle cegieł w alejce. A potem zniknął jak za sprawą magii – bez śladu. Kiedy zasuwalam okno, Scarlett westchnęła i powiedziała coś o chodzeniu własnymi ścieżkami. Patrzyłam w głąb tamtej alejki, zastanawiając się, czy w ogóle go tam widziałam.

Rozdział 3

Kiedy myślę o Michaelu Sherwoodzie, przychodzą mi na myśl owoce i warzywa. Słonecznie żółte banany, jaskrawozielone kiwi, gładkie fioletowe śliwki. Nasza przyjaźń z Michaelem Sherwoodem, lubianych chłopakiem i lokalną sławą, zaczęła się od produktów żywnościowych.

Scarlett i ja pracowałyśmy jako kasjerki w Milton's Market. Nosiłam zielony fartuszek i plastikową plakietkę z tekstem: „Część, jestem Halley! Witamy w Milton's!”. Scarlett obsługiwała kasę numer osiem, dla klientów niekupujących słodczy, a ja ekspresową – do piętnastu produktów – tuż obok, na tyle blisko, że mogłam przewracać oczami albo przekrzykiwać pikanie skanera kodów kreskowych, kiedy miałam już dość. To nie była praca na dłuższą metę. Ale przynajmniej byłyśmy razem.

Widziałyśmy Michaela Sherwooda, gdy przyszedł na rozmowę kwalifikacyjną pod koniec czerwca. Był pod krawatem. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego i kiedy czekał w punkcie obsługi klienta, pomachał do mnie, jakbyśmy się dobrze znali. Dostał pracę w dziale owoców i warzyw, oficjalnie jako młodszy asystent kierownika dziennej zmiany działu produktów rolnych, co oznaczało, że układał pomarańcze, przepakowywał owoce na zielone tacki i owijał je folią, a także dwa razy dziennie zraszał warzywa za pomocą dużego węża. Prawie cały czas się śmiał i dobrze bawił, nawiązując przyjaźnie ze wszystkimi od „Mięsa” po „Zdrowie i urodę”. Ale najbardziej ciągnęło go do nas, do mnie i Scarlett. Właściwie do Scarlett. Ja jak zwykle załapałam się przy okazji.

Zaczęło się od kiwi. W pierwszym tygodniu pracy Michael Sherwood zjadał na lunch po cztery kiwi. Tylko kiwi. Nic poza tym. Z uśmiechem kładł je w plastikowym woreczku na małą wagę Scarlett, potem wynosił na trawnik przy parkingu, kroił i zjadał po jednym – sam. Ciekawiło nas to. Nigdy nie jadłyśmy kiwi.

– On lubi owoce – skwitowała Scarlett pewnego dnia, kiedy wyszedł, uśmiechnąwszy się do niej szeroko, jak to on, tak że się zarumieniła.

Raz podszedł do mojej kasy, ale od trzeciego dnia stawał już w kolejce do Scarlett, nawet jeśli nad moją głową zapalała się informacja: „Kasa wolna”.

Popatrzyłam na Michaela w zielonym fartuchu, jak siedział w słońcu z tymi małymi mechatymi owocami, i pokręciłam głową. Rumieniec zniknął z twarzy Scarlett dopiero po co najmniej piętnastu minutach.

Następnego dnia, kiedy doszedł do kasy ze swoimi kiwi, Scarlett podliczając go, powiedziała:

- Musisz naprawdę lubić te owoce.
- Są niesamowite – odparł, pochylając się nad ladą i terminalem do kart. –

Próbowałaś kiedyś?

– Tylko w sałatce owocowej – wyjaśniła.

Byłam tak skupiona na nasłuchiwaniu, że nabiłam za rigatoni dwieście dolarów, przez co zablokowałam kasę i przeraziłam biedną klientkę, która kupowała tylko to i krojonego ananasa oraz pudełko tamponów. Zajęta anulowaniem cen i nabijaniem ich od nowa, przeoczyłam połowę rozmowy przy sąsiedniej kasie, a kiedy odwróciłam się w tamtą stronę, Michael już wychodził ze swoim lunchem, a Scarlett trzymała w dłoni jedno kiwi, oglądając je ze wszystkich stron.

– Dał mi je – powiedziała szeptem. Twarz jej płonęła. – Możesz w to uwierzyć?

– Przepraszam, panienko! – zawołał ktoś stojący w kolejce do mnie. – Obsługuje pani czy nie?

– Tak! – odkrzyknęłam. I zapytałam cicho Scarlett: – Co jeszcze powiedział?

– Mam to – powiedział wysoki włochaty facet w koszuli w kropki, pchając przed sobą wózek i wciskając mi do ręki plik kuponów. Kupował cztery konserwy z pasztetem, odświeżacz powietrza i dwie puszki paliwa do zapalniczek. Czasami lepiej nie myśleć, co ludzie robią z rzeczami, które wrzucają do koszyka.

– Chyba pójdę na przerwę! – zawołała do mnie Scarlett i wyjęła szufladę ze swojej kasy. – Bo i tak nie mam klientów.

– Poczekaj, zaraz do ciebie przyjdę. – Ale oczywiście moja kolejka zrobiła się całkiem długa. Stali w niej ludzie z piętnastoma, osiemnastoma albo dwudziestoma produktami, bo nie każdy umie liczyć, i wszyscy patrzyli na mnie wyczekująco.

– A nie pogniewasz się, jeśli...? – rzuciła Scarlett z kiwi w wolnej ręce, zmierzając już na zaplecze, żeby zdać kasę. – Bo...

Szybko zerknęłam na zewnątrz i, podążając za jej wzrokiem, zobaczyłam Michaela z lunchem przy krawężniku.

– Nie ma sprawy – odpowiedziałam, odwracając się znów do Scarlett, i przeciągnęłam kupony Włochatego przez czytnik. – Wyjdę na przerwę później albo...

Ale ona już mnie nie słyszała, zniknęła za drzwiami, w słońcu, i usiadła obok Michaela Sherwooda. Moja najlepsza przyjaciółka oddała serce za kiwi.

Potem rzadko chodziliśmy razem na przerwę. Michael Sherwood wabił Scarlett dziwnymi egzotycznymi owocami i warzywami, podrzucając jej do kasy plasterki zielonych melonów i krwistych czerwonych pomarańczy, kiedy była zajęta. Później, gdy podnosiła głowę, na tablicy z napisem „Kasa dla klientów bez słodczy” zawsze coś leżało: albo pojedyncza gruszka, ustawiona pionowo, trzy rzodkiewki w idealnym rzędku. Nigdy nie widziałam, kiedy to robił, a obserwowałam jej stanowisko jak jastrząb. Ale Michael Sherwood miał w sobie

coś magicznego i oczywiście Scarlett bardzo się to podobało. Mnie też by się podobało, gdyby to chodziło o mnie.

Tego pierwszego lata, którego nie spędzałyśmy tylko we dwie, Michael był stale obecny. Rozśmieszał nas, przy skoku do basenu uderzał brzuchem o wodę albo obejmował Scarlett w pasie, gdy stała przy kuchennym blacie, mieszając ciasto na brownie. Było to też pierwsze lato, kiedy nie spędzałyśmy razem każdego wieczoru; czasami o zmierzchu patrzyłam na drugą stronę ulicy, widziałam w oknie Scarlett zasunięte żaluzje, a na podjeździe samochód Michaela, i wiedziałam, że mam trzymać się z daleka. Późnym wieczorem słyszałam, jak żegnają się przed domem, odsuwałam zasłony i patrzyłam, jak całują się w przyćmionym świetle latarni. Nigdy wcześniej nie musiałam zabiegać o jej uwagę. Teraz wystarczyło, żeby Michael na nią spojrzął, i biegła do niego, zostawiając mnie, bym sama zjadła lunch albo oglądała telewizję z ojcem, który o wpół do dziewiątej zasypiał na kanapie i głośno chrapał. Brakowało mi jej.

Ale Scarlett była taka szczęśliwa, że nie mogłam mieć jej tego za złe. Praktycznie jaśniała, śmiała się bez przerwy, gdy tak siedziała z Michaeliem na krawężniku przed Milton's i jadła winogrona, które wkładał jej do ust. Ukrywali się u niej w domu przez całe tygodnie, gotowali spaghetti dla Marion i oglądali wypożyczone filmy. Scarlett mówiła, że po zerwaniu z Elizabeth pod koniec roku szkolnego Michael chce uniknąć plotek. Tamtego dnia, kiedy wybraliśmy się nad jezioro, po raz pierwszy zaryzykowali, że zobaczą ich koledzy, ale na plaży było pusto i cicho. Rzucaliśmy frisbee i urządziliśmy sobie piknik z tego, co zapakowała Scarlett. Siedziałam z „Mademoiselle” na kolanach i patrzyłam, jak razem pływają, bawią się w wodzie i śmieją. Zdjęcie zrobiłam im dopiero później, gdy już się zbieraliśmy do powrotu i słońce zachodziło za nimi na pomarańczowo – było to ich jedyne wspólne zdjęcie. Scarlett wyrwała mi je z ręki, gdy tylko je wywołałam, zabierając także duplikat. Dała go Michaelowi, który wsadził je za prędkościomierz w swoim samochodzie, gdzie tkwiło, dopóki nie wymienił kilka tygodni później wozu na motocykl.

Na początku sierpnia powiedział jej, że ją kocha. Siedzieli nad basenem pod jej domem, z nogami w wodzie, a wtedy on pochylił się, pocałował ją w ucho i wyznał jej miłość. Opowiedziała mi o tym szeptem, jakby nie chciała, żeby czar przysł, gdyby mówiła o tym głośno i wszyscy się dowiedzieli.

Wyznanie to spowodowało, że czuła się jeszcze gorzej, kiedy dwa tygodnie później zginął. Był jedynym chłopakiem, który powiedział jej, że ją kocha, i mówił poważnie. Reszta świata nie wiedziała, jak bardzo Scarlett kochała Michaela Sherwooda. Nawet ja, mimo najlepszych chęci, nie do końca zdawałam sobie z tego sprawę.

Pierwszego dnia roku szkolnego Scarlett i ja zajechałyśmy na parking, znalazłyśmy miejsce na tyłach zawodówki i zajęłyśmy je. Scarlett wyłączyła silnik

samochodu i upuściła kluczyki na kolana. Przez chwilę siedzieliśmy bez ruchu.

– Nie chcę tam iść – powiedziała zdecydowanie.

– Wiem – odparłam.

– Ale w tym roku mówię poważnie – wyjaśniła z westchnieniem. – Nie jestem gotowa. Nie w tych okolicznościach.

– Wiem – powtórzyłam.

Od pogrzebu Scarlett jakby zamknęła się w sobie; prawie nigdy nie wspominała o Michaelu, więc ja też tego unikałam. Najpierw rozmawialiśmy niemal tylko o nim, a teraz stał się tematem tabu. W szkole zasadzili na jego pamiątkę drzewo, ze specjalną tabliczką, a państwo Sherwoodowie wystawili swój dom na sprzedaż. Słyszałam, że przenoszą się na Florydę. Życie bez Michaela toczyło się dalej. Ale kiedy padała o nim wzmianka, nie mogłam patrzeć na twarz Scarlett; pojawiało się na niej cierpienie i bezgraniczny smutek.

Betonową ścieżką prowadzącą do głównego budynku szkoły sunęli ludzie w nowych ciuchach. Słyszałam głosy i warkot przejeżdżających samochodów. Siedząc tam, w fordzie, cieszyliśmy się ostatnimi chwilami wolności.

Czekałam, trzymając między stopami nowy plecak – był w nim stos nowiutkich kołonotatników i niezaostrzone ołówki zamknięte w czystych i schludnych przegródkach – bo to zawsze Scarlett decydowała, kiedy mamy się ruszyć.

– Hm – powiedziała powoli, zakładając ręce na piersi. – Ale chyba nie mamy wyboru.

– Scarlett Thomas! – zawołał ktoś przy samochodzie.

Podniosłyśmy wzrok i zobaczyłyśmy Ginny Tabor, z nową krótką fryzurą i czerwoną szminką na ustach. Właśnie przebiegała obok, trzymając się za rękę z Brettem Hersheyem. Tylko Ginny potrafiła poderwać faceta na pogrzebie.

– Szkoła jest tam! – Wskazała palcem o czerwonym paznokciu, a potem zaśmiała się, odchylając głowę do tyłu, podczas gdy Brett wyglądał tak, jakby czekał, aż ktoś mu coś rzuci.

Ginny pomachała nam i poszła dalej, ciągnąc go za sobą. Nie mogłam uwierzyć, że na początku lata tak dużo się z nią widywałyśmy. Miałam wrażenie, jakby od tego czasu minęły wieki.

– O Boże – odezwała się Scarlett. – Nienawidzę jej.

– Wiem. – Najwyraźniej to była moja stała kwestia.

Zaczerpnęła powietrza, sięgnęła na tylne siedzenie po swój plecak i położyła go sobie na kolanach.

– No dobrze. To chyba nieuniknione.

– Masz rację – potwierdziłam i otworzyłam drzwi.

– Więc chodźmy – powiedziała niechętnie.

Wysiadła z samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Ruszyłam za nią,

wkraczając w tłum, który zaniósł nas przez parking dla nauczycieli na dziedziniec przed głównym budynkiem. Rozległ się pierwszy dzwonek i wszyscy, stłoczeni przed wejściem, weszli do środka, powodując zator w powodzi ciał, plecaków, łokci i stóp. Dałam się unieść fali korytarzem do swojej klasy, starając się nie stracić z oczu rudej głowy Scarlett.

– Jestem na miejscu – powiedziałam, kiedy dotarliśmy do drzwi sali pana Alexandra ozdobionych wyciętymi z kartonu sylwetkami żab.

– Powodzenia! – zawołała Scarlett, otwierając drzwi swojej klasy i przewracając oczami, nim zniknęła.

W sali pana Alexandra pachniało już formaldehydem, a on sam uśmiechnął się do mnie, poruszając wąsami, gdy zajmowałam swoje stałe miejsce. Pierwszy dzień zawsze wyglądał tak samo; wychowawcy sprawdzali listę, rozdawali plan lekcji i przekazywali miliony różnych zawiadomień o cenach biletów autobusowych i posiłków w stołówce czy przepisach dla naszych rodziców. Siedzący obok mnie Ben Cruzak, już nawalony, przysypiał z głową na biurku, a Missy Cavanaugh robiła sobie za nim manikiur. Nawet wąż na biurku pana Alexandra wyglądał na znudzonego po zjedzeniu myszy w obecności pasjonatów nauk ścisłych, którzy zawsze kręcili się w szkole przed pierwszym dzwonkiem.

Po piętnastu minutach smędenia przez interkom, kiedy na blacie przede mną zebrał się stos informacji grubości dwóch centymetrów, pan Alexander wreszcie rozdał każdemu z nas plan lekcji. Od razu się zorientowałam, że z moim coś jest nie tak; zostałam zapisana na wstęp do analizy matematycznej (choć nie zaliczyłam algebry II), francuski III (mimo że chodziłam na hiszpański), a co najgorsze, do zespołu muzycznego.

– Miłego dnia! – zawołał pan Alexander, przekrzykując dzwonek, kiedy wszyscy ruszyli do drzwi.

Podeszłam do jego biurka.

– Tak, Halley? – zapytał.

– Dostałam nie mój rozkład zajęć – oznajmiłam. – Zapisano mnie do zespołu.

– Do zespołu?

– Tak. I na analizę matematyczną i trzeci poziom francuskiego, a to nie moje przedmioty.

– Hm – mruknął, patrząc nad moją głową na wchodzących uczniów. – Lepiej zwolnij się z pierwszej lekcji i spróbuj się dostać do sekretariatu...

– Ale...

Wstał, poruszając wąsami.

– Dobrze, chłopcy i dziewczęta, siadajcie, a ja zaraz puszcę w obieg plan sali. Będzie obowiązywał przez cały semestr, więc zastanówcie się przed wyborem miejsc. Nie stukajcie w akwarium, wąż dostaje od tego szału. Mamy wstęp do

biologii, więc jeśli ktoś znalazł się tu przez pomyłkę...

Wysłałam na korytarz. Scarlett czekała na mnie, oparta o gaśnicę.

– Hej. Jaką masz pierwszą lekcję?

– Analizę matematyczną.

– Co? Przecież zaliczyłaś dopiero pierwszy rok algebry.

– Wiem. – Przerzuciłam plecak na drugie ramię, już mając szkoły po dziurki w nosie. – Dostałam pochrzaniony plan lekcji. Zapisano mnie do zespołu.

– Zespołu?

– Właśnie. – Osunęłam się na bok, żeby przepuścić gromadę futbolistów. – Muszę się dostać do sekretariatu.

– Do dupy – orzekła. – Ja mam angielski, a potem grafikę użytkową, więc spotkamy się później, dobra? Na dziedzińcu, przy automatach z napojami.

– Wtedy mam być na próbie zespołu – odparłam ponuro.

– Nie mogą cię zmusić, żebyś chodziła na zajęcia muzyczne – powiedziała ze śmiechem. Popatrzyłam na nią. – Nie mogą i już. Idź do sekretariatu. Spotkamy się później.

W sekretariacie było pełno ludzi, stali oparci o ściany albo siedzieli na podłodze; wszyscy czekali na trzech szkolnych pedagogów. Sekretarka, przed którą bez przerwy dzwonił telefon, spojrzała na mnie oszalałym wzrokiem wściekłego zwierzęcia.

– O co chodzi? – Nosiła mocne okulary, przez co jej oczy wydawały się wielkie jak spodki. – Jaką masz sprawę?

– Dostałam zły plan lekcji – powiedziałam, gdy znowu zadzwonił telefon i rozbłysły na bazie czerwone diody. – Muszę zobaczyć się z pedagogiem.

– Chwileczkę – odparła. Odebrała telefon, patrząc na mnie i podnosząc palec, jakby wciskała guzik z napisem „Pauza”. – Halo, tu sekretariat szkoły. Nie, nie może teraz rozmawiać. Dobrze. Oczywiście. – Odłożyła słuchawkę z kablem owiniętym wokół nadgarstka. – Więc o co chodzi? Chcesz się zobaczyć z pedagogiem?

– Mam zły plan lekcji. Zapisano mnie do zespołu

– Do zespołu? – Zamrugła. – A co jest złego w zespole?

– Nic – odpowiedziałam. Obok mnie przeszedł z naburmuszoną miną dzieciak niosący klarnet. Ściszyłam głos. – Tyle że nie gram na żadnym instrumencie. To znaczy, nigdy nie należałam do zespołu.

– Cóż – odparła powoli, gdy znowu zadzwonił telefon – może to zajęcia na początkujących. Poziom pierwszy.

– Nie zapisywałam się do zespołu – oświadczyłam już trochę głośniejszym głosem, żeby przekrzyczeć dzwonek telefonu. – Nie chcę chodzić na te zajęcia.

– Dobrze więc, wpisz swoje nazwisko na tę listę – warknęła, nie mając cierpliwości, żeby dyskutować nad zaletami wychowania muzycznego, i podnosząc

słuchawkę telefonu. – Zostaniesz przyjęta, kiedy tylko się da.

Usiadałam pod ścianą, pod półką z publikacjami poświęconymi problemom nastolatków o takich tytułach, jak: *Jesteśmy różni. Zrozumieć swoje nastoletnie dziecko* czy *Presja ze strony rówieśników. Odnaleźć swoją drogę*. Była wśród nich druga książka mojej matki: *Mieszane uczucia. Matki, córki i szkoła średnia*, co nastroiło mnie jeszcze gorzej. Gdybym miała ochotę popastwić się nad sobą, wystarczyło ją wziąć i kolejny raz przeczytać o tym, jakie dobre łączą nas relacje.

W pokoju był gorąco, wszyscy, stłoczeni na małej przestrzeni, mówili za głośno. Dziewczyna obok mnie z pasją wypisywała różnokolorowymi pisakami na okładce zeszytu: „Umrzeć, umrzeć, umrzeć”. Zamknęłam oczy, wspominając wakacje, chłodną wodę w basenie i długie dni, kiedy oprócz pływania i spania do późna nic nie trzeba było robić.

Poczułam, że ktoś siada obok mnie, opierając się o ścianę, tak blisko, że trącił mnie w ramię. Skuliłam się, przyciągając kolana do piersi. Potem ten ktoś postukał mnie palcem w ramię. Otworzyłam oczy, przygotowana na to, że spędzę kolejne godziny w upiornym sekretariacie z Ginny Tabor.

To jednak nie była Ginny, tylko Macon Faulkner, który uśmiechał się do mnie.

– Co takiego zrobiłaś? – zapytał.

– Że co?

Dziewczyna od umierania odwróciła zeszyt i zaczęła metodycznie wypisywać litery zielonym pisakiem.

– Co zrobiłaś? – powtórzył pytanie i wskazał biurko sekretarki. – Dopiero pierwszy dzień szkoły, a ty już narozrabiałaś.

– Nie narozrabiałam – odparłam. – Pochrzanili mi plan zajęć.

– Taaa, jasne – odpowiedział powoli, udając, że mi wierzy. Miał bejsbolówkę z wystającymi spod niej jasnymi włosami, czerwony T-shirt i dzinsy. Nie nosił plecaka, tylko jeden kołnотatnik z długopisem zatkniętym za spiralę. Macon Faulkner zdecydowanie nie przepadał za szkołą. – Pewnie wdałaś się już w bójkę i zostałaś zawieszona.

– Nie. – Nie wiem, czy taki akurat miałam dzień, czy nagle udzieliła mi się śmiałość Scarlett, ale nie czułam zdenerwowania podczas rozmowy z nim. – Zapisano mnie na złe przedmioty.

– Jasna sprawa – rzucił. Oparł się o ścianę. – Umiesz się tu poruszać, prawda?

Popatrzyłam na niego.

– Nie rozumiem.

– Umiesz czy nie? – Zerknął na mnie zdziwiony. – Och, daj spokój. Potrzebujesz pomocy. Dobra, posłuchaj. Po pierwsze, do niczego się nie przyznawaj. To główna zasada.

– Nie mam żadnych kłopotów – powtórzyłam.
– Po drugie – ciągnął głośno, nie słuchając mnie wcale – spróbuj odwrócić ich uwagę, wspominając o swoim terapeutę. Powiedz na przykład: „Mój terapeuta uważa, że mam problemy z podporządkowaniem się”. Zachowaj powagę. Już samo słowo „terapeuta” da ci fory.

Zaśmiałam się.

– Na pewno.
– Naprawdę. A jeśli to nie zadziała, użyj mentalnej sztuczki Jedi. Ale tylko wtedy, kiedy nie będziesz już miała innego wyjścia.

– Co to takiego?

– Mentalna sztuczka Jedi? – zdziwił się. – Nie oglądałaś nigdy *Gwiazdnych wojen*?

Zastanowiłam się.

– Oczywiście, że oglądałam.
– Mentalna sztuczka Jedi polega na tym, że sugerujesz komuś, co ma myśleć. Powiedzmy, że jestem panem Mathersem. I mówię: „Macon, przekraczasz granice, a to dopiero pierwszy dzień nauki. Tak zaczynasz rok szkolny?”. Ty jesteś mną. Co odpowiadasz?

Pokręciłam głową.

– Nie mam pojęcia.

Przewrócił oczami.

– Mówisz: „Panie Mathers, pan mi to daruje, bo jest pierwszy dzień szkoły, to była zwykła pomyłka, nie ma co robić z igły wideł”.

– Wideł? – zapytałam. – Jakich wideł?

– Chodzi o to – wyjaśnił, machając ręką – że mówisz mu to wprost z dużą pewnością siebie. I co on na to?

– Że zwariowałaś?

– Nie. Mówi: „Dobrze, Macon. Tym razem ci daruję, bo to pierwszy dzień nauki, nie chciałeś źle, w sumie nic takiego się nie stało”.

Zaśmiałam się.

– Na pewno by tak nie powiedział.

– Powiedziałaśby – odparł, kiwając głową. – Na tym polega mentalna sztuczka Jedi. Możesz mi wierzyć. – I kiedy się do mnie uśmiechnął, niemal uwierzyłam.

– Naprawdę nie narobiłam sobie żadnych kłopotów. – Podałam mu mój plan zajęć. – Ta sztuczka raczej mi się nie przyda.

Spojrzał na kartkę, mrużąc oczy.

– Wstęp do analizy matematycznej. – Spojrzał na mnie, unosząc brwi. – Naprawdę?

– Nie. Ledwie przebrnęłam przez pierwszy rok algebry.

Pokiwał głową; najwyraźniej znaleźliśmy wspólny język.

– Francuski. Wuef... Hej, mamy to w tym samym czasie.

– Naprawdę? – Macon i ja grający w badmintona. Uczący się uderzeń golfowych. Obserwujący się z obu stron boiska do koszykówki wśród podskakujących piłek.

– Uhm. Trzecia lekcja. – Czytał dalej, potem zdjął czapkę, potrząsnął włosami i włożył ją daszkiem do tyłu. – Nauki ścisłe, angielski i tak dalej, i tak dalej... O! Co tu mamy?

Wiedziałam, do czego doszedł.

– Zespół muzyczny – powiedział z szerokim uśmiechem. – Należysz do zespołu.

– Nie, nie należę – odparłam głośno i dzieciak z klarnetem znowu na mnie spojrział. – To pomyłka, a nikt mi nie wierzy.

– Na czym grasz? – zapytał Macon.

– Na niczym – odpowiedziałam.

Starłam się okazać wyższość, ale był taki słodki. Nie miałam pojęcia, dlaczego w ogóle ze mną gada.

– Wyglądasz mi na flet – zauważył z namysłem i pogładził się po brodzie. – Albo na piccolo.

– Zamknij się – warknęłam, zaskakując samą siebie śmiałością.

Zaczął się śmiać, kręcąc głową.

– A może trójkąt? – Podniósł rękę, udając, że go trzyma i uderza w niego wymyśloną pałeczką.

– Zostaw mnie w spokoju – jęknęłam, chowając twarz w dłonie i licząc w głębi ducha, że nie posłucha.

– Już dobrze – powiedział i objął mnie, ściskając moje ramię. Miałam ochotę umrzeć. – Tylko się z ciebie nabijam.

– To najgorszy dzień w moim życiu – powiedziałam, gdy zabrał rękę, przesuwając ją po moich plecach. – Najgorszy.

– Faulkner! – rozległ się donośny głos, tak że w pokoju zapadła cisza. Uniosłam głowę i zobaczyłam pana Mathersa, głównego pedagoga młodszych klas, który stanął przy biurku z teczką w dłoniach. Nie wyglądał na zadowolonego. – Wejdz.

– To ja – powiedział wesoło Macon. Wstał i wziął swój kołonośnik. Postukał się palcem w skroń i puścił do mnie oko. – Pamiętaj. Mentalna sztuczka Jedi.

– Dobrze – odparłam, potakując.

– Na razie, Halley – rzucił.

Niespiesznie podszedł do pana Mathersa, który położył mu rękę na ramieniu i poprowadził go w głąb korytarza. Nie mogłam uwierzyć, że w ogóle pamiętał, jak mam na imię. Dziewczyna od umierania patrzyła teraz na mnie, jakbym za sprawą

krótkiej rozmowy z Maconem Faulknerem nagle stała się ważniejsza albo bardziej godna uwagi. Ja zdecydowanie czułam się inna. Macon Faulkner, który przez całe moje życie nie wypowiedział do mnie łącznie więcej niż siedem słów, pojawił się nie wiadomo skąd i rozmawiał ze mną kilka minut. Jakbyśmy się kumplowali, a znaliśmy się oficjalnie zaledwie jeden dzień. Zrobiło mi się dziwnie w żołądku i ni stąd, ni zowąd przypomniałam sobie Scarlett przy kasie w Milton's, rumieniącą się na widok kiwi.

– Hal... Hal Cooke. Czy jest tu Hal Cooke? – powiedział ktoś znudzonym tonem zza głównego biurka, wrywając mnie ze stanu błogości. W takie właśnie dni jak początek roku przeklinam rodziców, że nie dali mi na imię Jane albo Lisa.

Wstałam i wzięłam plecak. Wysoka Afroamerykanka w jaskraworóżowym kostiumie, która stała przy biurku, wciąż usiłowała wypowiedzieć moje imię.

– Halley – powiedziałam, podchodząc do niej. – Mam na imię Halley.

– Uhm. – Odwróciła się i dała mi znak, żebym poszła za nią korytarzem. Minęłyśmy dwa gabinety i zbliżyłyśmy się do trzeciego. Gdy przechodziłyśmy obok środkowego pokoju, odniosłam wrażenie, że słyszę zza niedomkniętych drzwi głos Macona i niskie pomruki pana Mathersa. Ciekawa byłam, czy mentalna sztuczka Jedi działa.

Prawie zapomniałam o Maconie, gdy już wyszłam z gabinetu, zmęczona i zdenerwowana, z nowym rozkładem zajęć w dłoni. Stałam oszołomiona za drzwiami gabinetu, gdy rozległ się dzwonek po drugiej lekcji i z klas oraz korytarzy wysypali się uczniowie. Skierowałam się do automatu z napojami i zastałam przy nim Scarlett.

– Hej! – zawołała do mnie przez tłum desperacko spragnionych ludzi, którzy pchali się z moniakami. Pomachała nad głową dwiema puszkami coli, a ja ruszyłam za nimi, aż znalazłyśmy się pod murem, tym samym, przy którym zrobiono Michaelowi tamto zdjęcie z pokazu slajdów. Podała mi jedną puszkę. – No i jak z tym zespołem?

– Super – odparłam. Otworzyłam puszkę i pociągnęłam łyk coli. – Twierdzą, że jestem niezwykle utalentowaną oboistką.

– Jak diabli – skomentowała.

Uśmiechnęłam się.

– Na szczęście się z tego wywinęłam. Ale nie uwierzysz, z kim rozmawiałam w sekretariacie.

– Z kim?

Przy automacie rozległ się zbiorowy okrzyk zawodu, który nas zagłuszył, i ktoś został wysłany po woźnego. Maszyna nawala przynajmniej raz dziennie, wzniecając mały bunt wśród uczniów. Odczekałam, aż zebrani się uspokoili i podzwaniając drobnymi, odeszli, a potem odpowiedziałam:

– Z Maconem Faulknerem.

– Naprawdę? – Scarlett otworzyła plecak i zaczęła czegoś w nim szukać. – Co u niego?

– Chyba już zdążył podpaść.

– Nic dziwnego. – Odstawiła puszkę coli. – Boże, nagle zrobiło mi się niedobrze. Strasznie niedobrze.

– Jesteś chora?

– W pewnym sensie. – Wyjęła buteleczkę z aspiryną, odkorkowała ją i wydobyła dwie tabletki. – To pewnie moja znana i poświadczona awersja do szkoły.

– Pewnie tak. – Patrzyłam na nią, kiedy oparła się o ścianę i przymknęła oczy.

W słońcu jej włosy przybrały głęboki odcień czerwieni, wręcz nierzeczywisty, przetykany jaśniejszymi pasmami.

– W każdym razie to było dziwne – podjęłam. – Usiadł obok mnie, tak po prostu, i zaczął nawijać, aż prawie odpadło mi ucho. Jakbyśmy się znali.

– Przecież się znacie.

– Niby tak, ale dopiero od pogrzebu. Przedtem nie mieliśmy okazji się zapoznać.

– I co z tego? To małe miasteczko, Halley. Wszyscy się tu znają.

– To było po prostu dziwne – powtórzyłam. Odtworzyłam w głowie tamtą scenę, poczuwając od tego, jak Macon dźgnął mnie w ramię, a skończywszy na tym, jak odszedł, wymawiając moje imię. – Sama nie wiem.

– Hm – odparła powoli, ściągając włosy w kucyk – może cię lubi.

– Och, przestań. – Znowu zaczęła palić mnie twarz.

– Nigdy nie wiadomo. Nie powinnaś za każdym razem zakładać, że to niemożliwe.

Zabrzmiał dzwonek, więc dopiłam colę i wrzuciłam puszkę do kosza z odpadami do recyklingu.

– No to na trzecią lekcję.

– Uhm. Mam oceanografię. – Założyła plecak na ramię. – A ty?

– Ja mam... – zaczęłam, ale ktoś klepnął mnie w ramię, a gdy się odwróciłam, już go nie było. Klasyczny numer. Obróciłam się w stronę Scarlett i zobaczyłam za nią Macona, który szedł do sali gimnastycznej.

– Chodź! – zawołał do mnie przez pusty już dziedziniec. – Chyba nie chcesz się spóźnić na wuef!

– Wuef – dokończyłam ze zmieszaniem, czując, że znowu oblewam się rumieńcem. – Lepiej już pójść.

Scarlett tylko na mnie spojrzała i pokręciła głową, jakby wiedziała coś, czego ja jeszcze nie wiem.

– Uważaj – powiedziała cicho, poprawiając plecak.

– Na co? – spytałam.

– Wiesz na co – odrzekła ze smutkiem i spojrzała na mnie uważnie. Potem, uśmiechając się, znowu pokręciła głową i ruszyła na lekcję. – Po prostu bądź ostrożna. Na wuefie i w ogóle.

– Dobra. – Zaczęłam się zastanawiać, czy ma na myśli to, że mogę oberwać zbłąkaną piłką lekarską albo dostać w oko lotką od badmintonu, czy pomyślała o Maconie, a wtedy przypomniała sobie Michaela i dlatego tak posmutniała. – Postaram się.

Pomachała mi i ruszyła do budynku nauk ścisłych, a ja się odwróciłam i odeszłam w przeciwną stronę. Otworzyłam drzwi do sali gimnastycznej, gdzie panowała woń pleśni, maści przeciwbólowej i przepoconych mat, i gdzie czekał na mnie Macon Faulkner.

Wuef stał się dla mnie najważniejszą lekcją. Ani choroba, ani katastrofa narodowa, ani nawet śmierć nie przeszkodziłyby mi stawić się na trzeciej lekcji w białych skarpetkach i granatowych szortach. Macon od czasu do czasu opuszczał zajęcia i w te dni byłam nieszczęśliwa, odbijałam piłkę do siatkówki bez zaangażowania i patrzyłam na zegar. Ale gdy się zjawiał, wuef stanowił dla mnie najlepsze zajęcia.

Oczywiście udawałam, że go nie znoszę, bo lubić wuef było jeszcze większym obciachem niż należeć do zespołu. Ale jako jedyna w szatni dla dziewcząt nie narzekałam głośno, kiedy o wpół do jedenastej przebierałyśmy się na kolejną lekcję gry w siatkówkę. Musiałam tylko wyjść z nonszalancją, udając jeszcze senną i nagle zauważyć Macona, który zwykle stał przy fontannie w nieprzepisowych tenisówkach i bez skarpetek (za co na każdej lekcji dostawał minus). Siadałam w pewnej odległości, machałam do niego i udawałam, że nie oczekuję, aby podszedł i przysiadł obok mnie, co zawsze robił. Zawsze. Tych kilka minut, zanim wkraczał trener Van Lee z kartkami na podkładce, to była dla mnie najlepsza część dnia, za każdym razem. Wyglądała, z niewielkimi modyfikacjami, mniej więcej tak:

Macon: – Jak leci?

Ja: – Jestem wykończona.

Macon: – Uhm, ja też wczoraj późno wróciłem.

Ja (jakby mi kiedykolwiek pozwolono wrócić po ósmej w dzień powszedni):

– To tak jak ja. Widzę, że znowu nie włożyłeś skarpetek.

Macon: – Zapomniałem.

Ja: – Nie zaliczysz wuefu, zobaczysz.

Macon: – Zaliczę, jeśli kupisz mi skarpetki.

Ja (śmiejąc się sarkastycznie): – Jasne, już lecę.

Macon: – Dobra. Więc będziesz mnie miała na sumieniu.

Ja: – Zamknij się.

Macon: – Jesteś gotowa na siatkówkę?

Ja (jakbym była twardzielką): – Pewnie, że tak. Skopię ci tyłek.

Macon (ze śmiechem): – Dobra. Czemu nie? Zobaczymy.

Ja: – Dobra. Zobaczymy.

Żyłam dla tych chwil.

Macon nie chodził do szkoły, żeby „zdobyć wykształcenie” albo „przygotować się na studia”. Dla niego było to zło konieczne, które osładzał sobie śmieciowym żarciem i notorycznymi spóźnieniami. Gdy się zjawiał, przeważnie wyglądał, jakby dopiero co zwał się z łóżka, i wciąż dostawał od trenera za to, że wnosił na salę gimnastyczną jedzenie: tłukące się w plecaku puszki coli, upchnięte po kieszeniach batony czekoladowe i cukierki. Był mistrzem w podrabianiu usprawiedliwień.

– Faulkner – warczał trener, kiedy Macon wchodził dziesięć minut po dzwonku, bez skarpetek i z batonem w ustach – lepiej, żebyś miał usprawiedliwienie.

– Proszę bardzo – odpowiadał pogodnie i wyciągał kartkę z kieszeni.

Wszyscy patrzyliśmy z uwagą, jak trener ją czyta. Macon nigdy się nie denerwował. Oblewał wszystkie testy, choćby najłatwiejsze, za to potrafił doskonale podrobić każdy podpis. Miał do tego talent.

– Cała sztuka w nadgarstku – mówił mi, gdy zwalniał się z powodu kolejnego pogrzebu czy wizyty lekarskiej, pokazując zamaszty podpis swojej matki.

Czekałam, aż zostanie zdemaskowany. Ale daremnie.

Wyglądało na to, że nie musi wracać do domu o żadnej określonej porze; o jego matce wiedziałam tylko to, że nie stawia kropki nad „i”. Nie miałam nawet pojęcia, gdzie mieszkają. Macon wydawał się inny, nieokiełznany i gdy z nim byłam, z całym tym wariactwem, mogłam udawać, że ja też taka jestem. Opowiadał mi o imprezach, które zawsze ściągały gliniarzy, albo o przejażdżkach samochodem, które odbywał w środku nocy, pod wpływem impulsu – na plażę albo do Dystryktu Kolumbii – bo taką miał ochotę. Przychodził do szkoły w poniedziałek z mnóstwem historii do opowiedzenia, w T-shirtach z nazwami zespołów, o których nigdy nie słyszałam, z przystawionymi na wierzchu dłoni przepustkami do tego czy innego klubu. Wymieniał zupełnie mi nieznaną nazwiska i miejsca, ale kiwałam głową i uczyłam się ich na pamięć, a potem powtarzałam Scarlett, jakbym sama świetnie je znała, była tu czy tam, wiedziała to czy tamto. Coś w nim niesamowicie mnie intrygowało: on sam, ten jego sprężysty krok i przebiegły uśmiech, jego przeszłość, tajemnicza i zagadkowa, podczas gdy moja była zwyczajna i przejrzysta, udokumentowana.

Scarlett oczywiście tylko kręciła głową z uśmiechem, słuchając mojego trajkotu, gdy relacjonowałam jej każdy szczegół i gest towarzyszący naszym

idiotycznym rozmowom o skarpetkach i siatkówce. I siedziała ze mną w milczeniu, kiedy Macon się nie pokazał i wpadałam w ponury nastrój, powtarzając, że wcale go nie lubię. I czasami, gdy na nią patrzyłam, znowu pojawiała się smutna mina, jakby Michael Sherwood wychynął z tego miejsca, gdzie go umieściła, przypominając jej o początku lata, kiedy to ona miała mnóstwo do opowiedzenia.

Tymczasem we wrześniu wiele się działo. Audycja radiowa w T104 prowadzona przez mojego ojca przeszła w lecie zmiany i nagle się okazało, że należy do tych, których wypada słuchać. Rankiem słyszałam jego głos dochodzący z samochodów na parkingu albo na światłach, czy nawet z głośników w Zip Marcie, gdzie Scarlett i ja wpadałyśmy w drodze do szkoły po colę i żeby zatankować benzynę. Mój ojciec, opowiadający żarty, droczący się z dzwoniącymi do studia słuchaczami i grający muzykę, której słuchałam od zawsze, zaczął towarzyszyć mi na każdym kroku. „Brian o poranku!” – głosił billboard na froncie galerii. „Pobudza lepiej niż płatki śniadaniowe!”. Ojciec uważał, że to strasznie śmieszne, jeszcze bardziej niż „dzielnica nieprzyjaciół”, a matka zarzucała mu, że wraca do domu okrężną drogą, aby tylko na niego spojrzeć. Słyszałam jego głos wszędzie, stał się nieodłącznym elementem mojego życia nawet poza domem. Dziwnie było dowiadywać się, że mój ojciec jest cool.

Najgorsze było jednak to, kiedy mówił o mnie. Pewnego dnia przed pójściem do szkoły wpadłam do Zip Martu, gdzie oczywiście nastawili T104; słuchacze dzwonili do studia, żeby opowiedzieć o najbardziej wstydliwych sytuacjach, jakie przeżyli. Z pół szkoły pod wpływem porannego głodu tytoniowego i niedoboru cukru kupowało akurat papierosy, ciastka i batony czekoladowe. Dochodziłam już w kolejce do kasy, kiedy usłyszałam swoje imię.

– Tak, pamiętam, jak moja córka Halley miała z pięć lat – mówił ojciec. – Rany, to była najśmieszniejsza scena, jaką w życiu widziałem. Byliśmy na przyjęciu z grillem, moja żona i ja...

Spurpurowiałam w jednej chwili. Czułam, że z każdym wypowiedzianym przez niego słowem temperatura rośnie mi o dziesięć stopni. Kasjer oczywiście wybrał sobie akurat ten moment, żeby zmienić taśmę. Utknęłam.

– Staliśmy i rozmawialiśmy z sąsiadami tuż obok wielkiej kałuży błota. Od kilku dni padało i zrobiło się dość mokro. W każdym razie nagle Halley woła do mnie: „Hej, tato, spójrz!”. Więc żona i ja patrzymy w tamtą stronę, a nasza córka biegnie, jak to małe dzieci, tak niezgrabnie...

– Cholera – rzucił kasjer, waląc w taśmę pięścią. Bez skutku, taśma nie chciała wejść. Znalazłam się w piekle.

– I wtedy, kiedy tak biegła, zbliżając się do kałuży, pomyślałam: „O rany, zaraz do niej wpadnie”. Już widziałem to oczami wyobraźni.

Ktoś za mną zachichotał. Żołądek mi się przewrócił.

– Wreszcie, rozpędzona, znalazła się na skraju kałuży, nagle straciła grunt

pod nogami... – Mój ojciec zaniósł się śmiechem, razem z tysiącem osób w drodze do pracy i siedzących już w biurach na terenie trzech hrabstw. – I przejechała na pupie przez błoto, zatrzymując się dopiero u naszych stóp. Cała pokryta mazią. A my wszyscy usiłowaliśmy powstrzymać się od śmiechu, o Boże. To była najśmieszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. W całym swoim życiu.

– Dolar dziewięćdziesiąt centów – powiedział do mnie kasjer.

Rzuciłam banknot i jakieś drobne, a następnie przepchnęłam się wśród rozbawionych twarzy do samochodu, w którym czekała Scarlett.

– O rany – powiedziała, kiedy wsiadłam. – Umierasz ze wstydu?

– Zamknij się – warknęłam.

Przez cały dzień musiałam słuchać aluzji o błocie oraz znosić porozumiewawcze dźgnięcia i chichoty. Macon zaczął na mnie mówić Ubłocone Majty. To było najgorsze.

– Przepraszam cię – powiedział ojciec, gdy tylko zobaczył mnie wieczorem. Zignorowałam go i ruszyłam po schodach na górę. – Naprawę jest mi przykro. Tak jakoś wyszło, Halley. Nie chciałem.

– Brian – odezwała się matka. – Chyba nie powinieneś naruszać w ten sposób prywatności Halley. Rozumiesz?

I mówiła to kobieta, która napisała o mnie dwie książki. Moi rodzice żyli z upokarzania mnie.

– Wiem, wiem – odparł ojciec, nie przestając się uśmiechać. – Ale to było takie zabawne. No nie? – Zachichotał, a potem się zreflektował. – Nie mam racji?

– Tak, bardzo zabawne. Można skończyć ze śmiechu.

To tylko jeden z przykładów tego, jak tej jesieni rodzice doprowadzali mnie do szału. Nie chodziło tylko o to, że narobili mi wstydu na cały stan. Chodziło o coś, czego nie potrafiłam określić ani wskazać, o zbieg słów i zdarzeń, które narastały szybko i kumulowały się niczym śnieżna kula, tocząca się po stoku i nabierająca rozpędu, aby mnie zmiażdżyć. Nie chodziło o to, co mówili ani jakie wymieniali spojrzenia, kiedy pytali, jak minął dzień w szkole, a ja mamrotałam w odpowiedzi, że dobrze, z pełnymi ustami, patrząc tęsknie w stronę domu Scarlett, która jadła sama, byłam tego pewna, przed telewizorem, nie musząc nikomu się spowiadać. Były takie czasy, gdy matce jako pierwszej opowiedziałabym o Maconie Faulknerze i o tym, czym stał się dla mnie wuef. Teraz jednak widziałam tylko jej sztywny kark, cienką linię zaciśniętych ust, kiedy siedziała naprzeciwko mnie i przypominała, że mam odrobić lekcje, nie, nie mogę pójść do Scarlett, jutro przecież idę do szkoły, a mam jeszcze naczynia do pozmywania i śmieci do wyniesienia. To samo mówiła mi od lat. Tyle że teraz nasyciło się to czymś jeszcze, czymś, co zaległo między nami, uniemożliwiając wszelkie dalsze rozmowy.

Wiedziałam, że matka nie zrozumie tej całej historii z Maconem

Faulknerem. Nie mogłabym dalej uciec od niej, Noah Vaughna i obrazu idealnej córki, którą byłam na tamtym zdjęciu z Wielkiego Kanionu. W świecie, w którym żyłam obecnie, świecie szkoły średniej i miłości do wuefu, po śmierci Michaela Sherwooda, nie było miejsca dla mojej matki ani tego, co reprezentowała. To jak w tym teście, kiedy cię pytają, co nie pasuje do grupy: jabłko, banan, gruszka, traktor. Nic nie mogła na to poradzić. Moja matka, mimo wszelkich wysiłków, jakie podejmowała, była jak ten traktor.

Rozdział 4

Macon wreszcie się ze mną umówił – nastąpiło to osiemnastego października o jedenastej dwadzieścia siedem. To pamiętny moment, błysk w ciemności. Moje życie nie obfitowało w niesamowite przeżycia, więc zamierzałam zapamiętać każdy szczegół tego wydarzenia.

Był piątek, dzień testu z badmintona. Oddawszy kartkę, wyjęłam zeszyt do angielskiego i pracowałam nad poszerzaniem słownictwa, jednocześnie zerkając na Macona, który gryzł ołówek, gapił się w sufit i męczył nad pięcioma krótkimi pytaniami, tymi samymi, które trener zadawał na teście od piętnastu lat.

Po kilku minutach wstał, żeby oddać test, i mijając mnie, zatknął ołówek za ucho. Przygotowałam się, czytając jak zakłęcie wciąż to samo słówko „felieton”, którym próbowałam go do siebie zwabić. Felieton, felieton - gdy podawał trenerowi kartkę, potem wyciągał rękę nad głowę i niespiesznie ruszał z powrotem na miejsce. Felieton, felieton – kiedy zbliżał się coraz bardziej i przechodząc obok mnie, wreszcie się uśmiechnął. Felieton, felieton – powtarzałam beznadziejnie, widząc te słowa przed oczami. I w końcu, po ostatnim felietonie, pochwyciłam szmer podsuwanego w moją stronę zeszytu i oto Macon usiadł obok mnie na błyszczącej podłodze sali gimnastycznej. Wtedy poczułam to głupie uderzenie krwi tych kilku minut trzeciej lekcji, tuż przed wuefem, jakby planety osiągnęły koniunkcję i przez następne piętnaście minut miałam go tylko dla siebie.

– Więc – powiedział, kładąc się z głową tuż przy mojej nodze – kto wynalazł grę w badmintona?

Spojrzałam na niego.

– Nie wiesz?

– Tego nie mówię. Pytam tylko, jak odpowiedziałas.

– Odpowiedziałam poprawnie.

– To znaczy?

Tylko wzruszyłam ramionami.

– No wiesz. Tamten facet.

– Jasne. – Kiwnął głową, uśmiechając się szeroko i przeczesując palcami wilgotne włosy. – No dobra. Ja też tak odpowiedziałem, Ubłocone Majty.

– To świetnie. – Odwróciłam kartkę zeszytu do angielskiego, udając, że się na nim skupiam.

– Co robisz w ten weekend? – zapytał.

– Jeszcze nie wiem. – Odbywaliśmy taką samą rozmowę co piątek; on zawsze miał jakieś wspaniałe plany, a ja udawałam, że też mam.

– Superrandka z pocziwym Noah?

– Nie – odparłam.

Klasa Noah niedawno rozgrywała z nami mecz w siatkówkę i oczywiście, kiedy mrukiwie się ze mną przywitał, wyjaśniłam Maconowi, kto to jest. Dlaczego zdradziłam, że był moim chłopakiem, nie mam pojęcia; od tamtej pory nie mogę tego odżalować.

– A ty? – zagadnęłam.

– Jest ta impreza, ale sam nie wiem – wyjaśnił. – W Arbors.

– No, no.

– Uhm. Ale może być drętwo.

Kiwnęłam głową, bo tak było zawsze najbezpieczniej, po czym skłamałam, ponieważ to było najbezpieczniejsze w drugiej kolejności:

– A tak. Chyba Scarlett coś o tym wspominała.

– Taa, na pewno o niej wie. – Scarlett była naszym łącznikiem. – Powinnyście przyjść, co ty na to?

– Może przyjdziemy – odpowiedziałam i postanowiłam, że tak się stanie, nawet gdyby sam Bóg próbował nam w tym przeszkodzić. – Ona ma ochotę. Ale nie wiem.

– Hm. – Spojrzał na mnie, odrzucając kosmyk jasnych włosów, który opadał mu na czoło. – Nawet jeśli ona nie da rady, ty powinnaś przyjść.

– Sama nie mogę – odparłam bez namysłu.

– Nie byłabyś sama – wyjaśnił. – Ja tam będę.

– Ach. – Wtedy właśnie spojrzałam na zegar nad jego głową, rejestrując ten moment na wieczną pamiątkę. Punkt kulminacyjny tych wszystkich meczów badmintonu, serwów siatkarskich, okrążeń wokół sali. Na to czekałam. – Dobra. Przyjdę.

– Fajnie. – Uśmiechał się do mnie i w tamtej chwili zgodziłabym się na wszystko, cokolwiek by zaproponował, choćby nie wiem jak ryzykowanego. – No to do zobaczenia na miejscu.

Rozległ się dzwonek, głośny i wkurzający, który odbił się od ścian wielkiej sali, i wszyscy zaczęli wstawać. Trener Van Leek zapowiedział głośno, że w poniedziałek zaczynają się kręgle i będziemy się uczyć pięciu kroków rozbiegu, ale ja go nie słuchałam, ani jego, ani nikogo innego, bo Macon wziął ode mnie zeszyt, wstał i wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wstać. Spojrzałam na niego, zastanawiając się, w co się pakuję, ale to już nie miało znaczenia. Podałam mu dłoń, czując, jak jego palce zaciskają się na moich. Pociągnął mnie w górę, ku sobie, a ja poddałam się temu, otwierając szeroko oczy.

Po szkole poszliśmy ze Scarlett do jej domu, gdzie Marion przygotowywała się do randki z księgowym, którego niedawno poznała, niejakim Steve'em Michaelsonem. Lakierowała paznokcie i paliła przy tym jak smok, podczas gdy my się przyglądałyśmy, jedząc chipsy.

– To jaki jest ten Steve? – zapytałam.

– Bardzo miły – odpowiedziała Marion swoim niskim głosem, wydmuchując obłok dymu. – Poważny, ale w uroczy sposób. To znajomy znajomego znajomego.

– Powiedz to drugie – odezwała się Scarlett i włożyła następnego czipsa do ust.

– Co? – Marion potrząsnęła buteleczką z lakierem.

– No wiesz.

– O co chodzi? – włączyłam się.

Marion podniosła jedną dłoń i obejrzała.

– Chodzi o to, czym się zajmuje. Takie hobby.

– Powiedz jej – powiedziała znowu Scarlett i patrząc na mnie, uniosła brwi, więc zorientowałam się, że będzie ubaw.

Marion spojrzała na mnie, westchnęła i wyznała:

– Należy do takiej grupy. To raczej klub historyczny, którego członkowie badają razem średniowiecze. W weekendy.

– To ciekawe – odparłam, kiedy Scarlett odsunęła krzesło i podeszła do zlewu. – Klub historyczny.

– Marion. – Scarlett podstawiała ręce pod kran. – Powiedz, co on robi w tym klubie.

– A co takiego robi? – Nie mogłam wytrzymać.

– Przebiera się – rzuciła Scarlett, zanim Marion zdążyła otworzyć usta. – Ma coś w rodzaju średniowiecznego alter ego, w weekendy z kumplami przebiera się w średniowieczne ciuchy i zmienia w tego kogoś. Organizują turnieje rycerskie i festiwale, śpiewają ballady.

– Nie organizują turniejów – bąknęła Marion, zabierając się do lakierowania paznokci drugiej dłoni.

– Owszem, tak – odrzekła Scarlett. – Rozmawiałam z nim któregoś wieczoru. Wszystko mi powiedział.

– No i co z tego? – zapytała Marion. – Wielka rzecz. Moim zdaniem to jest nawet fajne. Zupełnie inny świat.

– Ten facet to wariat – zauważyła Scarlett. Wróciła do stołu i usiadła obok mnie. – Czubek.

– Nieprawda.

– Wiesz, jak nazywa się to jego alter ego? – zwróciła się do mnie. – Zgadnij.

Popatrzyłam na nią.

– Nie mam pojęcia.

Marion zachowywała się tak, jakby w ogóle nas nie słyszała, zajęta polerowaniem różowego paznokcia.

– Wład – wyjaśniła Scarlett dramatycznie – Wład Palownik.

– Wcale nie Palownik – burknęła Marion – tylko Wojownik. A to różnica.

– Wszystko jedno. – Scarlett nigdy nie przepadała za facetami, z którymi

umawiała się Marion; przeważnie byli to mężczyźni, którzy patrzyli na nią ze skrępowaniem, gdy w weekendowe poranki wymykali się z domu.

– Na pewno jest bardzo miły – powiedziałam wolno, kiedy Marion skończyła malować paznokcie lewej dłoni i zamachała nią w powietrzu.

– Bo jest – odparła zwyczajnie. Wstała od stołu i ruszyła w stronę schodów, wciąż machając ręką z rozstawionymi palcami. – I Scarlett też by się o tym przekonała, gdyby kiedyś dała mu szansę.

Wkrótce znalazła się na górze. Gdy szła korytarzem do swojego pokoju, nad naszymi głowami trzeszczała podłoga. Scarlett zebrała brudne bawełniane waciki, wyrzuciła je do kosza, wzięła lakier i zmywacz do paznokci, a następnie odłożyła na miejsce, do koszyka w łazience.

– Dawałam już szansę tabunom facetów – powiedziała nagle, jakby Marion była wciąż w pokoju i mogła ją usłyszeć. – Ale ile można.

Kiedy siedziałyśmy w pokoju Scarlett, Steve przyjechał hyundaiem typu hatchback, z kwiatami. Obserwowałyśmy go z okna. Nie wyglądał na wojownika, a tym bardziej palownika, gdy prowadził Marion do samochodu, otwierał przez nią drzwi i zamykał je za nią starannie. Zanim odjechali, Scarlett odeszła od okna, ale ja przytknęłam dłoń do szyby i pomachałam do Marion.

Kiedy później wróciłam do domu, matka w kuchni czytała gazetę.

– Cześć! – zawołała. – Jak było w szkole?

– Dobrze. – Stałam w otwartych drzwiach, patrząc w kierunku schodów.

– A jak ci poszedł test z matematyki? Zaliczysz go?

– Jasne – odparłam. – Chyba tak.

– Vaughnowie przychodzą dziś wieczorem na film. Dawno się z nimi nie widziałaś, więc gdybyś miała ochotę...

Noah Vaughn chodził do jedenastej klasy i wciąż w piątkowe wieczory oglądał filmy ze swoimi i moimi rodzicami. Nie mogłam uwierzyć, że kiedyś z nim chodziłam.

– Idę do Scarlett – odpowiedziałam.

– Aha. – Pokiwała głową. – W porządku. Co będziecie robić?

Pomyślałam o Maconie, o zegarze w sali gimnastycznej, pamiętnej chwili, którą przeżyłam tego dnia, i wszystko to zachowałam dla siebie.

– Nic takiego. Gdzieś wyskoczymy. Pewnie na pizzę.

Chwila ciszy. A potem:

– Dobrze. Ale wróć przed jedenastą. I nie zapomnij, że jutro masz skosić trawnik. Tak?

Moja matka, która właśnie była w trakcie pisania książki o nastolatkach i odpowiedzialności, uznała, że muszę mieć w domu więcej obowiązków. „To wzmacnia więzi rodzinne – powiedziała mi. – Dążenie do wspólnego celu”.

– Trawnik – powtórzyłam. – Nie ma sprawy.

Byłam już w połowie schodów, kiedy zawołała:

– Halley?! Jeśli ty i Scarlett będziecie się nudzić, przyjdźcie do nas. Im więcej osób, tym weselej.

– Dobra! – odpowiedziałam i znowu pomyślałam, że zawsze musi mieszać się we wszystko, co robię, narzucać mi się, choćbym nie wiem jak się temu sprzeciwiała.

Gdybym powiedziała jej o Maconie, zasypałaby mnie pytaniami: „A co to za przyjęcie? Czy rodzice będą w domu? Czy będzie tam alkohol?”. Oczywiście zadzwoniłaby tam, żeby porozmawiać z rodzicami, jak wtedy, gdy szłam na swoją pierwszą imprezę z chłopakami. Wiedziałałam, że muszę zataić sprawę, tak jak zatajałam już niemal wszystko. Miałyśmy przed sobą tajemnice, prawdy i półprawdy, które trzymały nas na dystans, po obu stronach zamkniętych drzwi, całe kilometry od siebie.

Scarlett i ja przyjechałyśmy na imprezę o wpół do dziesiątej, czyli jak uznaliśmy, szpanersko późno. Przy ulicy stało już mnóstwo samochodów, zaparkowanych byle jak na krawężnikach i przy skrzynkach pocztowych. Był to dom Ginny Tabor, impreza Ginny Tabor i pierwsze, co zobaczyłyśmy na podjeździe, to ją samą, już pijaną, siedzącą na bagażniku bmw należącego do jej matki, z kieliszkiem wina w jednej ręce i papierosem w drugiej.

– Scarlett! – zawołała, kiedy zbliżyłyśmy się do frontowego ganku, biało-czekoladowego jak cała reszta domu. Państwo Tabor mieszkali w domku z piernika, takie przynajmniej można było odnieść wrażenie przy tych wszystkich dekoracjach i skrzynkach na kwiaty.

Ginny zeskoczyła z samochodu i pociągnęła za sobą Brettę Hersheya.

– Hej, dziewczyno! – powiedziała, gdy zbliżyła się do nas, chwiejnie mijając wielką fontannę pośrodku kolistego podjazdu. Miała na sobie czerwoną sukienkę i buty na wysokich obcasach, wszystko razem zbyt wyszukane jak na piątkową imprezę z piwem. – Właśnie chciałam z tobą pogadać.

Scarlett westchnęła. Miała katar i w ogóle nie chciała przyjechać. Wstała z kanapy, gdzie leżała sobie wygodnie przed telewizorem, z pudełkiem chusteczek do nosa, tylko dlatego, że ją błagałam, bo nie chciałam jechać sama. Wcześniej musiałam zgrabnie ominąć Noah Vaughna, który, gdy się zegnałam, siedział ze smętną miną u nas w kuchni, jakby liczył, że nagle postanowię do niego wrócić. Jego siostrzyczka Clara uczepliła się moich nóg i prosiła, żebym została, a matka jeszcze raz wspomniała, żebyśmy przyszły ze Scarlett, jeśli najdzie nas ochota. Nie zdziwiłabym się, gdyby mnie związali i zmusili do pozostania, psując mi najważniejszy wieczór w całym moim życiu.

Miałam tylko nadzieję, że Macon doceni, przez co dla niego przesłam.

Rozglądałam się za nim dyskretnie, gdy tymczasem Ginny otoczyła Scarlett ramieniem. Brett stał obok, najwyraźniej skrępowany. Był sztywnym facetem,

typem amerykańskiego sportowca, o szerokich ramionach i krótko ostrzyżonych włosach.

– Co za impreza. Nie uwierzysz, ile się działo – Ginny tchnęła Scarlett w twarz i nawet ja poczułam, że zalatuje od niej alkoholem. – Laurie Miller i Kent Hutchinson cały czas siedzą w sypialni dla gości, a sąsiedzi już zdążyli wezwać policję. Ale w domu jest gosposia, więc nie mogli nic zrobić, tylko kazali nam być ciszej.

– Co ty nie powiesz. – Scarlett pociągnęła nosem, sięgając do kieszeni po chusteczkę.

– I przysłała Elizabeth Gunderson, z tymi wszystkimi dziewczynami, z którymi się prowadzi od śmierci Michaela. Są na poddaszu, piją wino i płaczą. Słyszałam, że założyły jakąś sektę jego imienia, ale nie jestem pewna, czy to nie plotka. – Pociągnęła kolejny łyk wina. – Czy to nie dziwaczne? Jakby chciały przywrócić go do życia.

– Wejźmy do środka – powiedziałam. Chwyciłam Scarlett za koszulkę i pociągnęłam w stronę domu, gdzie nagle ucichła muzyka i usłyszałam śmiech jakiejś dziewczyny. – Szukamy kogoś.

– Kogo?! – zawołała za nami Ginny, gdy Brett objął ją w pasie i podtrzymał.

W domu znowu rozległa się muzyka z dudniącymi basami. Kiedy wchodziłam do środka, krzyknęła jeszcze coś, czego nie zrozumiałam, bo trochę bełkotała.

Otworzyłam na wpół otwarte drzwi i wpadłam prosto na Caleba Mitchella i Sashę Benedict, którzy całowali się przy dziadkowym zegarze. Kilka osób tańczyło w salonie, a inni leżeli na kanapie przez telewizorem; na ekranie didżej MTV mówił coś bezgłośnie. Dalej, w głębi pokoju, grupa dziewczyn grała w ćwiartki, rzucając monetą na stoliku do kawy. Nigdzie jednak nie widziałam Macona.

– Chodź – rzuciła Scarlett.

Ruszyłam za nią korytarzem do kuchni, gdzie przy stole i na lśniących białych blatach siedziało kilka osób, paląc papierosy i pijąc. Liza Corbin, przed letnią szkołą modelingu i operacją nosa największa kretyńska na świecie, tkwiła na kolanach jakiegoś zawodnika wspomagającego, opierając głowę na jego ramieniu i śmiejąc się głośno. Inna dziewczyna z mojej klasy koczowała na podłodze z kolanami przyciągniętymi do piersi; trzymała kieliszek z białym winem i była zielona. Scarlett zajrzała do bocznego korytarzyka i otworzyła jakieś drzwi, czym wystraszyła Hiszpankę, która siedziała na podwójnym łóżku, oglądała powtórkę *Falcon Crest* i coś cerowała.

– Przepraszam – powiedziała Scarlett, gdy kobieta spojrzała na nas szeroko otwartymi oczami. Zamknęłyśmy drzwi. Pokręciła głową z uśmiechem. – To musi być ta hiszpańska gosposia.

– Na pewno – potwierdziłam.

Zaczęłam myśleć, że cała ta wyprawa to pomyłka; widziałyśmy wszystkich zawodników drużyny futbolowej, wszystkie cheerleaderki, połowę szkolnej hołoty, a Macona nigdzie nie było. Poczułam się głupio w ciuchach, które starannie wybrałam, niby wkładając na siebie byle co, jakbym bez przerwy chodziła na imprezy i spotykała się z chłopakami.

Poszłyśmy na piętro, wciąż się rozglądając, ale tam też Macona nie znalazłyśmy. Czułam się jak idiotka, gdy tak go szukałam, podczas gdy on był pewnie całe kilometry dalej, w drodze na plażę albo do Dystryktu Kolumbii, bo przyszła mu taka chęć.

Zanim wróciłyśmy na dół, wiedziałam, że coś się dzieje; zrobiło się za cicho i ktoś zaczął krzyżeć. Zerknąwszy za róg, zobaczyłam Ginny w salonie; stała nad stosem potłuczonego szkła. Na grubym białym dywanie rozlewała się czerwona plama, pod kolor jej sukienki. Ginny się chwiała, miała czerwoną twarz i palcem wskazywała drzwi.

– Tak, wynocha stąd! – wrzeszczała na grupę osób wokół niej, które cofnęły się o kilka kroków i tylko patrzyły. – Mówię poważnie. Spadajcie, i to już.

– Ojej – odezwała się za mną Scarlett. – Ciekawe, co się stało?

– Ktoś rozbił jakąś cenną pamiątkę rodzinną – cicho odpowiedziała stojąca przed nami dziewczyna, którą znałam z wuefu. – Jakiś kryształ czy coś takiego. I rozlał czerwone wino.

Ginny uklękała i wycierała dywan T-shirtem, podczas gdy kilkoro jej koleżanek i kolegów stało wokół niepewnie, udzielając rad. Pozostali goście zaczęli przesuwać się w stronę wyjścia.

– Drętwo tu – rzuciła jakaś dziewczyna w topie z odkrytymi plecami, mijając nas. – I piwo się skończyło.

Jej koleżanka, ruda z kolczykiem w nosie, kiwnęła głową, przerzucając długie włosy za ramię.

– Słyszałam, że dziś wieczorem w mieście jest impreza u studentów. Jeźdźmy tam. Na pewno będzie lepiej niż tu, z tymi wszystkimi chłoptasiami ze szkoły.

Koleżanki Ginny jedna po drugiej odłączały się od grupy, brały papierosy i torebki, i wymykały się z pokoju. Brett Hershey, zawsze dżentelmen, znalazł szufelkę ze szczotką i zamiatał szkło, podczas gdy Ginny siedziała na dywanie i płakała. W domu robiło się coraz ciszej.

Spojrzałam na Scarlett, zastanawiając się, co mamy zrobić, a ona zajrzała do salonu i zawołała wesoło:

– Cześć, Ginny! Do zobaczenia w poniedziałek.

Ginny podniosła głowę i popatrzyła na nas. Rozmazał jej się tusz do rzęs, zostawiając pod oczami czarne smugi.

– Rodzice mnie zabijają – jęknęła, bezradnie wskazując poplamiony dywan. – Wazon był ślubnym prezentem. A tej plamy nie da się zakryć.

– Woda gazowana – poradziła Scarlett, kiedy lekko uchyliłam drzwi, licząc, że szybko umkniemy. Ginny tylko się na nas gapiła. – I odrobinę wybielacza. Od razu zejdzcie.

– Woda gazowana – powoli odparła Ginny. – Dzięki.

Wyślizgnęłyśmy się z domu, zatrzasnąwszy drzwi. Ktoś zostawił na fontannie pusty czteropak, a w przejrzystej wodzie pływała butelka, która, gdy przechodziłyśmy obok, obijała się o brzeg.

– Ale beznadzieja – powiedziała Scarlett, kiedy podeszłyśmy do samochodu. Taktownie nie zwracała uwagi na moje przygnębienie.

– Powinłam była wiedzieć – odparłam. – Jak mógłby poważnie się ze mną umówić!

– Tak to brzmiało.

– Wszystko jedno. – Wsiadłam do samochodu, gdy Scarlett uruchomiła silnik. – Samej mi będzie lepiej.

– Mnie na pewno – odpowiedziała wesoło. Wyjechała na ulicę z wielkimi domami Arbors wznoszącymi się po obu stronach. – Nie będę musiała słuchać codziennie obrzydliwych opowieści z lekcji wuefu.

– Daj mi spokój. – Oparłam głowę o zimną szybę w oknie. – Jest do dupy.

– Wiem – odrzekła łagodnie. Wyciągnęła rękę i poklepała mnie po nodze. – Wiem.

Po powrocie do niej usiadłyśmy na schodach ganku. Piłyśmy colę i przeważnie milczałyśmy. Scarlett kilka razy wydmuchała nos, a ja próbowałam ratować resztki godności, rzucając kulawe uwagi, w które żadna z nas nie wierzyła.

– Tak naprawdę nigdy go nie lubiłam – powiedziałam. – To dzikus.

– Uhm – potwierdziła, ale wiedziałam, że uśmiecha się w ciemnościach. – Nie jest w twoim typie.

– Zupełnie nie – ciągnęłam. – Powinien chodzić z Ginny Tabor. Albo z Elizabeth Gunderson. Kimś o podobnej reputacji. Byłam głupia, myśląc, że spojrzę dwa razy na kogoś takiego jak ja.

Scarlett oparła się o drzwi i wyciągnęła przed siebie nogi.

– Dlaczego wygadujesz takie bzdury?

– Jakże bzdury?

Po drugiej stronie ulicy w oknie mojego domu przesunęła się postać Noah.

– Kogoś takiego jak ty? – powtórzyła za mną. – Każdy facet byłby szczęśliwy, gdybyś była jego dziewczyną, Halley, i wiesz o tym. Jesteś śliczna, inteligentna, lojalna i dowcipna. Elizabeth Gunderson i Ginny to kretyнки o donośnych głosach. I to wszystko. A ty jesteś wyjątkowa.

– Scarlett – jęknęłam. – Proszę cię.

– Nie musisz mi wierzyć – odparła, machając ręką. – Ale to prawda i wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Macon Faulkner byłby szczęściarzem, gdybyś to ty wybrała jego – prychnęła ponownie, szukając chusteczki. – Cholera, zaraz wrócę. Poczekaj.

Weszła do domu. Gdy powoli zatrzasnęły się za nią drzwi, usadowiłam się na schodkach, patrząc na swój rozświetlony dom i ciemne niebo nad nim. Mój ojciec pewnie robił popcorn i popijał piwo, a matka i pani Vaughn gadały w trakcie filmu, zagłuszając dialogi. Noah prawdopodobnie wciąż się dąsał, a Clara, zwinięta w kłębek, spała na moim łóżku, tak że potem trzeba ją będzie zanieść do samochodu. Znałam te piątkowe wieczory aż za dobrze. Ale moja matka nie rozumiała, że nie mogę spędzić reszty życia na kanapie z Noah, miską popcornu na kolanach, z nią samą siedzącą obok. Że na myśl o tym zaczynam się dusić i robi mi się zbyt smutno, aby spojrzeć jej w oczy.

Wtedy nagle zauważyłam kogoś, kto szedł ulicą w stronę mojego domu. Przeciął podwórko McDowellów i przeskoczył przez ich żywopłot, a potem pobiegł chodnikiem aż do naszego podjazdu. Wyprostowałam się, obserwując jego cień; przesunął się obok szeregu drzew, które moja matka usiłowała wyhodować wzdłuż ogrodzenia, i zręcznie przekroczył dołek, gdzie ojciec złamał kostkę, kosząc poprzedniego lata trawę. Wstałam i cicho przebiegłam przez ulicę, podchodząc do domu z boku.

Ktokolwiek to był, w końcu zatrzymał się pod oknem mojego pokoju i przez chwilę patrzył w górę, po czym schylił się, wziął coś z ziemi i rzucił. Usłyszałam pacnięcie, kiedy to odbiło się od szyby, więc podeszłam bliżej, na tyle, żeby zobaczyć wyraźniej tego kogoś, gdy rzucił kolejnym kamieniem. Zamiast w okno, trafił jednak w rynnę, która nie była przymocowana i wydała głośny brzęk. Usłyszałam także jego głos, stłumiony szept.

– Halley! – Przerwa, a potem kolejne uderzenie kamieniem w okno. – Halley!

Schowałam się za drzewo, które latem ocieniało mój pokój, zaledwie kilka kroków od Macona Faulknera, który najwyraźniej zamierzał wybić mi szybę w oknie, a przynajmniej tak ją osłabić, żeby sama pękła.

– Halley! – Zbliżył się do domu, wykręcając szyję.

Podkrađłam się do niego z tyłu i kiedy rzucał kolejnym kamieniem, klepnęłam go w ramię; wystraszony, obrócił się do mnie gwałtownie, tak że kamyk spadł mu na głowę, odbił się i wylądował między nami.

– Cholera – rzucił, cały czerwony. Niemal wyskoczył ze skóry. – Skąd się tu wzięłaś?

– Dlaczego próbujesz wybić mi okno?

– To nie tak. Chciałem, żebyś wyjrzała.

– Ale nie było mnie w domu.

– Tego nie wiedziałem – wyjaśnił. – Wystraszyłaś mnie na śmierć.

– Przepraszam. – Nie mogłam uwierzyć, że tu jest, przed moim domem, jak jakiś duch, którego ściągnęłam myślami. – A skąd wiedziałeś, że to okno mojego pokoju?

– Wiedziałem i już – odpowiedział krótko. Zauważyłam, że nie miał zwyczaju nic wyjaśniać, jeśli tego nie chciał. Jeszcze nie całkiem doszedł do siebie, ale znowu szczerzył się do mnie, ukazując białe zęby, jakby sytuacja była całkiem zwyczajna. – Gdzie się podziewałaś?

– Kiedy?

– Wcześniej. Myślałem, że będziesz na imprezie.

– Byłam – odparłam, starając się, żeby zabrzmiało to od niechcenia. – Ale cię nie widziałam.

– Och, już nie kłam – odrzekł.

– Byłam tam – powtórzyłam. – Właśnie wróciłyśmy.

– Przyjechałem tam po siódmej – odpowiedział głośno, nie pozwalając mi dokończyć. – Rozglądałem się za tobą, czekałem, a ty mnie wystawiłaś...

– Wcale nie, to ty mnie wystawiłaś – podniosłam głos. – Scarlett może to potwierdzić.

– Scarlett? Jej też nie było.

– Owszem, była. Razem ze mną. – Spojrzałam na drugą stronę ulicy, gdzie właśnie stała, na schodkach, osłaniając dłonią oczy i patrząc w naszą stronę. Pomachałam do niej, a ona odpowiedziałam tym samym, po czym usiadła i wysmarkała nos.

– Byłem na górze – ciągnął Macon. – Nie widziałem was.

– Jak to: na górze?

– Na poddaszu.

– Ach. Tam nie poszłyśmy.

– Dlaczego?

Popatrzyłam na niego.

– A dlaczego miałyśmy tam iść?

– Nie wiem. – Zabrakło mu argumentów. – Ja poszedłem.

W moim pokoju zapaliło się światło i usłyszałam, że ktoś otwiera okno. Ojciec wystawił głowę na zewnątrz i rozejrzał się wokół, więc pchnęłam Macona w cień pod domem i stanęłam w blasku bocznej lampy na ganku.

– Hej! – zawołałam, czym przestraszyłam tatę, który cofnął głowę i uderzył nią w ramę okienną. – To tylko ja.

– Halley? – Odwrócił się, rozcierając głowę, i powiedział w głąb domu: – To tylko Halley. Śpij dalej, Claro. Wszystko w porządku.

Macon patrzył na mojego ojca, który, gdyby spojrział w dół, bez trudu by go zobaczył.

– Szukałam czegoś – rzuciłam nagle. Nieczęsto kłamałam przed ojcem, więc

byłam zadowolona, że wokół panuje ciemność. – Upuściłam bransoletkę Scarlett i obie jej szukałyśmy.

Ojciec wykręcił szyję, rozglądając się dookoła.

– Bransoletkę? I Scarlett jest tam na dole?

– Uhm – odpowiedziałam i dalej kłamstwa jakby same się ze mnie wydobywały. – To znaczy, nie, ale była i znalazłyśmy bransoletkę, więc wróciła do siebie. Bo ma katar i tak dalej. Właśnie miałam za nią pójść. Kiedy otworzyłeś okno.

Macon obok mnie rżał cicho.

– Czy nie pora wracać do domu? – spytał ojciec. – Już prawie wpół do jedenastej.

– Wrócę o jedenastej.

– Powinnyście przyjść obie. Noah przyniósł świetny film, a ja właśnie zrobiłem popcorn.

– Brzmi super, ale lepiej pójdę już do Scarlett – powiedziałam szybko, cofając się pod osłonę drzewa, które miałam za plecami. – Do jutra.

Pstryknął palcami.

– Słusznie! Czy nie masz rano randki z... – i tu przerwał dla efektu – z Bestią?

Myślałam, że umrę.

– Z Bestią? – wyszeptał Macon, szczerząc zęby w uśmiechu.

Ojciec w górze wydał odgłos naśladujący warkot. „Bestią” nazywał pieszczotliwie kosiarkę, swoją dumę. Był zenujący.

– Uhm. – Z całego serca pragnęłam, żeby już odszedł od okna. – Chyba tak.

– Dobrze więc. – Zaczął zamykać okno, waląc w nie bokiem dłoni w punkcie, gdzie zawsze się zacinało. – Nie skradaj się tak, dobrze? Śmiertelnie wystraszyłaś Clarę.

– W porządku – odparłam, kiedy okno się zatrzasnęło.

Widziałam za nim swój pokój, dopóki nie zgasło światło. Jeszcze przez chwilę stałam w miejscu, oddychając ciężko, aż zyskałam pewność, że ojciec sobie poszedł.

– Ale z ciebie kłamczucha – powiedziała Macon, wychodząc z cienia.

– Nieprawda – odparłam. – Przeważnie nie kłamię. Ale ojciec by spanikował, gdyby cię zobaczył.

– Chcesz, żebym sobie poszedł? – Zbliżył się do mnie i mimo że w ciemnościach nie widziałam dobrze jego twarzy, znałam każdy jej szczegół po tych wszystkich godzinach na wuefie, kiedy przyglądam mu się przez siatkę.

– Tak – odpowiedziałam głośno. Udał, że odchodzi, ale chwyciłam go za rękę i przyciągnęłam. – Żartuję.

– Na pewno?

– Tak. – I przez minutę czułam się tak, jakbym nie była sobą, jakbym była taką dziewczyną jak inne, śmiałą i beztroską. Macon miał w sobie coś, co sprawiało, że zachowywałam się inaczej, wypełniając tamten zarys jakimś kolorem – w końcu.

Z rozpaloną twarzą trzymałam go za rękę i w mroku mogłabym być Ginny Tabor czy nawet Scarlett, kimkolwiek, komu zdarzają się takie rzeczy. I kiedy się pochylił, żeby mnie pocałować, pomyślałam tylko, jakie to niewiarygodne, że przydarza mi się coś takiego na własnym podwórku, w najbardziej swojskim miejscu.

Wtedy zza rogu wyjechał samochód, dudniąc muzyką. Trąbiąc, minął mój dom i skręcił w Honeysuckle, gdzie zatrzymał się na jałowym biegu.

– Muszę lecieć – powiedział Macon, całując mnie drugi raz. – Jutro zadzwonię.

– Poczekaj... – powiedziałam, gdy się odsunął, trzymając mnie za rękę, dopóki nie musiał jej puścić. – Dokąd jedziesz?

– Faulkner! – zawołał ktoś z ulicy.

– Pa, Halley – szepnął, uśmiechając się do mnie, i skręcił za dom, znikając w ciemności.

Wychyliłam się zza rogu, patrząc, jak zanurkował pod oknem kuchennym, w którym tkwił Noah Vaughn. Miał poważną, nieruchomą twarz, gdy patrzył na mnie, stojąc z colą w ręce. Nie widział tego, co ja: rozplywającego się w powietrzu Macona.

Następnego ranka, kiedy wyszłam z domu, ojciec uśmiechał się szeroko. Uwielbiał to.

– Cześć, trawnikowa dziewczyno. Jesteś gotowa zmierzyć się z Bestią? – A potem znowu zaczął wydawać warkot.

– To wcale nie jest śmieszne – zauważyłam.

– Ależ jest. – Zachichotał. – Lepiej zabierz się do roboty, zanim nastanie upał. Założę się, że zajmie ci to co najmniej dwie godziny.

– Przymknij się – burknęłam, co jeszcze bardziej go rozbawiło.

Ojciec uważa, że nasz trawnik jest beznadziejny; w minionych latach doprowadzał do rozpaczony firmy ogrodnicze i chłopaków z okolicy, którzy najmowali się do koszenia. Ojciec jako jedyny potrafił sobie z nim poradzić, uważał się więc za bohatera, pogromcę zawziętej trawy.

– Dobrze – powiedział, nagle poważniejąc. – Między jałowcami jest dołek, który załatwił mnie zeszłego lata, a przy ogrodzeniu szereg korzeni drzew, stworzonych specjalnie po to, żeby ściągnąć kosiarkę na bok i zarżnąć silnik. Nie wspominając o koleinach na podwórku i kilku ukrytych pniakach. Ale dasz sobie radę.

– Miejsmy to już za sobą. – Pochyliłam się i uruchomiłam kosiarkę, kierując

się z nią w stronę krawężnika od frontu. Ojciec szedł za mną, śmiejąc się pod nosem.

Na podwórku było gorąco, głośno i zbyt słonecznie. Stałam się senna, nieuważna i trafiłam na dołek, o którym oczywiście zapomniałam; wpadłam do niego, wykręciłam sobie nogę w kostce i poleciałam do przodu, a kosiarka skoczyła i krztusząc się, zgasła. Ojciec stał przy ogrodzeniu i rozmawiał o trawnikach, golfie czy czymś w tym stylu z panem Perkinsem, naszym sąsiadem. Żaden z nich nie zauważył, jak zaryłam nosem w trawę, a potem ze złości kopnęłam kosiarkę.

Nagle rozległ się klakson i odwróciwszy się, zobaczyłam, że przy krawężniku zatrzymuje się czerwony pikap z zielonym brezentem okrywającym coś na platformie. Przyjechał nim Macon.

– Cześć! – zawołał. Wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi. – Jak leci?

– Świetnie – odpowiedziałam. – A właściwie wręcz przeciwnie. Właśnie się wywaliłam. – Obejrzałam się przez ramię na ojca, który na nas patrzył.

– To twój tata? – zapytał Macon.

– Uhm – odparłam. – We własnej osobie.

Macon rozejrzał się po podwórku, spojrzał na kawałek trawnika, który już skosiłam, i na wysoką trawę przede mną wyrosłą bujnie po tygodniu deszczów.

– Pomóc ci? – zagadnął konfidencjonalnie.

– Och, przecież nie będzie ci się chciało... – zaczęłam, ale on już ruszył z powrotem do pikapa i odrzucił brezent, spod którego ukazała się kosiarka dwa razy większą od mojej.

Sprowadził ją po rampie na ziemię. Miał na głowie firmową bejsbolówkę Zadbany Dom i Ogród, którą, przygotowując się do roboty, odwrócił daszkiem do tyłu.

– Nie rozumiesz – rzuciłam, kiedy zaczął sprawdzać poziom paliwa i oglądać kółka. – Ten trawnik jest beznadziejny. Dosłownie potrzeba mapy, żeby się na nim nie zabić.

– Czyżbyś nie doceniała moich umiejętności fachowych? – zauważył, patrząc na mnie. – Mam nadzieję, że tak nie jest.

– Ależ skąd – szybko zaprzeczyłam – ale... naprawdę to nie będzie łatwe.

– Ciii. – Odpędził mnie ruchem ręki. – Cofnij się, dobrze? – Potem wyprostował się i pociągnął sznur.

Kosiarka zaryczała i pod kierunkiem Macona ruszyła do przodu. Zaczęła wciągać trawę, zostawiając za sobą pokos dwukrotnie szerszy niż Bestia. Odwróciłam się i spojrzałam na ojca, który gapił się na Macona, gdy ten prześlizgnął się zgrabnie nad korzeniami drzew oraz dołkiem, idealnie strzygąc trawnik przy ogrodzeniu.

– Halley! – zawołał, przekrzykując kosiarkę. – To miało być twoje zadanie!

– Pracuję – odparłam szybko, uruchamiając własną maszynę, która zaczęła

pyrkać jak zabawkowa kosiarka, gdy wjechałam nią między krzewy jałowca. – Widzisz?

Nie usłyszałam jego odpowiedzi, bo Macon minął nas znowu, zostawiając za sobą równy zielony pas skoszonej trawy. Jak najęty fachowiec skinął głową mojemu ojcu, skręcił za róg i zniknął za nim, płosząc przy karmniku wszystkie ptaki, które wleciały w powietrze.

– Co to za chłopak? – spytał ojciec, wyciągając szyję, żeby spojrzeć za róg.

– Co?! – Pchałam kosiarkę, żeby okrążyć drzewa przy ogrodzeniu. W powietrzu unosił się zapach skoszonej trawy, słodki i ostry.

– Kto to jest?!

Wyłączyłam maszynę. Widziałam, jak Macon kosi trawę wokół zamaskowanych pniaków. Ojciec też to zobaczył i na jego twarzy pojawiło się zdumienie.

– To mój kolega – odpowiedziałam.

W tonie mojego głosu musiało być coś, co mnie zdradziło, bo mina ojca się zmieniła i wiedziałam, że przestał myśleć o trawniku.

We frontowych drzwiach stanęła matka z kubkiem kawy.

– Brian, jakiś dziwny chłopak kosi trawę.

– Wiem – odrzekł ojciec. – Właśnie się tym zajmuję.

– Myślałam, że to obowiązek Halley – zauważyła, jakby w ogóle mnie tam nie było. – Czy mi się wydaje?

– Nie – odparł znużonym głosem. – Wszystko jest pod kontrolą.

– To dobrze. – Wróciła do środka, ale widziałam, że zatrzymała się przy przeszklonych drzwiach, aby nas obserwować.

– To miał być twój obowiązek – powiedział, jakby czytał napisaną przez nią kwestię.

– Nie prosiłam go o pomoc – wyjaśniłam, gdy kosiarka wyjechała z za domu, ścinając trawę wokół garażu. – Rozmawialiśmy o tym wczoraj wieczorem i chyba zapadło mu to w pamięć. Dorabia sobie, kosząc trawniki.

– Co nie zmienia faktu, że to twój obowiązek – podjął ostatni wysiłek, ale był już bliski kapitulacji.

Warkot kosiarki się zbliżał, bo Macon skosił już część trawnika od frontu i jechał w naszą stronę. Zanim ją wyłączył, hałas stał się wręcz ogłuszający, więc gdy nagle zapadła cisza, staliśmy we troje i tylko patrzyliśmy na siebie. Aż dzwoniło mi w uszach.

– Tato – powiedziałam wolno – to Macon Faulkner. Macon, to mój tata.

Macon podał mojemu ojcu rękę, po czym zdjął czapkę i oparł się o kosiarkę.

– O rany, ale macie tu trudny trawnik – powiedział. – Tamte trzy pniaki za domem o mało mnie nie zabiły.

Ojciec, początkowo zachowujący rezerwę, nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Nie był pewny, czy matka pochwaliłaby jego zachowanie.

– Cóż – odparł, rozluźniając się i wkładając ręce do kieszeni – muszę ci powiedzieć, że rzeczywiście kilku już wykończyły.

– Wyobrażam sobie – skwitował Macon. Spojrzałam nad jego głową w stronę domu i zobaczyłam, że matka stoi w drzwiach i wciąż na nas patrzy. – Ta maszyna ma czujniki, co znacznie ułatwia sprawę.

– Czujniki? – Ojciec zbliżył się do kosiarki i spojrzał na panel sterowania. Był wyraźnie rozdarty między świadomością tego, jak powinien się zachować, a miłością do urządzeń i narzędzi ogrodniczych. – No naprawdę.

– Ten tutaj pokazuje, na jaką głębokość pan wszedł – wyjaśnił Macon, wskazując kontrolki. – A wszystko co wykracza poza wysokość, z jaką może poradzić sobie ostrze, widać tutaj, na wykresie poziomym.

– Wykresie poziomym – powtórzył z rozmarzeniem ojciec.

Wtedy to usłyszeliśmy; frontowe drzwi się otworzyły i dobiegł nas ostry głos matki, który przerwał chwilę zadumy na trawniku.

– Brian?! Mogę cię prosić na chwilę?

Ojciec ruszył w stronę domu, nie mogąc oderwać wzroku od kosiarki.

– Już idę! – zawołał, a potem odwrócił się w stronę matki i wszedł po schodach.

Widziałam, że zanim jeszcze znalazł się na ganku, zaczęła coś perorować.

– Dzięki – powiedziałam do Macona. – Uratowałeś mnie.

– Nie ma sprawy. – Ruszył z kosiarką z powrotem w kierunku krawężnika. – Muszę ją oddać. Zobaczymy się później, dobrze?

– Dobrze. – Patrzyłam, jak ładuje maszynę na pikapa.

Wsiadł do samochodu, zdjął czapkę i rzucił na sąsiedni fotel.

– To na razie!

Odjechał. Skręcając za róg, zatrąbił na pożegnanie. Powoli ruszyłam podjazdem w stronę ganku, gdzie stała matka.

– Halley – powiedziała, zanim weszłam na pierwszy stopień. – Myślałam, że zawarłyśmy umowę. Koszenie trawy to twój obowiązek.

– Wiem – odparłam. Ojciec studiował jakąś plamę nad moją głową, unikając kontaktu wzrokowego. – Ale on tylko chciał mi pomóc.

– Kto to jest?

– Taki jeden – odrzekłam.

– Skąd go znasz?

– Chodzimy razem na wuef – wyjaśniłam. Czym prędzej otworzyłam drzwi i weszłam do domu, żeby się zmyć. – Nic szczególnego.

– Wydaje się miły – podsunął ojciec, patrząc na trawnik.

– No, nie wiem – odpowiedziała powoli matka.

Ruszyłam po schodach, udając, że jej nie słyszę, i odwracając głowę, żeby

nic nie było po mnie widać.

– No, nie wiem.

Część II

Ktoś taki jak ty

Rozdział 5

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała do mnie Scarlett, gdy ważyłam produkty kupowane przez kobietę z dwojgiem krzyczących dzieci w wózku. – Spotkajmy się w damskim kiblu.

– Co mówisz? – zapytałam, bo panował hałas i ruch, a ja starałam się skupić na pomarańczach i śliwkach zbliżających się do mnie na taśmie.

– Pospiesz się – syknęła.

Zniknęła w alejce z płatkami śniadaniowymi, nie dając mi szansy na dyskusję. Stojąca do mnie kolejka była długa, wiła się wokół stoiska z artykułami na Halloween aż do produktów higienicznych dla kobiet. Dotarłam do łazienki dopiero po piętnastu minutach. Scarlett stała przed szeregiem umywalek z rękami splecionymi na piersi.

– Co się stało? – zapytałam.

Ona tylko pokręciła głową.

– No? O co chodzi?

Sięgnęła za automat z papierowymi ręcznikami i wyjęła biały podłużny przedmiot z małym otworem na końcu. Kiedy wyciągnęła go w moją stronę, zobaczyłam, że w otworze widnieje jaskraworóżowy plus. Wtedy do mnie dotarło.

– Nie – jęknęłam. – To niemożliwe.

Scarlett pokiwała głową, przygryzając wargę.

– Jestem w ciąży.

– Niemożliwe.

– Ależ tak. – Machnęła mi przed oczami testem ciążowym z pozytywnym wskazaniem. – Spójrz.

– Te testy nie są nieomyślne – odparłam, jakbym się na tym znała.

– To trzeci, który zrobiłam.

– I co z tego?

– Co z tego? Trzy razy zaszła pomyłka, Halley? Od trzech tygodni mam poranne mdłości, a do tego wciąż sikam. Jestem w ciąży.

– Nie – rzuciłam. Oczami wyobraźni zobaczyłam moją matkę wypowiadającą słowo „wyparcie”. – To niemożliwe.

– Co mam zrobić? – zapytała, krążąc nerwowo po łazience. – To był tylko jeden raz.

– Uprawiałaś seks? – spytałam.

Przystanęła.

– Oczywiście, że uprawiałam seks. O rany, Halley, postaraj się skupić.

– Nic mi nie mówiłaś. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Westchnęła głośno.

– O matko, nie wiem, Halley. Może dlatego, że następnego dnia on zginął. Postaraj się zrozumieć.

– O Boże – powiedziałam. – Nie zabezpieczyliście się?

– Jasne, że tak. Ale coś się stało. Sama nie wiem. Ona spadła. Zorientowałam się, gdy było już po wszystkim. A potem – mówiła coraz głośniej – pomyślałam, że za pierwszym razem nic się nie mogło stać. Nie mogło i już.

– Jak to: spadła? – Nie bardzo rozumiałam; nie znałam się na technicznej stronie seksu. – O Boże.

– To szaleństwo. – Mocno ucisnęła palcami skronie, czego nigdy nie robiła.

– Nie mogę urodzić tego dziecka, Halley.

– Oczywiście, że nie – potwierdziłam.

– Więc co? Mam usunąć ciążę? – Pokręciła głową. – Czegoś takiego nie zrobię. Może powinnam jednak urodzić?

– O Boże – powtórzyłam.

– Proszę. – Usiadła pod ścianą i przyciągnęła nogi do piersi. – Proszę, przestań mówić to w kółko.

Podeszłam i usiadłam przy niej, obejmując ją ramieniem. Siedziałyśmy razem na zimnej podłodze w Milton's, słuchając lecącego gdzieś z głośników *Fernando*.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałam z jak największą pewnością. – Poradzimy sobie.

– Och, Halley – odparła cicho, opierając się o mnie. Przed nami wynikiem do góry leżał test ciążowy. – Brakuje mi go. Strasznie mi go brakuje.

– Wiem – odrzekłam i wiedziałam, że teraz moja kolej przeprowadzić nas przez to. – Wszystko będzie dobrze, Scarlett.

Ale mówiąc to, bardzo się bałam.

Tamtego wieczoru spotkałyśmy się w kuchni u Scarlett: ona, ja i Marion, która jeszcze o niczym nie wiedziała, i gdy usiadłyśmy przy stole, strasznie długo jadła kolację. Miała później randkę ze Steve'em *alias* Władem, więc nie było zbyt dużo czasu na rozmowę.

– Już prawie ósma – zauważyłam, patrząc na Scarlett, która wciskała do serwetnika zbyt dużo serwetek.

– Tak? – Marion odwróciła głowę i spojrzała na zegar kuchenny. Wzięła papierosy, odsunęła krzesło i powiedziała: – Chyba przygotuję się do wyjścia.

Ruszyła do drzwi, więc rzuciłam Scarlett ponagląjące spojrzenie. Przez chwilę patrzyłyśmy na siebie, tocząc ze sobą niemą walkę. W końcu odezwała się cichym, ledwie słyszalnym, bezbarwnym głosem:

– Poczekaj.

Marion nie usłyszała. Scarlett wzruszyła ramionami na znak, że próbowała, a ja wstałam, gotowa zatrzymać jej matkę. Słyszałam już, jak Marion wchodzi na

schody, pokonując trzeci skrzypiący stopień, kiedy Scarlett westchnęła i powiedziała głośniej:

– Marion, poczekaj.

Ta zawróciła i wetknęła głowę do kuchni. Tego dnia musiała przygotować do sesji zdjęciowej w Fabulous You dwie ważące po sto kilogramów kobiety, z których jedna chciała pozować w bieliźnie, więc Marion była wykończona.

– O co chodzi?

– Muszę z tobą porozmawiać.

Marion stanęła w progu.

– Co się dzieje?

Scarlett spojrzała na mnie, jakbyśmy brały udział w sztafecie i przysłała pora, żebym to ja przejęła pałeczkę. Marion zaczynała tracić cierpliwość.

– O co chodzi? – powtórzyła, przenosząc wzrok ze Scarlett na mnie i z powrotem.

– Jest źle – zaczęła Scarlett i zaczęła płakać. – Naprawdę źle.

– Źle? – Teraz Marion wyraźnie się przestraszyła. – Mów. I to już.

– Nie mogę – wykrztusiła Scarlett przez łzy.

– Słucham. – Marion oparła dłoń na biodrze. Była to klasyczna poza mojej matki, ale do Marion dziwnie nie pasowała, tak jakby nagle włożyła śmieszny kapelusz. – Mówię poważnie.

Wtedy Scarlett wyrzuciła z siebie:

– Jestem w ciąży.

Zrobiło się cicho i nagle zauważyłam, że z kranu cieknie woda: kap, kap, kap.

Marion zapytała:

– Od kiedy?

Scarlett przez chwilę szukała słów. Spodziewała się innej reakcji ze strony matki.

– Od kiedy?

– Tak. – Marion nie patrzyła na żadną z nas.

– Eee... – Scarlett spojrzała na mnie bezradnie. – Od sierpnia?

– Od sierpnia – powtórzyła Marion, jakby to był jakiś trop, pozwalający rozwiązać zagadkę. Westchnęła ciężko. – No cóż.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Spojrzałam w okno od frontu i zobaczyłam na ganku Steve'a w białym garniturze z bukietem kwiatów. Pomachał do nas i zadzwonił ponownie.

– O Boże – jęknęła Marion. – To Steve.

– Marion... – zaczęła Scarlett. Podeszła do niej. – Nie chciałam tego... zabezpieczyłam się, ale...

– Porozmawiamy później – odpowiedziała Marion. Nerwowo przeczesła

palcami włosy, obciągnęła sukienkę i skierowała się do drzwi. – Nie mogę... nie mogę teraz o tym rozmawiać.

Scarlett otarła oczy. Chciała coś powiedzieć, ale potem się odwróciła i wypadła z kuchni. Wbiegła po schodach na górę i zatrzasnęła drzwi swojego pokoju.

Marion wzięła głęboki oddech, opanowała się i ruszyła do frontowych drzwi. Za nimi stał uśmiechnięty Steve, w sportowej marynarce i mokasynach. Podał jej kwiaty.

– Cześć – powiedział. – Jesteś gotowa?

– Niezupełnie – odparła Marion i przywołała uśmiech na twarz. – Muszę jeszcze pójść na górę... zaraz wrócę, dobrze?

– Jasne.

Poszła na piętro i usłyszałam, że puka do pokoju Scarlett, mówiąc coś stłumionym głosem. Steve wszedł do kuchni. W jasnym świetle wyglądał jeszcze bardziej bezbarwnie.

– Cześć – rzucił do mnie. – Jestem Steve.

– Halley – odrzekłam, starając się usłyszeć, co dzieje się na górze. – Miło mi pana poznać.

– Jesteś przyjaciółką Scarlett? – zapytał.

– Tak – odparłam i pochwyliłam jej podniesiony głos. Wydawało mi się, że usłyszałam słowo „hipokrytka”.

– To chyba miła dziewczyna – zauważył. – Halley. Oryginalne imię.

– Dostałam je po babci – wyjaśniłam. Teraz z kolei słyszałam głos Marion, brzmiał surowo, więc zaczęłam paplać byle co, żeby go zagłuszyć. – A ona z kolei na pamiątkę komety.

– Naprawdę?

– Tak, urodziła się w maju tysiąc dziewięćset dziesiątego roku, kiedy przelatywała kometa Halleya. Pradziadek obserwował ją ze szpitalnego trawnika, gdy prababcia leżała na oddziale położniczym. W osiemdziesiątym szóstym, kiedy miałam sześć lat, patrzyłyśmy na nią obie.

– To fascynujące – rzucił Steve, jakby mówił całkiem poważnie.

– Nie pamiętam tego zbyt dobrze – ciągnęłam. – Ale podobno tamtego roku nie było jej wyraźnie widać.

– Ach tak. – Steve wyraźnie odetchnął z ulgą, gdy Marion wreszcie zesła.

– Gotowy?! – zawołała, już opanowana. Nie patrzyła na mnie.

– Gotowy – odparł wesoło Steve. – Miło było cię poznać, Halley.

– Wzajemnie, proszę pana.

Wziął Marion pod rękę i wyszli. Kiedy ruszyli chodnikiem, położył jej dłoń w dolnej części pleców. Marion kiwała głową, gdy mówiąc coś do niej, otwierał przed nią drzwi samochodu. Gdy odjeżdżali, spojrzęła za siebie w stronę okna

pokoju Scarlett.

Kiedy przyszedłam na górę, Scarlett leżała na łóżku z nogami przyciągniętymi do piersi. Kwiaty, które przyniósł Steve, leżały porzucone na komodzie, wciąż owinięte w celofan.

– Poszło całkiem dobrze, nie sądzisz?

Uśmiechnęła się, ale słabo.

– Szkoda, że jej nie słyszałaś. Tych tekstów o błędach, które sama popełniła, i o tym, że powinnam być od niej mądrzejsza. Jakby przez to wyszła na złą matkę.

– Nie – sprzeciwiłam się – tak pomyślałaby moja mama.

– Twoja mama by usiadła i przedyskutowała to z tobą w sposób racjonalny, a potem wsparłaby cię w podjęciu właściwej decyzji. Nie wybiegłaby z domu z jakimś wojownikiem.

– Moja mama padłaby trupem na miejscu – odparłam.

Scarlett wstała, podeszła do lustra nad toaletką i zbliżyła do niego twarz.

– Powiedziała, że w poniedziałek pojedziemy do kliniki i umówimy się na zabieg. Na aborcję.

Widziałam swoje odbicie w lustrze.

– Tak zdecydowałaś?

– Nie miałam za dużo do gadania. – Przesunęła dłońmi po brzuchu, wzdłuż paska dżinsów. – Powiedziała, że ona też to zrobiła. Kiedy miałam sześć czy siedem lat. I że to nic wielkiego.

– Ciężko by ci było z dzieckiem – odezwałam się, próbując pomóc. – Masz dopiero szesnaście lat. I całe życie przed sobą.

– Tak samo było z nią. Kiedy mnie urodziła.

– Ale to co innego – odparłam, choć wiedziałam, że to nieprawda.

Marion była w ostatniej klasie szkoły średniej, miała pójść do college'u dla dziewcząt na Zachodzie. Ojciec Scarlett grał w drużynie piłkarskiej, był przewodniczącym rady uczniowskiej. Zdał do jednej z lepszych uczelni na Wschodzie i Marion od tamtej pory nie miała z nim kontaktu.

– Urodzenie mnie było chyba jedynym nieegoistycznym uczynkiem w jej życiu. – Odeszła od lustra, opuszczając ręce. Spędziłyśmy w tym pokoju całe nasze życie, ale do tej pory nie miałyśmy takiego problemu. To nas przerastało.

– Wszystko się ułoży – zapewniłam ją.

– Wiem – odpowiedziała cicho. Spojrzała w lustro na siebie i na mnie. –
Wiem.

To miało stać się w piątek. Nie rozmawiałyśmy o tym wprost, tylko, jeśli było trzeba, ogłędnie, szeptem. W domu Scarlett zaległa cisza. Dla Marion była to już kwestia zamknięta. Pojechały do kliniki na badania, żeby ustalić szczegóły. W ciągu tygodnia Scarlett stawała się coraz bardziej milcząca.

W piątek matka odwiozła mnie do szkoły. Powiedziałam jej, że Scarlett ma

coś do załatwienia i nie może mnie zabrać; później stanęłyśmy za nią i Marion na światłach niedaleko Lakeview. Nie widziały nas. Scarlett patrzyła w bok, a Marion paliła papierosa, z łokciem wystającym przez okno po stronie kierowcy. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że Scarlett jest w ciąży, i wydawało mi się dziwne, że kiedy się znowu zobaczymy, będzie po sprawie.

– O, przed nami jedzie Scarlett – zauważyła matka. – Myślałam, że nie będzie jej dzisiaj w szkole.

– Bo nie będzie – wyjaśniłam. – Ma wizytę u lekarza.

– Och. Jest chora?

– Nie. – Włączyłam radio i w samochodzie rozległ się głos ojca. „Jest ósma rano. Mówi Brian, słuchacie T104, a to jedyny powód, dla którego warto rano wstać...”.

– Musi coś jej być, skoro jedzie do lekarza – stwierdziła matka, kiedy światło wreszcie się zmieniło i Scarlett z Marion skręciły w lewo, w stronę centrum.

– Nie wiem dokładnie, o co chodzi – odparłam.

– Może o wizytę u dentysty – podjęła. – Co mi przypomina, że powinnaś pójść na czyszczenie i kontrolę.

– No, nie wiem – zaprotestowałam.

– Nie będzie jej cały dzień, czy przyjedzie później?

– Nie powiedziała. – Wierciłam się na fotelu, patrząc na żółty autobus, który jechał przed nami.

– Myślałam, że wy dwie mówicie sobie wszystko – rzuciła ze śmiechem, zerkając na mnie. – Tak jest?

Zaczęłam się zastanawiać, co to może znaczyć. Wszystko, co mówiła matka, miało podwójne znaczenie, stanowiło jakby sekretny język, który trzeba było rozszyfrować za pomocą specjalnego pierścienia czy karty kodów. Miałam ochotę krzyknąć: „Ma aborcję, mamo! Jesteś teraz zadowolona?”, choćby po to, żeby zobaczyć jej minę. Wyobraziłam sobie, że eksploduje na miejscu, znikając w obłoku dymu, albo zamienia się w kałużę, jak Zła Wiedźma z Zachodu. Kiedy wreszcie zajechałyśmy na parking, ucieszyłam się na widok szkoły jak nigdy w życiu.

– Dzięki. – Szybko pocałowałam ją w policzek i wysiadłam z samochodu.

– Wróć do domu zaraz po szkole! – zawołała za mną. – Gotuję obiad, a poza tym musimy porozmawiać o twoich urodzinach, tak?

Następnego dnia wypadały moje szesnaste urodziny. Nie miałam nawet czasu, żeby o nich pomyśleć. Jeszcze kilka miesięcy temu nie mogłam się ich doczekać; oznaczały prawo jazdy, wolność, wszystko, o czym marzyłam.

– Dobrze. Do zobaczenia po południu – powiedziałam, oddalając się.

Zagłębiłam się w tłum innych uczniów, przepychających się przez frontowe drzwi. Szłam przez główny budynek, kierując się na zewnątrz, gdy dołączył do

mnie Macon. Zawsze pojawiał się znikąd, jakby za sprawą czarów; nigdy nie widziałam, jak się zbliża.

– Hej! – powiedział, otaczając mnie ramieniem. Pachniał truskawkowymi cukierkami, dymem papierosowym, wodą po goleniu, dziwną mieszanką, w której się zakochałam. – Co jest?

– Matka doprowadza mnie do szafu – odparłam, kiedy wyszliśmy na dwór. – Miałam ochotę ją zabić, gdy jechałyśmy do szkoły.

– Podwiozła cię? – Rozejrzał się wokół. – A gdzie Scarlett?

– Miała coś do załatwienia – odparłam. Okłamując go, poczułam się gorzej, o wiele gorzej, niż gdy okłamywałam matkę.

– Nie umawiaj się z nikim na jutrzejszy wieczór – zapowiedział.

– Dlaczego?

– Bo z okazji urodzin dokądś cię zabiorę.

– Dokąd?

Uśmiechnął się szeroko.

– Zobaczysz.

– Dobra. – Odsunęłam od siebie myśl o przyjęciu, które planowała matka, z tortem lodowym, Vaughnami i kolacją w Alfredo's, mojej ulubionej restauracji. – Jestem do twojej dyspozycji.

Rozbrzmiał dzwonek i kiedy Macon odprowadzał mnie do klasy, ktoś go zawołał. Grupa chłopaków z długimi włosami, o sennych oczach, których kilka dni wcześniej widziałam z nim w centrum, przyzywała go na parking. Choć wydawało mi się, że już całkiem dobrze go znam, zawsze coś przede mną ukrywał, nigdy nie wiedziałam, gdzie i z kim bywa, co robi. Dzwonił do mnie codziennie wczesnym wieczorem, żeby zapytać, jak leci. Co działo się z nim dalej, nie miałam pojęcia.

– Muszę lecieć – powiedział i pocałował mnie szybko.

Poczułam, że wsuwa mi coś do kieszeni džinsów, mieszając się w przechodzący tłum. Wiedziałam, co to jest, zanim jeszcze to wyjęłam: truskawkowy cukierek. Miałam ich w domu, w misce na biurku, całą kolekcję. Zachowałam je wszystkie.

– Co z godziną wychowawczą?! – zawołałam za nim.

Mimo że zgrywałam zbuntowaną, ani razu jeszcze nie opuściłam godziny wychowawczej i nigdy nie poszłam na wagary. Macon miał dużo nieobecności i wołałam nie pytać go o stopnie. We wszystkich czasopismach dla kobiet piszą, że mężczyźni nie da się zmienić, i przekonywałam się o tym na własnej skórze.

– Znajdę cię na trzeciej lekcji – rzucił, ignorując moje pytanie.

Odwrócił się i ruszył w stronę parkingu, wtykając pod ramię jeden prawie nieużywany zeszyt. Grupa dziewczyn, z którymi chodziłam na angielski, zachichotała, mijając mnie i odprowadzając go wzrokiem. Stanowiliśmy sensację ostatnich dwóch tygodni; jeszcze miesiąc wcześniej byłam przyjaciółką Scarlett,

a teraz stałam się Halley, dziewczyną Macona Faulknera.

Pod koniec drugiej lekcji ktoś zapukał do drzwi sali od grafiki użytkowej, na którą chodziłam, i wręczył pani Pate kawałek papieru. Ona spojrzała na niego i poleciła mi zebrać swoje rzeczy. Wzywano mnie do sekretariatu.

Denerwowałam się, idąc korytarzem; zachodziłam w głowę, czym podpadłam. Ale gdy przyszedłam na miejsce, sekretarka podała mi telefon i oznajmiła:

– Dzwoni twoja matka.

Miałam straszną wizję: ojciec – nie żyje. Babcia – nie żyje. Wszyscy – nie żyją. Podniosłam słuchawkę.

– Tak, mam?

– Proszę czekać – powiedział ktoś i usłyszałam stłumione głosy. A potem:

– Halo? Halley, to ty?

– Scarl...

– Ciii! Dzwoni twoja matka, nie pamiętasz?

– A tak – powiedziałam, ale sekretarka była zajęta rozmową z jakimś dzieciakiem na temat spóźnienia i nie zwracała na mnie uwagi. – Co się dzieje?

– Musisz po mnie przyjechać – wyjaśniła. – Do kliniki.

Spojrzałam na zegar. Było dopiero wpół do jedenastej.

– Już po wszystkim? Tak szybko?

– Nie. – Urwała. – Zmieniłam zdanie.

– Co takiego?

– Zmieniłam zdanie. Urodzę to dziecko.

Mówiła z takim spokojem, taką pewnością. Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć.

– A gdzie Marion?

– Powiedziała jej, żeby mnie tu zostawiła – odparła. – Bo strasznie działała mi na nerwy. Miałam do niej zadzwonić, żeby mnie odebrała.

– Aha.

– Przyjedziesz? Proszę.

– Jasne – odpowiedziałam. Sekretarka zaczęła mnie obserwować. – Ale, mam, chyba będziesz musiała poprosić, żeby mnie zwolniono.

– Słusznie – odparła Scarlett rzeczowo. – Przekażę słuchawkę mojej znajomej, Mary. Jestem w klinice przy First Street. Pospiesz się.

– Dobrze. – Zastanawiałam się, jak się tam dostanę, bo przecież nie mam samochodu.

Znowu rozległy się stłumione głosy. Scarlett wydała jakieś instrukcje, a potem w słuchawce zabrzmiał ten sam głos co poprzednio.

– Tu pani Cooke.

– Proszę poczekać – powiedziałam. Podałam słuchawkę sekretarce. – Mama

chce z panią rozmawiać.

Kobieta wetknęła długopis za ucho.

– Halo? – powiedziała do słuchawki.

Skupiłam wzrok na karcie spóźnień, która leżała przede mną na biurku, i starałam się nie wyglądać na zdenerwowaną.

– Tak? Dobrze, w porządku. Nie, nie ma problemu. Wystawię jej przepustkę. Dziękuję, pani Cooke. – Odłożyła słuchawkę i wypisała, co trzeba. – Przy wyjeździe z parkingu pokaż to strażnikowi. I zachowaj, żeby usprawiedliwić swoją nieobecność przed nauczycielami.

– Dobrze. – Zabrzmiał dzwonek i korytarz przed sekretariatem się zapełnił. – Dziękuję.

– Mam nadzieję, że zabieg pójdzie dobrze – powiedziała, patrząc na mnie uważnie.

– Dzięki. – Wycofałam się do drzwi i je otworzyłam. – Do widzenia.

Stałam przed salą gimnastyczną, czekając na Macona. Gdy przechodził, kierując się do szatni, chwyciłam go za koszulę i przyciągnęłam.

– Hej! – Uśmiechnął się do mnie. Wciąż czułam te uderzenia krwi do głowy, kiedy okazywał radość na mój widok. – Co tam?

– Muszę cię prosić o przysługę.

– Jasne. O co chodzi?

– Chciałabym, żebyś zerwał się ze mną z wuefu.

Zastanowił się przez sekundę i odparł:

– Pewnie. Chodźmy.

– Poczekaj. – Zatrzymałam go. – I chciałabym, żebyś mnie gdzieś podrzucił.

– Podrzucił?

– Uhm.

Wzruszył ramionami.

– Nie ma problemu. Chodźmy.

Poszliśmy na parking i wsiedliśmy do jego samochodu; wcześniej Macon zgarnął z mojego fotela części wieży stereo. W środku unosił się lekki zapach papierosów i słodczy, ten sam, który wszędzie mu towarzyszył. Macon jeździł coraz to innym samochodem, z czego nigdy nie czuł potrzeby się wytłumaczyć. Jak dotąd widziałam go w toyocie, pikapie i jakimś zagranicznym aucie, w którym pachniało perfumami. We wszystkich na podłodze poniewierały się papierki po cukierkach; były też w popielniczkach.

Tego dnia jeździł toyotą.

– Poczekaj chwilę – powiedziałam, kiedy włączył silnik. – Tak nie da rady. Nie masz przepustki.

– O to się nie martw – rzucił od niechcienia i wyjął jakąś kartkę zza osłony przeciwsłonecznej, coś na niej nabazgrał i ruszył w dół po stoku w stronę

stróżówki.

Strażnik, Afroamerykanin, którego nazywaliśmy panem Joe, wyszedł na dwór z podkładką do pisania. Wyglądał na znużonego.

– Macon – syknęłam, kiedy się zatrzymaliśmy. Obawiałam się, że na strażnika nie podziała mentalna sztuczka Jedi. – To ci się nie uda. Lepiej zawróćmy...

– Ciii – powiedział i odsunął szybę, gdy Joe podszedł bliżej. Od jego identyfikatora odbijało się słońce. – Co tam, Joe?

– Nic specjalnego – odparł strażnik, patrząc na mnie. – Masz przepustkę, Faulkner?

– Proszę. – Macon podał mu świstek, który wcześniej wyjął zza osłony. Joe zerknął na nią, oddał mu i spojrzał na mnie.

– A ty?

– Proszę bardzo – rzucił Macon pogodnie. Wziął moją przepustkę i wręczył Joemu. Ten obejrzał ją uważnie, znacznie dłużej niż poprzednią.

– Jedź ostrożnie – powiedział, oddając kartkę. – Mówię poważnie, Faulkner.

– Jasne – odparł Macon. – Dzięki.

Joe coś mruknął i wrócił do swojego stołka i małego telewizora w stróżówce, a ja i Macon wyjechaliśmy za bramę – wolni.

– Nie wierzę – powiedziałam, kiedy skierowaliśmy się w stronę centrum.

To były moje pierwsze wagary i wszystko wyglądało inaczej, jaśniej i ładniej. Życie od ósmej trzydzieści do piętnastej trzydzieści w dzień powszedni, którego dotąd nie znałam.

– Mówiłem ci, żebyś się nie martwiła – odparł z zadowoleniem.

– Masz stos przepustek, czy co? – Odchyliłam osłonę przeciwsłoneczną, ale on ze śmiechem złapał mnie za rękę.

– Tylko kilka – odrzekł. – Na pewno nie stos.

– Jesteś bardzo, bardzo zły – zauważyłam, ale byłam pod wrażeniem. – Joe ledwie zerknął na tę kartkę.

– Lubi mnie – wyjaśnił zwyczajnie. – Dokąd jedziemy?

– Na First Street.

Włączył kierunkowskaz i zmienił pas.

– A co jest przy First Street?

Spojrzałam na niego, był taki słodki. Wiedziałam, że muszę mu zaufać. Obie musimy.

– Scarlett.

– Dobra – odparł po prostu. Rozejrzawszy się, zobaczyłam śmigające obok domy i samochody. I jasne niebieskie niebo. – Prowadź.

Scarlett siedziała na ławce przed kliniką z potężnie zbudowaną kobietą w wełnianym swetrze i słomkowym kapeluszu.

– Hej! – zawołałam, gdy zatrzymaliśmy się obok. Z bliska zobaczyłam, że kobieta trzyma na kolanach pieska w jednym z tych stożkowatych kołnierzy, które nie pozwalają psom się ugryźć. – Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest – odpowiedziała szybko i wzięła z ławki torbę. Rzuciła do kobiety: – Dziękuję ci, Mary. Naprawdę.

Tamta pogłaskała pieska.

– Dobra z ciebie dziewczyna, kochanie.

– Dzięki – odparła Scarlett.

Odblokowałam drzwi i wsiadła na tylne siedzenie.

– Zapłaciłam jej pięć dolców – wyjaśniła mi. Piesek na kolanach kobiety spojrzął na nas i ziewnął. Do Macona powiedziała cicho: – Jedź. Proszę.

Macon wcisnął pedał gazu i zostawiliśmy Mary za sobą, wyjeżdżając z terenu centrum handlowego. Scarlett usadowiła się z tyłu i przeczesła palcami włosy, a ja czekałam, żeby coś powiedziała. Odezwał się dopiero po kilku światłach:

– Dziękuję, że przyjechaliście.

– Nie ma sprawy – odparł Macon, a ja za nim.

Odwróciłam się, żeby na nią spojrzeć, ale patrzyła za okno, na ruch uliczny. Kiedy Macon zatrzymał się na stacji benzynowej i wysiadł, żeby zatankować paliwo, odwróciłam się ponownie.

– Hej.

Podniosła głowę.

– Hej.

– Więc... – Nie bardzo wiedziałam, jak zacząć. – Co się stało?

– Nie mogłam tego zrobić – wypaliła, jakby tylko czekała na wstrzymanym oddechu, żebym spytała. – Próbowalam, Halley, naprawdę. Znam wszystkie argumenty... że jestem młoda, mam przed sobą całe życie, zamierzam pójść do college'u i tak dalej. Ale kiedy tak leżałam tam na kozetce i patrzyłam w sufit, czekając, żeby przyszli i to zrobili, uświadomiłam sobie, że nie dam rady. Oczywiście nic nie będzie już normalnie. Ale czy moje życie było kiedyś normalne? Dzieciństwo z Marion na pewno nie, podobnie jak utrata Michaela. Nic nie było normalne.

Obserwowałam Macona, gdy stał w kolejce do kasy, przerzucając z ręki do ręki paczkę drażetek cynamonowych. Przed dwoma miesiącami, zanim zginął Michael, ledwie go znałam.

– Nie będzie łatwo – powiedziałam. Próbowalam wyobrazić sobie nas z dzieckiem, ale nie potrafiłam, widziałam w ramionach Scarlett tylko zamazany kształt.

– Wiem. – Westchnęła jak moja matka. – Wszyscy pomyślą, że zwariowałam albo nawet zgłupiałam. Ale trudno. Tak chcę. I wiem, że podjęłam

słuszną decyzję. Nie oczekuję, że inni to zrozumieją.

Spojrzałam na Scarlett, moją najlepszą przyjaciółkę, dziewczynę, która zawsze prowadziła mnie, czasami nie szczędząc kopniaków, ku temu co najlepsze w moim życiu.

– Oprócz mnie – powiedziałam. – Ja rozumiem.

– Oprócz ciebie – powtórzyła łagodnie i uśmiechnęła się do mnie.

I od tamtej chwili nie kwestionowałam jej decyzji.

Przez resztę dnia jeździliśmy po okolicy, zjedliśmy pizzę w jednej z kryjówek Macona, z jakiegoś powodu szukaliśmy jego znajomego i dla zabicia czasu słuchaliśmy radia. Scarlett zadzwoniła do Marion i powiedziała jej, że jedzie taksówką do domu. Jak na razie wszystko było pod kontrolą.

Macon wysadził nas kilka ulic od naszych domów, abym mogła udawać, że wróciłam autobusem, a potem odjechał, trąbiąc. Scarlett pozbierała się i poszła czekać na Marion, a ja weszłam do domu i zastałam dziwną, niepokojącą ciszę oraz ojca, który zmył się, gdy tylko mnie zobaczył.

– Jestem! – zawołałam. W domu pachniało lasagne i nagle sobie uświadomiłam, że umieram z głodu. Myślałam tylko o tym, kiedy w progu kuchni stanęła matka ze ścierką. Miała zaciśnięte usta, przez co jej twarz wydawała się kanciasta; był to wyraźny znak, że wpadłam w kłopoty.

– Cześć – rzuciła, składając ścierkę. – Jak w szkole?

– Eee... – zaczęłam, gdy ojciec szybko przemknął do kuchni. – Całkiem...

– Na twoim miejscu dobrze bym się zastanowiła przed odpowiedzią – przerwała mi, wciąż mówiąc spokojnym, chłodnym tonem. – Bo jeśli mnie okłamiesz, kara będzie surowsza.

Wpadłam. Nie miałam żadnego ruchu.

– Widziałam cię, Halley. Za piętnaście jedenasta, czyli wtedy gdy powinnaś być na wuefie. Siedziałas w samochodzie, który wyjeżdżał z centrum handlowego przy First Street.

– Mamo – odezwałam się – mogę...

– Nie. – Podniosła rękę, żeby mnie powstrzymać. – Pozwól, że dokończę. Zadzwoniłam do szkoły i ku swojemu zdziwieniu usłyszałam, że właśnie poprosiłam kogoś, aby cię zwolnił do domu z nagłych powodów rodzinnych.

Przełknęłam ślinę.

– Nie mieści mi się w głowie, że możesz mnie tak okłamywać.

Wbiłam wzrok w podłogę; nie miałam innego wyjścia.

– Nie mówiąc o tym – ciągnęła – że wagarujesz, tłuczysz się po mieście z jakimś chłopcem, którego nie znam, no i ze Scarlett, która powinna mieć więcej oleju w głowie. Zadzwoniłam do Marion. Była równie wściekła, jak ja.

– Powiedziałas jej, że Scarlett była z nami? – zapytałam. A więc Marion wie; dowiedziała się, zanim Scarlett miała szansę się wytłumaczyć.

– Owszem – warknęła. – Zgodziłyśmy się, że to jakaś wasza nowa moda, którą należy zdusić w zarodku. Nie będę czegoś takiego tolerować, Halley. Przez całe lato przeciągałaś strunę w związku z Ginny i obozem, ale twój dzisiejszy wyskok to kropla, która przelała czarę. Nie pozwolę, żebyś mnie w tak jawny sposób lekceważyła. A teraz idź na górę i siedź tam, dopóki ci nie powiem, że możesz zejść.

– Ale...

– Na górę! Już! – Była tak wściekła, że aż się trzęsła. Przez całe lato wyczuwałam u niej dziwny niepokój, czasami irytację, ale teraz naprawdę żarty się skończyły. A nie wiedziała jeszcze wszystkiego.

Poszłam do swojego pokoju i stanęłam przy oknie. Wzięłam telefon, wybrałam numer Scarlett i kiedy czekałam na połączenie, zobaczyłam jadący ulicą samochód Marion. Scarlett odebrała, kiedy jej matka skręcała na podjazd.

– Uważaj – szepnęłam pospiesznie. – Wpadłyśmy. Marion wie, że tego nie zrobiłaś.

– Co takiego? – zapytała. – Nie, nie wie. Myśli, że wróciłam do domu taksówką.

– Nie. – Słyszałam kroki matki na schodach. – Moja mama do niej zadzwoniła. Marion wie.

– No i co? – rzuciła Scarlett. Zobaczyłam, że drzwi garażu w jej domu się otwierają.

– Halley, przestań gadać przez telefon! – zawołała matka za drzwiami mojego pokoju, szarpiąc za klamkę, bo na szczęście zamknęłam się na klucz. – I to zaraz!

– Muszę kończyć – szepnęłam i odłożyłam słuchawkę.

Widziałam z okna, że Scarlett w kuchni trzyma telefon i patrzy w moją stronę. Wtedy wpadła tam Marion, gestykulując i machając palcem. Moja matka stała za drzwiami i przemawiała do mnie surowo, a ja patrzyłam na Scarlett, która próbowała się tłumaczyć w jasno oświetlonej kuchni. Wtedy jednak Marion opuściła żaluzje, krzywo, niesymetrycznie, i zasłoniła mi widok.

Rozdział 6

Musiałam siedzieć w swoim pokoju i czekać na karę. Słyszałam, że rodzice naradzają się na dole; ojciec mówił cicho i spokojnie, matka od czasu do czasu podnosiła głos. Po godzinie przyszła na górę, stanęła przede mną z rękami na biodrach i ogłosiła wyrok.

– Twój ojciec i ja omówiliśmy sprawę – zaczęła – i postanowiliśmy, że za swoje dzisiejsze zachowanie dostaniesz szlaban na miesiąc. Nie wolno ci także rozmawiać przez telefon. To nie obejmuje twoich jutrzejszych urodzin, przyjęcie odbędzie się zgodnie z planem. Możesz chodzić do szkoły i do pracy, poza tym nigdzie.

Obserwowałam jej twarz, jak zmieniała się pod wpływem wściekłości. Krótka obcięta włosy, która zawsze ją okalały, przydawały jej surowości, wydobywając wystające kości policzkowe.

– Halley.

– Słucham?

– Kto to jest ten chłopak, z którym dzisiaj byłaś? Ten, który prowadził samochód?

Przed oczami stanął mi uśmiechnięty Macon.

– A co?

– Kim on jest? Czy to ten sam, który skosił nam niedawno trawnik?

– Nie – odpowiedziałam. Ojciec albo zapomniał, jak Macon ma na imię, albo przezornie wolał się do tej sprawy nie mieszać. – To nie on, to mój...

– Wywiózł cię z terenu szkoły i muszę wiedzieć, kto to jest. Mogło ci się coś stać. Na pewno jego rodzice też chcieliby o wszystkim wiedzieć.

Już sama myśl o tym mnie przeraziła.

– Oj, mam, nie. Prawie go nie znam.

– Najwyraźniej znasz go na tyle dobrze, żeby zerwać się z nim ze szkoły. Jak się nazywa?

– Mam, proszę, nie zmuszaj mnie...

– Jest z Lakeview? Zapewne go znam, Halley.

– Nie – odparłam i pomyślałam: Nie znasz wszystkich moich znajomych.

Nie wszyscy są z Lakeview. – Nie znasz.

Zbliżyła się o krok, wciąż patrząc na mnie twardo.

– Tracę cierpliwość, Halley. Jak ten chłopak się nazywa?

W tamtej chwili ją znienawidziłam; za to, że uważa, że zna wszystkich moich znajomych, że nie mam własnego życia, bez niej. Więc odpowiedziałam równie twardym spojrzeniem. Żadna z nas się nie odzywała.

Nagle zadzwonił telefon, drgnęłam. Wstałam, żeby odebrać, ale

przypomniałam sobie o zakazie rozmów telefonicznych i usiadłam z powrotem. Wiedziałam, że to Macon. Telefon dzwonił i dzwonił, a matka stała i patrzyła na mnie, dopóki ojciec nie odebrał go na dole.

– Julie! – zawołał z dołu. – Marion do ciebie!

– Marion? – zapytała matka.

Podniosła słuchawkę mojego aparatu.

– Halo? Cześć, Marion... Tak, właśnie rozmawiamy z Halley o tym, co się stało... Słucham? Teraz? Dobrze, dobrze... uspokój się. Zaraz przyjdę. Jasne. W porządku. Do zobaczenia za chwilę.

Odłożyła słuchawkę.

– Muszę pójść do nich na chwilę. Ale wrócimy jeszcze do tej rozmowy, rozumiesz?

– Tak. – Wiedziałam jednak, że gdy przyjdzie z powrotem, sytuacja się zmieni.

Marion wyszła po nią na koniec podjazdu. Przez dobrych pięć minut stały przy kolczastym krzewie i rozmawiały. To znaczy, Marion mówiła, przestępując z nogi na nogę w minisukience i butach na koturnach, paląc jednego papierosa za drugim, a moja matka tylko słuchała, kiwając głową. Widziałam, że Scarlett też stoi w oknie i obserwuje je obie; przytknęłam dłoń do szyby – był to nasz specjalny znak porozumiewawczy – ale nie patrzyła na mnie.

Potem matka weszła z Marion do domu, zamknęła za sobą drzwi i nie wychodziła przez półtorej godziny. Spodziewałam się, że kiedy pozna nowinę, dom zadrży w posadach; ale nic takiego nie nastąpiło, w całej okolicy panowała cisza jak zawsze w piątkowy wieczór. O siódmej przyjechali Vaughnowie, a około ósmej poczułam dolatujący z dołu zapach popcornu. Telefon zadzwonił tylko raz, punkt ósma; próbowałam odebrać, ale ojciec był szybszy i Macon się rozłączył. Kilka minut później usłyszała szum blendera; ojciec po swojemu starał się załagodzić sytuację.

Piętnaście po ósmej Marion odprowadziła moją matkę do drzwi i ze splecionymi na piersi rękami zatrzymała się na progu. Matka ją uściskała, a potem przeszła przez ulicę i wróciła do domu, gdzie ojciec i Vaughnowie oglądali już film z dużą ilością strzelaniny. Kilka minut później weszła po schodach i zapukała do mnie.

Kiedy otworzyłam drzwi, stała na progu z miską popcornu i oczywiście koktajlem mlecznym. Był tak gęsty od czekolady, że aż czarny, piana prawie wylewała się ze szklanki. Matka miała już łagodniejszą minę, prawie normalną.

– Gałązka pokoju – powiedziała i podała mi szklankę.

Cofnęłam się i wpuściłam ją do środka.

– Dzięki. – Pociągnęłam łyk przez słomkę, ale płyn był za gęsty.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o Scarlett? – zapytała i usiadła na brzegu

łóżka.

– Nie mogłam – odparłam. – Nie chciała, żeby ktokolwiek się dowiedział.

– Pomyślałaś, że się wścieknę – zauważyła powoli.

– Nie. Obawiałam się, że spanikujesz.

Uśmiechnęła się, biorąc garść popcornu.

– Prawdę mówiąc, tak było.

– Urodzi to dziecko i je zatrzyma, prawda? – zapytałam.

Westchnęła i potarła kark.

– Tak mówi. Marion liczy, że Scarlett zmieni zdanie i odda je do adopcji.

Wychowanie dziecka to ciężka praca, Halley. Zmieni jej życie na zawsze.

– Wiem.

– Oczywiście, to cudowne mieć kogoś, kto należy tylko do ciebie, kocha cię bezwarunkową miłością, ale z rodzicielstwem wiąże się też odpowiedzialność: finansowa, emocjonalna, fizyczna. To wpłynie na jej wykształcenie, przyszłość, na wszystko. Nie jest mądrą decyzją brać to na siebie w takim momencie. Scarlett na pewno chce zachować jakąś część Michaela, w ramach przedłużenia okresu żałoby, ale dziecko to coś więcej. – Wsiadła na swojego konika i mówiła coraz głośniej, coraz płynniej.

– Mamo – zwróciłam jej uwagę – ja to nie Scarlett.

Właśnie robiła przerwę na oddech, żeby podjąć następną kwestię, ale zamilkła i westchnęła.

– Wiem, kochanie. Jestem tylko sfrustrowana, bo widzę, jaki popełnia błąd.

– Ona nie uważa tego za błąd.

– Na razie. Ale później tak będzie. Kiedy będzie musiała zajmować się dzieckiem, a ty i inne koleżanki pójdziecie do college’u, wyjedziecie za granicę, będziecie żyły swoim życiem.

– Nie wybieram się za granicę – zauważyłam spokojnie, biorąc garść popcornu.

– Chodzi mi o to – powiedziała i otoczyła mnie ramieniem – że masz przed sobą całe życie, podobnie jak Scarlett. Jesteście za młode, żeby brać na siebie odpowiedzialność za kogoś drugiego.

Z dołu dobiegły odgłosy filmowej strzelaniny, a potem chichot mojego ojca. Kolejny piątkowy wieczór w domu z Vaughnami. Moje życie przed Maconem.

– Więc w związku z tym, co się dzisiaj zdarzyło – powiedziała matka, ale straciła rozpęd, przeszedł jej gniew, pod wpływem którego przyszła tu wcześniej, żeby się ze mną rozprawić. – Nie możemy tego puścić w niepamięć, kochanie. Twoja kara obowiązuje, mimo że starałaś się pomóc Scarlett.

– Wiem – odparłam.

Nie miałam jednak wątpliwości; uszłam przed jej gniewem, bo nie byłam w ciąży. Scarlett znowu mnie uratowała.

Wstała i otrzepała spodnie. Wyobraziłam ją sobie w kuchni u Scarlett, na moim miejscu przy stole, negocjującą rozejm. Moja matka była dobra w rozmowach pokojowych, ale nie ze mną.

– Może zejdiesz i obejrzysz z nami film? – zaproponowała. – Vaughnowie tak dawno cię nie widzieli. A Clara cię uwielbia.

– Clara ma pięć lat, mamó – zwróciłam jej uwagę. Spróbowałam pociągnąć jeszcze jeden łyk koktajlu, ale dałam sobie spokój i postawiłam go na szafce nocnej.

– Wiem. – Zatrzymała się w drzwiach i oparła o futrynę. – Ale, wiesz... Gdybyś zmieniła zdanie...

– W porządku.

Już miała wyjść, ale jeszcze przystanęła na progu i powiedziała przyciszonym głosem:

– Marion mówi, że ten chłopak, który był z wami, ma na imię Macon. Twierdzi, że z nim chodzisz.

Marion i jej niewyparzona gęba. Położyłam się na łóżku, odwróciłam do matki plecami i przyciągnęłam kolana do piersi.

– To tylko znajomy, mamó.

– Nigdy mi o nim nie wspominałaś – odparła, jakbym musiała, jakbym miała taki obowiązek.

– To nic takiego. – Nie byłam w stanie spojrzeć jej w oczy, nie mogłam ryzykować.

Już i tak mówiła smutnym głosem. Patrzyłam w okno, za którym widać było światła podchodzącego do lądowania samolotu, błyskające na czerwono i zielono, przy powoli narastającym huku silnika.

Kolejne westchnienie. Czasami się zastanawiałam, czy zostanie jej tchu, żeby coś powiedzieć.

– No dobrze. Przyjdź, jeśli będziesz miała ochotę.

Ale zwlekała z odejściem; może chciała, abym myślała, że sobie poszła, gdy tymczasem samolot się zbliżał, jego światła były coraz jaśniejsze, a huk silnika głośniejszy. W końcu dom się zatrzęsł, szyby w oknach zadrżały i zobaczyłam przelatujący w górze brzuch maszyny, biały jak u wieloryba. I w tym harmidrze matka się oddaliła, a następnie zeszła po schodach. Kiedy się odwróciłam, w nagłej ciszy, już jej nie było.

Rozdział 7

W pracy, w samym środku typowego sobotniego ruchu, do mojej kasy podszedł Macon. Uśmiechnął się do mnie.

– Hej! – powiedział. – Sto lat.

– Dzięki. – Jak najwolniej przepuściłam przez czytnik jego pepsi i cztery batony czekoladowe.

Scarlett wyciągnęła się, dźgnęła go w ramię, a on do niej pomachał.

– Jak ci poszło dziś rano? Zdałaś?

Spojrzałam na niego.

– Jasne, że tak.

Zaśmiał się, odrzucając głowę do tyłu.

– Halley ma prawo jazdy, no, no. Jakiś czas będę się trzymał z dala od drogi.

– Bardzo zabawne – odparłam, a on uśmiechnął się szeroko.

– Wczoraj wieczorem nie odbierałaś telefonu. – Oparł się o moją kasę i ściszył głos. – Dzwoniłem.

– To dlatego, że wpadłam. – Wcisnęłam guzik, żeby podsumować zakupy.

– Za co?

– A jak myślisz?

Zastanowił się.

– Za to, że zerwałaś się ze szkoły? Czy że pomogłaś Scarlett?

– Za jedno i drugie. – Wyciągnęłam rękę. – Należy się dwa pięćdziesiąt dziewięć.

Dał mi piątkę, wymiętą, bo wyciągnął ją z kieszeni.

– I co? Jest źle?

– Jestem uziemiona.

– Na jak długo?

– Na miesiąc.

Westchnął, kręcąc głową.

– To kiepsko.

– Dla kogo?

Stojąca za nim kobieta zaczęła z irytacją mamrotać coś pod nosem.

Gdy wydawałam mu resztę, chwycił mnie za rękę i przytrzymał, a potem pochylił się i pocałował mnie szybko.

– Dla mnie – powiedział i drugą ręką wsunął mi do kieszeni fartucha baton.

– Naprawdę? – rzuciłam, ale on chwycił swoją torbę i odszedł, odwracając się do mnie z uśmiechem.

Wszyscy stojący w kolejce gapili się na nas, niechętni i zniecierpliwieni, ale się tym nie przejmowałam.

– Naprawdę! – odparł, idąc do wyjścia, ale wciąż patrząc na mnie z uśmiechem. Potem się odwrócił i wyszedł ze sklepu, zostawiając mnie oniemiałą przy kasie.

– O rany – odezwała się Scarlett, gdy do mojej kasy podszedł następny klient, stawiając na taśmie karton soków. – Z tym chłopakiem jest coś nie tak.

– Wiem – odrzekłam. Wciąż czułam na ustach jego pocałunek, który miał mi pomóc przeżyć następne soboty. – Chyba mnie lubi.

Tego wieczoru odbyło się w Alfredo's moje przyjęcie urodzinowe z udziałem moich rodziców, Scarlett i oczywiście Vaughnów. Obok mnie siedziała Scarlett; z tego, co mówiła, moja matka uratowała jej dziecko. Podobno Marion po powrocie do domu oznajmiła, że umówiła ją na wizytę następnego dnia i zamierza siedzieć przed gabinetem zabiegowym, z krzesłem pod klamką, żeby dopilnować sprawy. Bardzo się pokłóciły i Scarlett już pakowała torbę, aby gdzieś się wynieść, gdziekolwiek, gdy moja matka stanęła w drzwiach w swoim czerwonych swetrze, gotowa załagodzić konflikt. Wzięła ją za rękę i podała jej chusteczki, a potem porozmawiała z Marion i zaczęła między nimi mediacje. W końcu ustalono, że Scarlett urodzi dziecko, ale uwzględni prośbę Marion i poważnie rozważy oddanie go do adopcji. Takie były warunki rozejmu.

– Mówię ci – powtórzyła, kiedy jadłam swoją pastę – twoja matka to czarodziejka.

– Uziemiła mnie na cały miesiąc – odpowiedziałam przyciszonym głosem. – Później nawet nie będę mogła się urwać.

– To bardzo miłe przyjęcie – zauważyła. – Noah bardzo się cieszy ze względu na ciebie.

– Zamknij się. – Miałam już dość tych urodzin.

– Chciałabym wznieść toast. – Matka wstała z kieliszkiem wina, a ojciec uśmiechnął się ze swojego miejsca obok niej. – Za moją córkę Halley w jej szesnaste urodziny.

– Za Halley! – powtórzyli wszyscy chórem. Noah wciąż nie patrzył mi w oczy.

– Niech to będzie jej najlepszy rok z dotychczasowych – ciągnęła matka, chociaż wszyscy już wypili. Wciąż stała. – Kochamy cię.

Więc wszyscy znowu stuknęli się kieliszkami i wypili ponownie, a matka stała zarumieniona, uśmiechając się do mnie, jakby poprzedniego dnia nic się nie wydarzyło.

Po powrocie do domu odbyło się otwieranie prezentów. Od rodziców dostałam kilka ciuchów i pieniądze, od Vaughnów książkę, a od Noah srebrną bransoletkę; wcisnął mi do ręki pudełeczko, kiedy nikt nie patrzył, i przez resztę wieczoru nie zwracał na mnie uwagi. Scarlett podarowała mi kolczyki i breloczek do kluczyków od samochodu, a przed wyjściem uściskała mnie mocno, jakby się

wzruszyła, i powiedziała, że bardzo mnie kocha. Gdy się obejmowałyśmy, próbowałam wyobrazić sobie ją z dzieckiem albo w ciąży. Trudno mi to przychodziło.

Kiedy o jedenastej kładłam się do łóżka, coś usłyszałam. Ulicą wolno przejechał samochód, który zatrzymał się z włączonym silnikiem. Podeszłam do okna i spojrzałam na znak stopu przed domem. Kilka sekund później samochód cofnął się pod moje okno i mrugnął światłami. Dwa razy.

Włożyłam buty i przekradłam się po schodach na dół, w piżamie i kurtce, mijając na wpół otwarte drzwi pokoju matki oraz salon, w którym na kanapie przed telewizorem przysypiał ojciec. Otworzyłam tylne drzwi, pamiętając, że w pewnym momencie skrzypią. Wyślizgnęłam się na dwór i okrążyłam dom, kierując się w stronę bocznego podwórka. Przeszłam obok jałowca na chodnik i przebiegłam na drugą stronę ulicy.

– Hej! – powiedział Macon, gdy nachyliłam się do okna kierowcy. – Wsiadaj.

Obeszłam samochód i usiadłam na fotelu pasażera, zamykając drzwi. W środku było ciepło, światelka na desce rozdzielczej rzucały jasnozielony blask.

– Jesteś gotowa na przyjęcie prezentu? – zapytał.

– Jasne. – Wyprostowałam się na fotelu. – Co to takiego?

– Najpierw – zaczął – musimy gdzieś pojechać.

– Pojechać? – Spojrzałam ze strachem w stronę domu. Nie dość, że się z niego wymknęłam, to jeszcze miałam gdzieś jechać, co zwiększało ryzyko, że zostanę przyłapana. Już widziałam, jak ojciec wsuwa głowę do mojego pokoju, żeby powiedzieć mi dobranoc, i odkrywa, że mnie nie ma. – Nie mogę.

Spojrzał na mnie.

– Dlaczego?

– Już mam kłopoty – wyjaśniłam, ale nawet w moich uszach zabrzmiałam jak mięczak – a gdyby jeszcze mnie złapali...

– Och, daj spokój. – Wrzucił jedynekę, żeby wyjechać poza Lakeview. – Pożyj trochę. Dziś są twoje urodziny, no nie?

Popatrzyłam na ciemny dom. Moje urodziny kończyły się za godzinę i miałam prawo spędzić ją tak, jak chciałam.

– Jedźmy – powiedziałam do niego, a on się uśmiechnął, wciskając gaz, gdy braliśmy zakręt.

Rozległ się pisk opon i dałam się unieść w dal.

Zabrał mnie aż nad Topper Lake, dobre dwadzieścia minut jazdy od domu. W pół drogi się zatrzymaliśmy i ja prowadziłam, patrząc, jak Macon się krzywi, podobnie jak mój ojciec, kiedy prędkościomierz pokazywał coraz większą prędkość.

– Denerwujesz się? – zapytałam, gdy przejeżdżaliśmy przez most i otoczyły

nas ciemne wody jeziora.

– Wcale nie – odarł.

Ale wiedziałam, że mówi nieprawdę, i obsmiałałam go. Ledwie zbliżałam się do limitu dozwolonej prędkości.

Minęliśmy port i nabrzeże, ze wszystkimi atrakcjami turystycznymi, i wreszcie skręciliśmy na bitą drogę, która długo wiała się przez las, po wybojach, obok znaków „Wstęp wzbroniony!”, prowadząc w kompletne ciemności. W oddali było widać maszty radiowe stacji, w której pracował mój ojciec; błyskały czerwono i zielono na tle czarnego nieba.

Wreszcie wysiedliśmy z samochodu i, prowadzona za rękę, ruszyłam za Maconem w mrok. Słyszałam szum wody, ale nie mogłam się zorientować, gdzie jest jezioro.

– Patrz pod nogi – powiedział Macon, gdy wspinaliśmy się na stromy stok, wysoko, coraz wyżej, tak że ledwie szłam.

Było mi zimno w piżamie i kurtce, nie wiedziałam, gdzie jestem, i już traciłam oddech, kiedy wyczułam pod nogami, że grunt się wyrównuje. Wciąż jednak nie miałam pojęcia, dokąd Macon mnie zabrał.

– Dokąd idziemy? – zapytałam.

– Jesteśmy już prawie na miejscu! – zawołał przez ramię. – Idź moim śladem, dobra?

– Dobra. – Patrzyłam przed siebie, na jego jasne włosy, bo w ciemności nic innego nie widziałam.

I wtedy nagle się zatrzymał.

– To tu – oznajmił.

Nie bardzo wiedziałam, co to za „tu”, ponieważ wciąż niewiele było widać. Macon usiadł na ziemi, z nogami nad krawędzią przed nami, więc zrobiłam to samo. Znowu usłyszałam szum wody, tym razem głośniejszy.

– Co to za miejsce? – spytałam, drżąc w kurtce.

– Miejsce, które znam – wyjaśnił. – Kilka lat temu znaleźliśmy je z Sherwoodem. Często tu przyjeżdżaliśmy.

Był to pierwszy raz, kiedy wspomniał o Michaelu, odkąd się znamy. Ja ostatnio często o nim myślałam, w związku z dzieckiem. Scarlett powiedziała, że musi się zebrać na odwagę i napisać do jego matki; czy przeprowadziła się na Florydę, czy nie, miała prawo wiedzieć, że będzie miała wnuka.

– Pewnie za nim tęsknisz – zagadnęłam.

– Uhm. – Oparł się o gruby beton, który mieliśmy za plecami. – Był z niego porządny facet.

– Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym straciła Scarlett – rzuciłam. Nie wiedziałam, czy nie posuwam się za daleko albo nie mówię czegoś niewłaściwego.

– Chyba nie mogłabym bez niej żyć.

– No – odrzekł w ciemności. Odwrócił głowę, nie patrząc na mnie. – Na początku tak się wydaje.

Siedzieliśmy tak w kompletnych ciemnościach, słysząc przepływającą w dole wodę. Myślałam o Michaelu. Zastanawiałam się, jak by to było, gdyby tamtego wieczoru wybrał inną trasę, gdyby nie zginął. Czy Scarlett też postanowiłaby urodzić dziecko, czy poznałabym Macona i teraz byłabym w tym miejscu.

– Dobra – odezwał się nagle, patrząc na zegarek z fluorescencyjną tarczą. – Przygotuj się.

– Na co?

– Przekonasz się. – Objął mnie w pól i przyciągnął do siebie, tak że poczułam na szyi jego ciepłe usta.

Kiedy odwróciłam głowę, żeby go pocałować, rozległ się głośny huk wody i nagle zalało nas światło. Początkowo mnie oślepiło i wystraszyło, jak flesz błyskający tuż przed twarzą, tak że zobaczyłam przed oczami gwiazdy. Odsunęłam się od Macona i dostrzegłam, że siedzę na wąskim pasie białego betonu, w otoczeniu tablic z napisem: „Niebezpieczeństwo! Nie wchodzić!”, z nogami w powietrzu. Macon chwycił mnie w pasie, gdy pochyliłam się do przodu, wciąż oszołomiona, mrugając, żeby spojrzeć w dół. Wreszcie dojrzałam wodę, która z głośnym hukiem spływała z kilometr pode mną. To było tak, jakby otworzyć oczy i nagle znaleźć się w powietrzu. Rozwierająca się tama stękała. Obróciłam się w ramionach Macona, przejęta z powodu tego całego szumu i blasku, światła rozciągającego się pod nami.

– Macon. – Próbowałam odsunąć się od krawędzi betonu, w stronę ścieżki. – Nie powinnam...

Wtedy znowu przyciągnął mnie do siebie i pocałował mocno, głaskając po włosach, a ja zamknęłam oczy, odcinając się od otoczenia, szumiącej wody w dole, i poczułam to pierwszy raz. Ekscytujące, upajające wrażenie, że znajduję się na skraju i nie spadam, że świat wiruje szaleńczo wokół mnie. I odpowiedziałam równie mocnym pocałunkiem, wyzwalając się od tamtej dziewczyny z początku lata, znad Wielkiego Kanionu. W tamtej chwili, zawieszona w powietrzu, poczułam, że ona mnie opuszcza.

Rozdział 8

– Dobra, zobaczmy... Wzmożony apetyt na pewne produkty żywnościowe.
– Zgadza się.
– Obrzydzenie w stosunku do innych.
– Uhm. Zgadza się.
– Bóle głowy.
– Zgadza się.
– Zmienność nastroju – czytałam dalej. – O, już ja coś o tym wiem. Zgadza się.

– Zamknij się – odparła Scarlett i wyrwała mi książkę, po czym rzuciła ją na swoje siedzenie.

Siedziałyśmy w jej samochodzie tuż przed pierwszym dzwonkiem na lekcje; odkąd zrobiłam prawo jazdy, pozwalała mi codziennie prowadzić. Jadła krakersy i popijała je sokiem, bo tylko to była w stanie utrzymać w żołądku, a ja dyskretnie pochłaniałam czipsy.

– Poczekaj – odezwałam się, wkładając do ust następnego. – W książce jest napisane, że poranne mdłości powinny przejść na początku czwartego miesiąca.

– Ojej, czy to nie cudowne? – warknęła. Ostatnio rzeczywiście była strasznie humorzasta. – Te czipsy tak śmierdzą, że zaraz się porzygam.

– Przepraszam. – Odsunęłam szybę i demonstracyjnie wystawiłam paczkę za okno, a potem wysunęłam głowę, żeby zjeść czipsa poza samochodem. – Lekarka powiedziała, że cały czas będzie ci niedobrze.

– Wiem, co powiedziała. – Wsadziła do ust kolejnego krakersa i popiła sokiem. – To wariactwo. Nigdy wcześniej nie miałam zgagi, a teraz mam, wyglądam koszmarnie we wszystkich ciuchach, z jakiegoś dziwnego powodu stale się pocę i nawet gdy umieram z głodu, mdli mnie na widok jedzenia. Żałosne.

– W piątym miesiącu poczujesz się lepiej – pocieszyłam ją, biorąc książkę.

Nosiła tytuł *Jesteś w ciąży i co teraz*. To była nasza biblia, zaglądałyśmy do niej nieustannie, a ja miałam za zadanie powoływać się na nią, żeby uspokoić i pokrzepić nas obie.

– Chciałabym – zaczęła cicho, zwracając się ku mnie z miną, której przed drugim miesiącem nigdy u niej nie widziałam – żebyś przestała gadać o czwartym miesiącu.

Przestałam więc.

Macon czekał na mnie pod klasą, oparty o gaśnicę. Od moich urodzin wszystko niezauważalnie zmieniło się między nami; było poważniejsze. Teraz już na sam jego widok miałam wrażenie, jakbym patrzyła w dół i odkrywała, że jestem w powietrzu, zawieszona nad całym światem.

– Hej! – powiedział, gdy do niego podeszłam. – Gdzie byłaś?

– Kłóciłam się ze Scarlett – wyjaśniłam. – Stała się ostatnio strasznie drażliwa.

– Och, daj spokój. Nie czepiaj się jej. Jest w ciąży. – Powiedziałam mu o tym tamtej nocy w moje urodziny. Oprócz moich rodziców, Marion i nas obu tylko on wiedział.

– Rozumiem, ale czasami bywa ciężko. – Zbliżyłam się do niego i ściszyłam głos: – I nic nikomu nie mów, dobra? Scarlett na razie nie chce, żeby ktoś się dowiedział.

– Nikomu nie powiedziałem. Masz mnie za dupka?

Za mną ludzie wchodzili już do klasy, potrącając mnie plecakami i łokciami.

– I to dużego – odparłam. To go nie rozśmieszyło. – Chce zaczekać do czasu, aż będzie musiała się przyznać. To wszystko.

– Nie ma sprawy – odpowiedział.

– Faulkner! – zawołał ktoś za nami. – Chodź, muszę z tobą pogadać.

– Za chwilę! – odkrzyknął Macon.

– Powiedziałeś, że idziesz dziś na godzinę wychowawczą – przypomniałam mu. – Pamiętasz?

– Tak. Muszę lecieć. – Szybko cmoknął mnie w czoło, żeby jak najszybciej się ulotnić. – Do zobaczenia na trzeciej lekcji.

– Poczekaj! – rzuciłam, ale zniknął w hałaśliwym tłumie na korytarzu.

Widziałam tylko czubek jego głowy i od czasu do czasu czerwoną koszulę, zanim całkiem przepadł. Później, szukając w kieszeni plecaka ołówka, znalazłam garść cukierków i znowu zaczęłam się zastanawiać, jak on to robi, że zawsze udaje mu się niezauważalnie sprawić mi niespodziankę.

Później miałam grafikę użytkową, jedyny przedmiot, na jaki chodziłam razem ze Scarlett. Właśnie szukałam w magazynie czerwonego papieru, kiedy usłyszałam kogoś za sobą, więc odwróciłam się i zobaczyłam Elizabeth Gunderson, która przerzucała arkusze pomarańczowego. Od śmierci Michaela wyraźnie się opuściła, odeszła z drużyny cheerleaderek, paliła jak smok i zaczęła chodzić z solistą jakiegoś szkolnego zespołu muzycznego, chłopakiem z kozią bródką i kolczykiem w języku. Wszystkie psiapsiółki ją papugowały, zamieniły tweedy z J. Crew na wytarte džinsy i czarne ciuchy, starając się wyglądać w swoich bmw i mercedesach ponuro i smętnie.

– Hej, Halley. – Podeszła do mnie z rulonem pomarańczowego papieru pod pachą. – Słyszałam, że chodzisz z Maconem Faulknerem.

Zerknęłam w stronę klasy na Scarlett, która pochylała się nad stołem, wycinając i przyklejając litery do naszego wspólnego projektu literniczego.

– Uhm – odparłam. Staralam się skupić na czerwonym papierze, który trzymałam. – Na to wygląda.

– To fajny chłopak. – Sięgnęła za mnie po jakiś jaskrawoczerwony arkusz. – Ale jako twoja koleżanka powinnam cię ostrzec. Uważaj z nim.

Spojrzałam na nią. Nawet w wytartych džinsach i z wystylizowanymi na strąki włosami Elizabeth Gunderson wciąż była dawną główną cheerleaderką, królową zjazdu absolwentów, dziewczyną o nieskazitelnej urodzie i idealnej cerze, jakby zeszała ze stron „Seventeen”. Była zupełnie inna niż ja. Do tej pory nawet mnie nie znała.

– Chodzi mi o to – ciągnęła, cofając się i wtykając drugi rulon papieru pod ramię – że potrafi być naprawdę uroczy, ale okropnie traktuje dziewczyny. Jak moją przyjaciółkę Rachel. Wykorzystał ją, a teraz się do niej nie odzywa. Wiesz, takie właśnie akcje.

– Naprawdę? – Usiłowałam ją obejść, ale stała mi na drodze.

– Poznałam go dobrze, kiedy byłam z Michaeliem. – Wypowiedziała jego imię powoli, żeby do mnie dotarło. – Nie jestem pewna, że czy zdajesz sobie sprawę, jaki jest naprawdę. Wobec dziewczyn i w ogóle.

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć, jak się bronić, więc starałam się ją wyminąć i uderzyłam ramieniem o półkę.

– Uznałam, że powinnaś wiedzieć, zanim za bardzo się zaangażujesz! – zawołała za mną. – Ja tam bym wołała, żeby ktoś mi powiedział!

Wpadłam do klasy. Obejrzawszy się, zobaczyłam, że odprowadza mnie wzrokiem, stojąc przy gilotynie do papieru i rozmawiając z Ginny Tabor, która jak radar wyczuwała takie sytuacje. Rzuciłam Scarlett papier i odsunęłam swoje krzesło.

– Nie uwierzysz, co mi się właśnie zdarzyło – zaczęłam. – Byłam w magazynie, gdy...

Nie dokończyłam, bo nagle odsunęła krzesło, przyłożyła rękę do ust i pobiegła do łazienki.

– Scarlett?! – Pani Pate, nasza nauczycielka, była trochę nerwowa i wszelkie wybuchy wyprowadzały ją z równowagi. Nadzorowała prace przy gilotynie, żeby nikt nie obciął sobie palców. – Halley, czy coś się jej stało?

– Chyba ma gripę – odparłam. – Pójdę zobaczyć, co z nią.

– Dobrze. – Pani Pate skupiła ponownie uwagę na Michelle Long, która cięła papier tak niedbale, że mogła stracić co najmniej pół ręki. – Michelle, poczekaj. Patrz, co robisz. Widzisz? Czy ty to widzisz?

Znalazłam Scarlett w ostatniej kabinie pod ścianą; klęczała na podłodze przy kiblu. Zwilżyłam kilka papierowych ręczników i podałam jej, a potem powiedziałam:

– Będzie lepiej.

Sarknęła, ocierając oczy rękawem. Zrobiło mi się jej żal.

– Jesteśmy same? – zapytała.

Przeszłam obok szeregu kabin, zaglądając pod drzwi, aby sprawdzić, czy są tam jakieś nogi, ale żadnych nie zauważyłam. Byłyśmy tylko my, granatowe ściany z pustaków i ciekący kran.

Scarlett przysiadła na piętach, ocierając twarz wilgotnymi ręcznikami.

– To jest najgorsze – powiedziała, dławiąc się, i pociągnęła nosem.

– Wiem – odparłam. Nakazałam sobie nie wspominać o czwartym miesiącu, radościach macierzyństwa ani małej istotce w jej łonie, wszystkim tym, co w przeszłości zawodziło. – Wiem.

Otarła usta wierzchem dłoni i zamknęła oczy.

– Zawsze, kiedy widywałam na ulicy ciężarne kobiety, wydawały mi się szczęśliwe. Promienne, prawda? Albo w telewizji: w tych obszernych sukienkach, dziergające śpioszki. Nikt nigdy ci nie mówi, że utyjesz, będziesz miała mdłości i odjazdu. A ja jestem dopiero w trzecim miesiącu, Halley. Potem będziesz jeszcze gorzej...

– Lekarka powiedziała... – zaczęłam, ale nie dała mi dokończyć, machając ręką.

– Nie o to chodzi – powiedziała cicho i znowu zaczęła płakać. – Byłoby inaczej, gdybym miała przy sobie Michaela albo byłabym zamężna. Marion nie chce, żebym zatrzymała to dziecko, Halley. Nie wspiera mnie. Jestem z tym sama, rozumiesz? I to mnie przeraża.

– Nie jesteś sama – odparłam z mocą. – Masz mnie, wiesz o tym, prawda? Podtrzymuję ci głowę, kiedy rzygasz, przynoszę krakersy i znoszę twoje humory. Robię to wszystko, co robiłby dla ciebie mąż czy ktoś taki.

– To nie to samo. – We fluorescencyjnym świetle jej twarz wydawała się bledsza niż kiedykolwiek. – Tak bardzo za nim tęsknię. Ta jesień jest dla mnie trudna.

– Wiem – odrzekłam. – Jesteś naprawdę bardzo silna, Scarlett.

– Nawet nie wiem, jak by to było między nami, gdyby żył. Chodziliśmy ze sobą tylko przez jedno lato, rozumiesz? Może okazałby się dupkiem. Nigdy się tego nie dowiem. Ale gdy dzieje się źle i czuję się nieszczęśliwa, myślę tylko, że gdyby nie zginął, wszystko byłoby dobrze. Tylko on mnie rozumiał. Jedyne.

Uklęknęłam przy niej.

– Damy radę – powiedziałam stanowczo. – Wiem to.

Prychnęła.

– A co ze szkołą rodzenia? Co będzie, gdy przyjdzie czas porodu, będzie bolało i tak dalej? A co z pieniędzmi? Jak mam utrzymać drugą osobę, pracując w Milton's jako kasjerka?

– Już o tym rozmawialiśmy – odparłam. – Masz te pieniądze, które odłożyli dla ciebie dziadkowie, najwyżej je wypłacisz.

– To miało być na studia – jęknęła.

– Dobrze, masz rację – burknęłam sarkastycznie – Studia są teraz najważniejsze. To twoje dziecko, Scarlett. Musisz o nie dbać, bo cię potrzebuje.

– Moje dziecko – powtórzyła pustym głosem w zimnych niebieskich ścianach. – Moje dziecko.

Wtedy to usłyszałam; skrzywienie otwieranych drzwi, nie zewnętrznych, ale bliższych, tuż za mną. Odwróciłam się, obawiając się tego, co zobaczę. Pary stóp, które przeoczyłam, należących do kogoś, kto wszystko słyszał. Ale było gorzej. Znacznie gorzej.

– O Boże – powiedziała Ginny Tabor, kiedy się odwróciłam. Stała za mną w białym sweterku, z otwartymi ustami. – O Boże.

Scarlett przymknęła oczy, podnosząc dłonie do twarzy. Słyszałam brzęczenie neonówek. Żadna z nas się nie odezwała.

– Nikomu nie powiem – rzuciła nerwowo Ginny, cofając się do drzwi. – Przysięgam. Naprawdę.

– Ginny... – zaczęłam. – To nie...

– Nie powiem – powtórzyła głośniejsze. Cofnęła się za daleko i wpadła na drzwi, gorączkowo szukając gałki. – Przysięgam. – Wymknęła się, zatraskując drzwi, i ostatnią rzeczą, jaką widziałam, zanim zniknęła, była biel jej sweterka.

Zaczęto się na nas gapić już w porze lunchu, kiedy szliśmy do samochodu Macona. Wszyscy zerkali na brzuch Scarlett, jakby od drugiej lekcji dało się już coś zobaczyć, jakby dziecko mogło pojawić się lada chwila. Zjedliśmy lunch w toyocie na parkingu przy centrum handlowym, obok śmietnika.

– To dziwne – odezwała się Scarlett, kończąc drugiego hot doga – ale odkąd wszyscy wiedzą, po prostu umieram z głodu.

– Powoli z tymi hot dogami – powiedziałam nerwowo. – Nie bądź za pewna siebie.

– Czuję się dobrze – odparła, a Macon wyciągnął rękę i znacząco uściśnił moją nogę. Przez cały wuef zadreślałam się, że to wszystko moja wina, Ginny Tabor mnie nabrała, a teraz rozgłasza sekret Scarlett po całej szkole. – I nie mam do ciebie pretensji, więc nie patrz na mnie tak, jakbym zaraz miała się wściec.

– Przepraszam – rzuciłam co najmniej dwudziesty raz – naprawdę.

– Za co? – spytała. – To nie twoja wina, tylko Ginny i jej niewyparzonej gęby. Kropka. Zapomnij o tym. Przynajmniej jest już po wszystkim.

– Boże – jęknęłam, a Macon przewrócił oczami. Już wymyśliłam kilka sposobów, na jakie mogłabym zabić Ginny. – Naprawdę okropnie mi przykro.

– Zamknij się i podaj czipsy – odparła Scarlett, klepiąc mnie po ramieniu.

– Lepiej jej daj – odezwał się Macon i wziął je z moich kolan. – Zanim zaczniesz gryźć obicie.

– Jestem głodna – zaprotestowała Scarlett z pełnymi ustami. – Jem teraz za dwoje.

– Wobec tego powinnaś darować sobie hot dogi – orzekł Macon, odwracając się do niej. – Przynajmniej na jakiś czas. A zamiast tego jeść owoce i warzywa, dużo białka i jogurt. O, i witaminę C, to ważne. Melony, pomarańcze, takie rzeczy. Zieloną paprykę. Zawiera mnóstwo witaminy C.

Popatrzyliśmy na niego.

– No co?

– Od kiedy to znasz się na ciąży? – zapytałam.

– Sam nie wiem – odparł zmieszany. – Wcale się nie znam. To powszechna wiedza.

– Melony? – zapytała Scarlett, wykańczając torebkę czipsów.

– I witamina C – podkreślił Macon, zapalając silnik. – Jest bardzo ważna.

Kiedy wróciliśmy z lunchu, już gapili się na nas wszyscy, milknąc, gdy przechodziliśmy obok. Macon szedł i nie zwracał na to uwagi, ale Scarlett miała ściągniętą twarz. Zastanawiałam się, czy nie zwróci tych hot dogów.

– O rany – rzucił Macon, kiedy mijaliśmy samą Niewyparzoną Gębę. Ginny Tabor stała w towarzystwie Elizabeth Gunderson i obie patrzyły na nas, na pewno myśląc o Michaelu. – Jakby nigdy wcześniej nie widziały ciężarnej kobiety.

– Macon – zwróciłam mu uwagę. – Nie pomagasz nam.

Scarlett szła ze wzrokiem utkwionym przed siebie, jakby tylko dzięki koncentracji mogła pokonać drogę do klasy. Nie wiedziałam, co wydaje się wszystkim bardziej szokujące: to, że Scarlett jest w ciąży, czy że to dziecko Michaela. Oczywiście w naszej szkole dziewczyny zachodziły w ciążę, ale zwykle znikwały na kilka miesięcy, a potem wracały ze zdjęciami niemowląt w portfelach. Niektóre dumnie oddawały dzieci do szkolnego żłobka, gdzie maluchy dokazywały na placu zabaw po prawej stronie dziedzińca i podbiegały do ogrodzenia, żeby patrzeć na idące do klasy mamy. Ale takim jak ja i Scarlett podobne rzeczy się nie zdarzały. A jeśli nawet, załatwiano je w tajemnicy, dyskretnie. Były tylko plotki, ale nic ponadto.

Tym razem stało się inaczej. Jeśli zaczynaliśmy zapominać Michaela Sherwooda, to nam o nim przypomniano.

Rozdział 9

W trakcie tego wszystkiego zaczęła odchodzić od nas babcia Halley.

Zauważyliśmy to już kilka miesięcy wcześniej, późną wiosną. Zdarzało jej się zapominać; mówiła do mnie Julie, myśląc mnie z matką, zapominała nawet jak sama ma na imię. Zamykała dom i gubiła klucze. Moja matka namówiła ją, żeby nosiła je na szyi, ale to nic nie pomagało. Klucze wpadały do szczelin i różnych dziur, ginęły na chodnikach i rogach ulic, rozpływały się w powietrzu.

Sytuacja się pogarszała. Babcia wyszła ze sklepu z kartką pocztową, za którą zapominała zapłacić, i uruchomiła wszystkie alarmy, co z kolei wprawiło ją w przerażenie. Dzwoniła w środku nocy, zaniepokojona i zdezorientowana, bo przecież mieliśmy przyjechać, choć wcale nie było takich planów. Mówiła nerwowo, piskliwym głosem, budząc we mnie lęk, kiedy przekazywałam słuchawkę mamie, która krążyła po kuchni, zapewniając ją, że wszystko w porządku, jesteśmy cali i zdrowi; nie ma się czego bać. Pod koniec października nie byliśmy już tego tacy pewni.

Zawsze łączyły mnie z babcią Halley bliskie relacje. Byłam jej imienniczką i przez to stała się dla mnie kimś szczególnym. Kiedy byłam młodsza i rodzice gdzieś wyjeżdżali, oddawali mnie do niej na lato. Mieszkała sama pod Buffalo, w małym wiktoriańskim domu o witrażowych oknach, z grubym kotem imieniem Jasper. W połowie krętych schodów znajdowało się okno; na parapecie wisiał na drucie dzwonek. Przechodząc obok, zawsze go poruszałam i jego dźwięk odbijał się od szyb oraz otaczających mnie ścian. Kiedy słyszałam jej imię, zawsze najpierw przychodził mi na myśl ten dzwonek, a dopiero potem jej twarz.

Moja matka odziedziczyła po niej błyszczące oczy, małą brodę i czasami perlisty śmiech, jeśli się wiedziało, kiedy się go spodziewać. Ale babcia Halley była nieokiełznana, trochę ekscentryczna, co pogłębiło się w ciągu dziesięciu lat od śmierci dziadka. Uprawiała ogród w męskim kombinezonie i kapeluszu przeciwsłonecznym z opadającym rondem, upodabniała swoje strachy na wróble do sąsiadów, których nie lubiła, zwłaszcza do pana Farrowa, mieszkającego dwa domy dalej; miał końskie zęby i marchewkowo rude włosy, co można było doskonale wykorzystać. Jadła tylko organiczną żywność, za pośrednictwem Save the Children adoptowała dwadzieścioro dzieci i, gdy miałam pięć lat, nauczyła mnie stepować. We dwie tańczyłyśmy w salonie, a z adapteru płynęła muzyka i trzaski.

Urodziła się w maju 1910 roku, kiedy nad małym miasteczkiem w Wirginii przelatywała kometa Halleya. Jej ojciec, który obserwował to wraz z innymi na trawniku przed szpitalem położniczym, dał jej na imię Halley. Przez to zawsze wydawała się inna, nie z tego świata. Nadzwyczajna. A skoro nazwano mnie tak

jak ją, i ja przez to stałam się trochę niezwykła, a przynajmniej taką miałam nadzieję.

Kiedy skończyłam sześć lat, zimą pojechaliśmy do niej, żeby obejrzeć przelot komety. Pamiętam, że siedziałam na jej kolanach w ogrodzie, okryta kocem. Było to ważne wydarzenie, wokół którego zrobiono wiele szumu, ale zobaczyłam niewiele, tylko pasmo światła, gdy wyteżaliśmy wzrok, żeby dostrzec komętę na niebie. Babcia Halley milczała, trzymała mnie mocno i w pewnej chwili, jakby doskonale widziała komętę, chwyciła mnie za rękę, szepcząc: „Zobacz, Halley. Jest!”. Matka powtarzała, że nikt nie mógł tego widzieć, ponieważ było zbyt mgliście, ale babcia mówiła jej, że się myli. To właśnie czary babci Halley. Potrafiła stworzyć wszystko, nawet komętę, i sprawić, żeby zatańczyła wam przed oczami.

Teraz matka stała się roztargniona, dzwoniła do Buffalo i, gdy szłam spać, prowadziła długie rozmowy z ojcem. Ja byłam zajęta nauką, pracą, Maconem; kiedy szlaban się skończył, to gdy tylko mogłam, wymykałam się, że spędzić z nim kilka godzin. Jeździłam ze Scarlett na kontrole lekarskie, czytałam jej odpowiednie fragmenty ciężowej biblii, przypominałam, żeby przyjmowała więcej witaminy C, jadła pomarańcze i zieloną paprykę. Dostosowywałyśmy się do wymogów ciąży; nie miałyśmy innego wyboru. Po dwóch tygodniach od czasu, gdy Scarlett stała się sensacją, chłopak Elizabeth Gunderson, ten z kolczykiem w języku, już całował się z jej najlepszą kumpelką Maggie, a wtedy Scarlett i jej dziecko przestali budzić zainteresowanie.

Jednak za każdym razem, gdy dzwoniła babcia Halley, przestraszona, obserwowałam, jak twarz matki ściąga się w znajomym już wyrazie niepokoju. I zawsze wtedy myślałam o tamtej nocy w ogrodzie, przed laty, kiedy babcia przyciągnęła mnie do siebie. „Zobacz, Halley. Jest!”. Zamykałam oczy i próbowałam sobie przypomnieć komętę, ale daremnie.

W połowie listopada Marion spotykała się z księgowym Steve'em tak samo długo, jak ja chodziłam z Maconem. I facet powoli zaczął pokazywać swoją drugą twarz.

Zaczęło się przy czwartej czy piątej randce. Scarlett zauważyła to pierwsza. Siedziałyśmy na schodach przed domem i kiedy rozmawiał z nami, czekając na Marion, znacząco dźgnęła mnie łokciem. Zawsze przyjeżdżał pod krawatem, w oksfordzkich koszulach, ładnych sportowych marynarkach, chinosach i mokasynach z frędzelkami. Ale tamtego wieczoru miał na szyi długi brązowy rzemień, ledwie widoczny na tle krawata. A na tym rzemieniu wisiało coś okrągłego ze srebra.

– To nie jest medalion – syknęłam do Scarlett, gdy Steve poszedł do łazienki.
– To coś z biżuterii.

– Medalion – powtórzyła. – Widziałas te symbole? To jakaś dziwna moneta.

– Och, przestań.
– Naprawdę. Mówię ci, Halley, wychodzi jego prawdziwe ja. Już nie może go tłumić.

– Scarlett – jęknęłam – to księgowy.

– Raczej czubek. – Przyciągnęła kolana do piersi. – Tylko poczekaj.

Marion już schodziła po schodach, z zapiętą do połowy sukienką, zakładając kolczyk. Zatrzymała się przed nami i odwróciła plecami do Scarlett, która wstała i bez słowa zapięła do końca jej sukienkę.

– Marion – zaczęła cicho, kiedy usłyszałyśmy spuszczenie wody i otwieranie drzwi łazienki. – Spójrz, co on ma na szyi.

– Co takiego? – zapytała głośno Marion, kiedy zza rogu wyłonił się Steve, elegancki w sportowej marynarce, z rzemieniem na szyi.

– Nic – mruknęła Scarlett. – Miłego wieczoru.

– Dziękuję. – Marion wyprostowała się i pocałowała Steve'a w policzek. – Widziałaś gdzie moją torebkę?

– Na stole w kuchni – gładko odparła Scarlett. – Kluczyki leżą na blacie.

– Doskonale. – Marion zniknęła w głębi domu i wróciła z torebką pod pachą.

– Wy też, dziewczynki, bawcie się dobrze. Nie rozrabiajcie i połóżcie się spać o przyzwoitej porze. – Odkąd chodziła z konserwatywnym wojownikiem, zachowywała się bardziej po matczynemu, jak matrona. I może przygotowywała się do roli babci. Nie bardzo wiedziałyśmy.

– Dobrze – odpowiedziałam.

– Mogłabyś nam trochę zaufać – rzuciła Scarlett od niechcienia. – Nie ma obaw, że gdzie wyskoczymy i zajdziemy w ciążę.

Marion spojrzała na nią spod zmrużonych powiek; Steve nie wiedział jeszcze o dziecku. Marion uznała, że półtora miesiąca znajomości to za mało, aby zafundować mu taką niespodziankę. Zresztą sama nie bardzo radziła sobie z tym faktem. Rzadko mówiła o dziecku, a jeśli nawet, zawsze napomykała przy tym o adopcji. Steve stał przy drzwiach i uśmiechał się niepewnie, zupełnie nie w stylu wojownika. Liczyłam, że zamieni się we Włada na naszych oczach.

– Dobranoc! – zawołałam, kiedy wychodzili.

Marion, wciąż zła, nie obejrzała się za siebie, a Steve pomachał do nas wesoło.

– O rany – wymamrotała Scarlett. – Ale cudak.

– Nie jest taki zły.

Oparła się o stopień i pogładziła po brzuchu. Chociaż nic jeszcze nie było widać, w ostatnim tygodniu bardzo się zmieniła. To było jak w animacji poklatkowej czy na filmach pokazujących rozkwitanie kwiatu. Z każdym obrazem coś się dzieje, coś, czego nie da się zauważyć gołym okiem – kielkujący z ziemi pęd czy powoli rozchylające się płatki. Niby nagłe rozkwitnięcie, pojawienie się

koloru tam, gdzie wcześniej go nie było, a tak naprawdę to proces, który zachodzi stopniowo, aby po jakimś czasie objawić się w pełni.

Cameron Newton był pewnie jedyną osobą w szkole, która jesienią budziła większe zainteresowanie niż Scarlett. Nie dość, że został przeniesiony we wrześniu, na początku roku szkolnego, to jeszcze był jednym z tych niskich, chudych chłopaków o bladej ziemistej cerze; zawsze ubierał się na czarno, przez co wyglądał na pół umarłego albo pół żywego, zależnie od stopnia optymizmu. Tak czy owak, nie miał lekko. Nic więc dziwnego, że na lekcjach grafiki użytkowej pani Pate zbliżył się ze Scarlett.

Z powodu wizyty lekarskiej któregoś dnia przyszliśmy później do szkoły i kiedy weszliśmy do klasy, przy naszym stole siedział Cameron.

– Popatrz – szepnęłam. – To Cameron Newton.

– Wiem – odparła pogodnie Scarlett i pomachała do niego. Wyglądał na zdenerwowanego i siedział z opuszczoną głową, patrząc na słoik z klejem. – To miły chłopak. Powiedziałam mu, żeby przysiadł się do nas.

– Co? – zapytałam, ale było już za późno.

Cameron łypał na nas. Był w czarnym golfie i czarnych dżinsach. Nawet jego oczy wydawały się czarne.

– Cześć, Cameron – rzuciła Scarlett. Przyciągnęła sobie krzesło i usiadła obok niego. – To jest Halley.

– Cześć – powiedziałam.

– Cześć. – Mówił zaskakująco głębokim głosem jak na niskiego faceta, z takim akcentem, że trzeba się było nachylić i skupić na jego słowach. Miał bardzo długie place i właśnie lepił coś z gliny szpachelką.

– Cameron mieszkał przez ostatnie pięć lat we Francji – wyjaśniła Scarlett, gdy już usiadłyśmy, wyjmowałyśmy litery alfabetu i je układałyśmy. – Jego ojciec to sławny szef kuchni.

– Naprawdę? – zapytałam. Wciąż czułam się przy nim niepewnie. Miał w sobie to coś dziwnego, niepokojącego, co mają ludzie, którzy dużo przebywają sami. – Super.

Scarlett kopnęła mnie pod stołem i spojrzała na mnie znacząco, jakbym się z niego wyśmiewała, co było nieprawdą. Cameron nagle wstał, odsunął krzesło i poszedł do magazynu. Chodził trochę jak stary człowiek, powoli, uważnie. Gdy mijał gilotynę do papieru, grupa dziewczyn wybuchnęła śmiechem, na tyle głośno, że na pewno usłyszał.

– Nie mówiłaś mi, że zaprzyjaźniłaś się z Cameronem Newtonem – zauważyłam przyciszonym głosem.

– Nie sądziłam, że to takie ważne – odparła Scarlett, wycinając literę O. – W każdym razie to fajna historia. Siedziałam tu wczoraj sama. Maryann Lister i jej koleżanki właśnie mnie obgadywały. Słyszałam każde słowo, o Michaelu,

o dziecku, że jestem puszczałka i tak dalej.

– Tak powiedziały? – Odwróciłam się na krześle i spojrzałam na Maryann, która popatrzyła na mnie przestraszonym wzrokiem. Szybko obróciłam się z powrotem.

– Już się nie przejmuję – odparła Scarlett. – Ale wczoraj cały rano miałam nudności, ciebie nie było, więc się podłamałam, rozumiesz? Zaczęłam się mazać, tu, na lekcji, i starałam się to ukryć, ale bezskutecznie. Kiedy poczułam się jak ostatnia ofiara, Cameron odwrócił się do mnie i położył przede mną na stole kawałek gliny. I to była Maryann.

– Jak to? – Nie rozumiałam.

– Wyrzeźbił ją. To było małe popiersie, niesamowite podobieństwo. Oddał nawet ten jej pieprzyk na brodzie i wzór swetra, który miała na sobie.

– Po co to zrobił? – Ponownie zerknęłam w stronę magazynu, gdzie Cameron chodził między półkami ze szpachelką w dłoni i czegoś szukał.

– Nie mam pojęcia. Ale powiedziałam, że ładnie mu wyszło, a on jakby mnie zignorował, a potem dał mi swój podręcznik do historii. Włożył mi go do ręki, ale nie wiedziałam, co mam z nim zrobić, więc mu go oddałam. A wtedy ona i jej koleżanki powiedziały coś o nim i o mnie, że byłaby z nas dobrana para i tak dalej.

– Nie znoszę jej – mruknęłam.

– Posłuchaj dalej. – Zaczęła się śmiać. – Więc Cameron z poważną miną bierze ode mnie podręcznik, ustawia popiersie na stole przed nami, po czym podnosi książkę i wali nią w rzeźbę, zupełnie ją spłaszczając. O tak, łup! To było takie zabawne, Halley. Prawie umarłam ze śmiechu. Potem wzięłam od niego książkę, też walnęłam w Maryann i razem zrobiliśmy z niej miazgę. Mówię ci, on jest przezabawny.

– Przezabawny – powtórzyłam, kiedy Cameron wyszedł z magazynu z kolejnym kawałkiem gliny w dłoniach. Idąc, patrzył prosto przed siebie, jakby nikogo nie widział. – Czy ja wiem?

– Ależ tak – odparła Scarlett z przekonaniem, gdy się zbliżył. – Przekonasz się.

Do końca tygodnia na lekcjach grafiki coraz lepiej poznawałam Camerona. Scarlett miała rację; był zabawny. Rozśmieszał nas w dziwny sposób, jakby niezamierzony, tak że człowiek myślał, że nie powinien się śmiać, nawet jeśli ma ochotę. Był niesamowicie uzdolniony, wręcz utalentowany; potrafił w kilka minut wyrzeźbić czyjąś twarz, bardzo wiernie, do ostatniego szczegółu. Zrobił piękną podobiznę Scarlett, oddając owal jej twarzy i uśmiech, rozsypane na ramionach włosy. Wyrzeźbił też mnie, z półuśmiechem. Umiał przedstawić cały świat w miniaturze.

Tak więc Scarlett przygarnęła Camerona tak, jak przed laty przygarnęła mnie. Z czasem przyzwyczyłam się do niego: do jego cichego głosu, czarnego

stroju, dziwnego powściąganego śmiechu. Nic mnie z Cameronem nie łączyło oprócz jednego: Scarlett. Ale już samo to wystarczyło, żebyśmy się zaprzyjaźnili.

Moja matka wciąż była niezadowolona z powodu Macona. Odnosiła się do niego podejrzliwie, bo dziwnie się zachowywał. Na przykład dzwonił do mnie co wieczór, ale kiedy odbierał ktoś inny, rozłączał się, nie zostawiając wiadomości. Czasami telefonował bardzo późno i nie zawsze zdążyłam odebrać po pierwszym dzwonku, który wydawał się bardzo głośny. Często więc odbierała matka i gdy podnosiłam słuchawkę, słyszałam ją na linii zaspaną, jej oddech po drugiej stronie.

– Już jestem – mówiłam, a ona trzaskała słuchawką.

Macon się śmiał, ja chowałam się pod kołdrę i rozmawiałam szeptem, żeby nie słyszała.

– Twoja matka mnie nienawidzi – mówił. Można było odnieść wrażenie, że to go bawi.

– Nawet cię nie zna.

– Aha – odpowiadał i wyczuwałam, że się uśmiecha. – Bo znać mnie, to kochać, jak sama się przekonałaś.

Dlatego, a także z powodu innych frustracji matka wprowadziła nowe zasady.

– Nie ma dzwonięcia po wpół do jedenastej – oznajmiła pewnego ranka przy kawie. – Twój koleś powinien to wiedzieć.

– Nie mogę im zabronić telefonowania – odparłam.

– Powiedz im, że nie będziesz mogła korzystać z telefonu – rzuciła krótko. – Dobrze?

– Dobrze. – Ale oczywiście to nic nie dało.

Wieczorami przysypiałam, trzymając rękę na aparacie. A wszystko po to, żeby powiedzieć Maconowi dobranoc, gdziekolwiek był.

Były także inne rzeczy. W niektóre wieczory, kiedy Macon wiedział, że nie mogę się z nim spotkać, przejeżdżał ulicą i albo trąbił, albo stał na jałowym biegu przed znakiem stopu pod moim oknem. Wiedziałam, że na mnie czeka, ale nie mogłam do niego wyjść. Wiedziałam, że on to wie. A mimo to przyjeżdżał. I czekał.

Leżałam więc w łóżku, uśmiechając się do siebie, głupio upojona świadomością, że Macon myśli o mnie przez tych kilka minut, zanim wciśnie gaz i odjedzie z piskiem opon. Wtedy u Harperów, naszych sąsiadów, zapalało się światło i pan Harper, przewodniczący straży sąsiedzkiej, stawał na ganku i lustrował ulicę. Nie wiem, po co Macon to robił; wiedział, że stąkam po kruchym lodzie, a moi rodzice są zasadniczy, czego najwyraźniej nie mógł zrozumieć. Za każdym razem, gdy słyszałam klakson albo pisk opon, czułam skurcz żołądka, częściowo z radości, częściowo ze strachu. A matka zawsze podnosiła głowę z nad książki, artykułu czy talerza i patrzyła na mnie, jakbym to ja siedziała za

kierownicą, wciskała pedał gazu i terroryzowała sąsiadów.

Z tego powodu stale musiałam wymyślać nowe sztuczki, żeby się z nim widywać. Wychodziłam z domu w weekendowe wieczory, mówiąc, że idę do Scarlett, szłam przez las za jej domem i spotykałam się z nim przy Spruce Street. A stamtąd jeździliśmy wszędzie i nigdzie. Powoli zaczynałam składać fragmenty jego życia w całość.

Pewnego wieczoru, po paru godzinach krążenia w okolicy, zajechaliśmy na parking u stóp dużego wzniesienia, na którym stał wysoki apartamentowiec z szeregiem świateł w oknach. Na ostatnim piętrze były same okna, przez które widziałam poruszających się ludzi z kieliszkami wina w dłoniach, śmiejących się, rozmawiających – to wyglądało jak przyjęcie na szczycie świata.

– Co to? – zapytałam, kiedy wysiedliśmy z samochodu i wdrapaliśmy się na wzgórze, a potem ruszyliśmy po kręconych schodach z grubą żelazną poręczą.

– To mój dom – wyjaśnił Macon, gdy doszliśmy do rzędu przeszklonych drzwi, za którymi biegł korytarz o kremowych ścianach, z wielkim żyrandolem.

– Twój dom? – Otworzył przede mną drzwi.

Po wejściu do środka poczułam zapach lilii, przypominający perfumy, których moja matka używała na szczególne okazje. Spojrzałam na zegarek; było sześć po jedenastej. Za pięćdziesiąt cztery minuty musiałam stawić się w domu.

Macon zaprowadził mnie do windy i wnętrzem dłoni wcisnął guzik w kształcie trójkąta. Drzwi otworzyły się z cichym brzęknięciem. Na podłodze kabiny leżała puszysta zielona wykładzina, a pod ścianą stała nawet ławeczka w razie, gdyby kogoś zmęczyło stanie. Nacisnął guzik z literą P i ruszyliśmy w górę.

– Mieszkasz w penthousie? – Obróciłam się, oglądając swoje odbicie w czterech lustrzanych ścianach.

– Uhm – mruknął, patrząc na numery pięter ponad moją głową. – Moja matka jest dobrze ustawiona.

Pierwszy raz o niej wspomniał. Wiedziała o jego matce tylko to, co słyszałam wiele lat wcześniej, kiedy mieszkała w naszej okolicy. Zajmowała się sprzedażą nieruchomości i była co najmniej trzykrotnie zamężna, ostatnim razem z deweloperem budującym restauracje ze stekami.

– To niesamowite – powiedziałam. – Ta winda jest ładniejsza niż cały mój dom.

Znowu zabrzmiał dzwonek i drzwi się otworzyły, ukazując kolejny, mniejszy korytarz. Kiedy wysiedliśmy, przez uchylone drzwi zobaczyłam krążących po salonie ludzi, których głosy zlewały się z brzękiem kieliszków i muzyką fortepianową.

– Tędy. – Macon zaprowadził mnie za róg pod jakieś pomieszczenie, które wyglądało na bielizniarkę albo służbówkę. Wyjął z kieszeni klucze, odemknął

drzwi i włączył światło. Potem stanął na progu, czekając na mnie. – Wejdz. – Wyciągnął rękę i połachotał mnie w miejscu, gdzie miałam największe łaskotki. – Nie mamy za dużo czasu.

Pokój był dość mały, pomalowany na niebiesko, w kolorze nieba; w środku stały pojedyncze łóżko, starannie zaścielone, komoda i biurko, które wyglądało na nowiutkie. Zza drzwi po przeciwnej stronie dochodziły dźwięki pianina. Na krześle przy łóżku znajdował się telewizor z czymś przyklejonym taśmą do ekranu.

– To twój pokój? – zapytałam.

Podeszłam do telewizora, żeby zobaczyć, co na nim jest. Wyglądało jak zdjęcie.

– Uhm. – Lekko uchylił drzwi do salonu, w którym odbywała się impreza, zajrzał za nie i zamknął je ponownie. – Poczekaj tu – rzucił. – Zaraz wracam.

Usiadłam na łóżku, patrząc na telewizor, i pochyliłam się, żeby przyjrzeć się zdjęciu. Wydało mi się znajome i po chwili uświadomiłam sobie, że przedstawia mnie. Mnie nad Wielkim Kanionem z matką; takie samo stało u nas na kominku. Ale matki na tym zdjęciu nie było, starannie ją wycięto, tak że zostałam na nim tylko ja, z wyciągniętym w bok ramieniem, uciętym przy łokciu.

Odkleiłam zdjęcie i odwróciłam. Wciąż trzymałam je w ręce, gdy wrócił Macon. Przyniósł dwa kieliszki i półmisek z przystawkami.

– Hej! – powiedział. – Mam nadzieję, że lubisz kawior, bo to najlepsze z tego, co tam mają.

– Skąd to wzięłeś? – spytałam, wskazując zdjęcie.

Spojrzał na mnie i przysięgam, że się zarumienił, choć tylko przelotnie.

– Skądś.

– Skąd? – Nie zdziwiłabym się, gdybym po powrocie do domu nie znalazła na kominku tej fotki, a poza tym wszystko byłoby nietknięte i na swoim miejscu. Taki był sprytny.

– Skądś – powtórzył. Podał mi kieliszek z winem i papierowy talerz.

– Skąd, Macon? – nie dawałam za wygraną. – Powiedz.

– Od Scarlett. Wziąłem je... pożyczyłem... od Scarlett. Tkwiło u niej za lustrem.

– Aha. – Odwróciłam je ponownie. – Mogłeś mnie o nie poprosić.

– Uhm. – Nie patrząc na mnie, wsadził do ust coś małego z ciasta.

– Hm... – Pocałowałam go w policzek, gładki, miękki i pachnący czymś orzeźwiającym, jak woda po goleniu. – Cieszę się, że aż tak mnie lubisz, aby kraść moje zdjęcie.

Za ścianą wciąż grała muzyka. W pokoiku Macona byliśmy jak pasażerowie na gapę.

– Nie spędzasz tu za dużo czasu? – zagadnęłam.

– Nie. – Usiadł i opróżnił kieliszek. – Skąd wiesz?

– Ten pokój nie wygląda, że w ogóle ktoś tu mieszka. Gdzie więc się podziewasz, Macon?

– Czy ja wiem? Kiedyś pomieszkiwałem u Sherwooda. Mieli dodatkowy pokój, jego ojciec był stale w rozjazdach. A matce to nie przeszkadzało. No i miałem innych znajomych, inne przystanie. Rozumiesz.

– Jasne – odpowiedziałam nieszczercze.

Dla mnie to było kompletnie obce, życie tułacza, przenoszenie się z miejsca na miejsce, rozbijanie obozu tam, gdzie wygodnie. Pomyślałam o własnym pokoju, wypełnionym zdjęciami i trofeami, odznaczeniami zdobytymi w konkursach ortograficznych i podręcznikami, wszystkim tym, co składało się na mnie samą. Było to jedyne miejsce na świecie, które należało tylko do mnie, zawsze.

Spojrzałam na niego, a on popatrzył na mnie, a potem pochylił się, żeby mnie pocałować. Zamknęłam oczy i położyłam się w jego objęciach. Całował mnie i całował przy muzyce w tle i głosach ludzi przechodzących za ścianą, raz głośniejszych, raz cichszych. Wygodnie nam było na łóżku; pościel pachniała słodko, nim i dymem papierosowym. Macon umiał całować – nie żebym miała porównanie. Wolałam nie myśleć, w jakich okolicznościach się tego nauczył.

Później – wydawało mi się, że po kilku błogich godzinach – spojrzałam przypadkiem na jego zegarek. Było dziewięć po dwunastej.

– Musimy jechać. – Zerwałam się z łóżka. Koszulkę miałam zmiętą, a usta obolałe. – Jestem spóźniona.

– Spóźniona? – Był kompletnie zaskoczony i zbity z tropu. – Na co?

– Miałam wrócić do dwunastej. – Chwyciłam kurtkę i wsunęłam stopy do butów, podczas gdy on wstał i włączył lampkę przy łóżku, którą kiedyś, nie wiem kiedy, wyłączył. – O rany. – Pokręciłam głową. – Już po mnie.

Wybiegliśmy z windy na parking, wskoczyliśmy do samochodu i z piskiem opon na zakrętach i znakach stopu dwadzieścia jeden po dwunastej skręciliśmy w moją uliczkę. Widziałam za drzewami światło u Scarlett, gdzie miałam być.

– Muszę lecieć – powiedziałam, otwierając drzwi. – Dzięki.

– Jutro zadzwonię! – zawołał przez okno auta. Widziałam, że uśmiecha się w mroku.

– Dobrze – odpowiedziałam z uśmiechem, gdy tymczasem upływały cenne sekundy.

Pomachałam mu ostatni raz, przecięłam lasek i wyszłam przy basenie. Usłyszałam, że Macon zatrąbił na odjezdnym.

Weszłam do domu Scarlett po tylnych schodkach i wślizgnęłam się do kuchni, gdzie siedziała przy stole ze swoją biblią wspartą o cukiernicę i jadła deser lodowy z polewą.

– Spóźniłaś się – rzuciła, gdy przechodziłam, zmierzając prosto do drzwi. Miała na brodzie smużkę czekolady.

– Wiem. – Mijając ją, starłam z jej brody czekoladę. – Do zobaczenia jutro.

– W porządku. – Wróciła do książki, a ja otworzyłam frontowe drzwi, przeszłam chodnikiem i przebiegłam na drugą stronę ulicy.

Matka czekała na mnie w środku, przy schodach. Kiedy zamknęłam za sobą drzwi, usłyszałam silnik wozu Macona, który znowu kusił los. Wybrał sobie złą porę.

– Spóźniłaś się – zauważyła spokojnie. – Jest po dwunastej.

– Wiem – odparłam, odwołując się do swojej wymówki – ale oglądałyśmy ze Scarlett film i straciłyśmy poczucie czasu.

– Nie byłaś u Scarlett – stwierdziła. – Widziałam, że przez cały wieczór siedziała sama w salonie. Nie kłam, Halley.

Macon na zewnątrz wciąż siedział w samochodzie. Nie wiedział, że tylko pogarsza sprawę.

– Gdzie byłaś? – zapytała matka. – Dokąd z nim pojechałaś?

– Mamo, tylko się spotkaliśmy, nic więcej.

– Dokąd pojechałaś? – mówiła coraz głośniej.

U szczytu schodów pojawił się ojciec, który tylko patrzył.

– Nigdzie – odpowiedziałam. Pomruk silnika stawał się coraz głośniejszy. Zacisnęłam dłonie w pięści. – Byliśmy u niego, siedzieliśmy w jego pokoju.

– Gdzie on mieszka?

– Mamo, to nie ma znaczenia.

Miała tę swoją zaciętą minę niewróżącą nic dobrego.

– Dla mnie ma znaczenie. Nie wiem, co ostatnio w ciebie wstąpiło, Halley. Wymykasz się z domu, a potem wślizgujesz ukradkiem przez drzwi. Kłamiesz mi w twarz. A wszystko z powodu tego Macona, jakiegoś chłopaka, którego nie chcesz nam przedstawić i o którym nic nie wiemy.

Warkot samochodu wciąż się nasilał. Zamknęłam oczy.

Żeby go zagłuszyć, matka mówiła coraz głośniej. Jej głos odbijał się od ścian.

– Jak możesz nas tak okłamywać, Halley? Jak możesz być taka nieszczerą? – Zaskoczyła mnie, bo nie była zła ani wściekła, tylko zwyczajnie smutna. Nie znosiłam tego.

– Nie rozumiesz – powiedziałam. – Nie chcę... – Silnik pracował na coraz wyższych obrotach, coraz głośniej, o rany, Macon mnie wrabiał, nic nie rozumiał; wreszcie rozległ się pisk opon i samochód gwałtownie ruszył ulicą, zatrzymując się przed zakrętem, żeby zatrąbić.

Wiedziałam to wszystko, nawet nie patrząc, tak jak wiedziałam, że pan Harper zapalił światło i wyszedł na ganek w szlafroku i w kapciach, wyrzekając na spaliny, które wciąż unosiły się w powietrzu.

– Słyszałaś? – zapytała matka. Odwróciła się, żeby spojrzeć na ojca, który

tylko kiwał głową. – Jeżdżąc tak, może kogoś zabić. Zabić! – Głos jej drżał, brzmiał w nim strach, prawie jak u babci Halley.

– Mamo – zaczęłam. – Pozwól mi...

– Idź do łóżka, Halley – odezwał się cicho ojciec, schodząc po schodach. Wziął matkę pod ramię i zaprowadził do kuchni, włączając po drodze światło. – Już!

Z bijącym sercem poszłam więc do swojego pokoju. Przechodząc obok lustra w holu, spojrzałam na siebie, dziewczynę z włosami opadającymi na ramiona, w wytartej dżinsowej kurtce, o ustach czerwonych od całowania. Stałam naprzeciwko niej i starałam się ją zapamiętać: dziewczynę, która narodziła się tamtego wieczoru nad Topper Lake, kochała Macona Faulknera i bez zmrużenia oka złamała serce swojej matce. Dziewczynę, którą się stałam.

Rozdział 10

– Spójrz. – Scarlett podała mi czasopismo, które trzymała. – W czwartym miesiącu dziecko uczy się ssać i przełykać. I formują mu się zęby. A palce rąk i nóg są już wyraźnie wykształcone.

– To dziwne – zauważyłam – biorąc pod uwagę to, że żywi się wyłącznie hot dogami i sokiem pomarańczowym.

Następnego dnia byliśmy na kontroli lekarskiej. Scarlett zawsze bała się stetoskopów i fartuchów lekarskich; potrzebowała wsparcia, więc uchylono mi zakaz wychodzenia z domu, który dostałam za to, że kłamałam i nie wróciłam o czasie. Stawałam się ekspertką w sprawie zakazu wychodzenia. Mogłabym pisać o tym książki i występować na seminariach.

– Już lepiej się odżywiam – odparła z godnością, zmieniając pozycję na kozetce.

Miała na sobie koszulę, z tych rozchylających się na plecach, i usiłowała się nią zakryć. Za nią na ścianie wisiała tablica z nagłówkiem *Żeński układ rozrodczy*. Staralam się na nią nie patrzeć, a zamiast tego skupić się na plastikowym indyku i figurkach pielgrzymów, przypiętych dookoła; za dwa tygodnie miało być Święto Dziękczynienia.

– Wciąż jesz za mało zieleniny – zwróciłam jej uwagę. – Sałata w big macu się nie liczy.

– Och, zamknij się. – Podniosła głowę i pogładziła się po brzuchu.

W ostatnich tygodniach stał się wreszcie widoczny, ale nieznacznie. Za to piersi wyraźnie się powiększyły. Scarlett mówiła, że to jedyna korzyść.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła pani doktor, doktor Roberts, jak informowała plakietka. Trzymała podkładkę z kartkami. Włosy miała spięte, była w jaskraworóżowych butach do biegania i granatowych džinsach.

– Dzień dobry... – Spojrzała w notatki i dodała: – Scarlett. Jak się czujesz?

– Dobrze. – Scarlett zaczęła wyłamywać ręce w nadgarstkach, co znaczyło, że się boi.

Skupiłam wzrok na czasopiśmie „Life”, który trzymałam na kolanach; na okładce widniało zdjęcie Elvisa.

– Więc to szesnasty tydzień – powiedziała doktor Roberts, czytając kartę. – Masz jakieś problemy? Coś cię niepokoi?

– Nie – odrzekła cicho Scarlett, a ja spojrzałam na nią znacząco. – Chyba nie.

– Bóle głowy? Krwotoki z nosa? Zaparcia?

– Nie – bąknęła Scarlett.

– Kłamczucha – odezwałam się głośno.

– Cicho bądź – warknęła do mnie. Do lekarzki zaś powiedziała: – Co ona tam wie.

– A kim ty jesteś? – Doktor Roberts zwróciła się ku mnie, wtykając podkładkę pod ramię. – Jej siostrą?

– Przyjaciółką – wyjaśniłam. – A ponieważ straszliwie boi się lekarzy, nic pani nie powie.

– Dobrze – odparła z uśmiechem lekarzka. – Scarlett, wiem, że to wszystko jest trochę niepokojące, zwłaszcza dla kogoś w twoim wieku. Ale musisz być ze mną szczerą, dla dobra swojego i dziecka. Muszę wiedzieć, co się dzieje.

– No właśnie – włączyłam się i Scarlett znowu spojrzała na mnie karcąco. Wróciłam więc do Elvise i zamknęłam buzię.

Scarlett mięła brzeg koszuli.

– No dobrze – odezwała się z wolna. – Często mam zgagę. I ostatnio kręci mi się w głowie.

– To normalne – odpowiedziała doktor Roberts. Pomogła Scarlett ułożyć się na plecach i wsunęła dłoń pod jej koszulę. Przesunęła palcami po brzuchu Scarlett, a potem zaczęła go osłuchiwać stetoskopem. – Zauważyłaś u siebie wzmożony apetyt?

– Tak. Cały czas jem.

– To dobrze. Musisz dostarczać organizmowi białko i witaminę C. Dam ci ulotkę, gdy będziecie wychodziły, i jeszcze o tym porozmawiamy. – Zdjęła stetoskop i znowu zajrzała do karty, stukając w nią palcem. – Ciśnienie krwi jest w porządku, mamy próbkę moczu do analizy. Chciałabyś o czymś ze mną porozmawiać? Albo o coś zapytać?

Scarlett rzuciła mi nagłące spojrzenie, ale się nie odzywałam. Odwróciłam kartkę artykułu o polityce wewnętrznej i udawałam, że nie słucham.

– Hm – powiedziała Scarlett. – Mam jedno pytanie. Czy to będzie bardzo bolało?

– Co takiego?

– Poród. Gdy już się zacznie. Czy to bolesne?

Doktor Roberts się uśmiechnęła.

– To zależy od sytuacji, ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie będzie bolało. Zależy także od tego, na jaki poród się zdecydujesz. Niektóre kobiety rezygnują ze środków farmaceutycznych; to nazywa się poród naturalny. Możesz zapisać się do szkoły rodzenia, do której chętnie wypiszę ci skierowanie. Tam nauczysz się oddychania, co pomaga podczas porodu.

– Ale mówi pani, że to boli.

– Mówię, że to zależy – odparła delikatnie doktor Roberts – ale szczerze mówiąc, tak, boli. Pomyśl jednak, ile kobiet przez to przeszło i żyje. Dzięki temu wszyscy jesteśmy na świecie. Więc nie może być tak źle. Prawda?

– Pewnie tak – odparła ponuro Scarlett i znowu położyła dłonie na brzuchu.

– Będiesz potrzebowała silnych leków – zauważyłam po wyjściu, kiedy wsiadałyśmy do samochodu, żeby pojechać do Milton's, na sobotnią zmianę, od dwunastej do osiemnastej. Ja zajęłam miejsce za kierownicą, a ona usadowiła się na fotelu dla pasażera i westchnęła. – Powinni cię uspić, żebyś straciła świadomość jak walnięta pałka.

– Ale to niezdrowe dla dziecka – odpowiedziała.

– Pałka?

– Nie, leki. Chyba powinnam pójść do tej szkoły rodzenia. Nauczyć się oddychania. –Przerzuciła ulotki i foldery, które dała nam lekarka, wszystkie z uśmiechniętymi ciężarnymi kobietami na okładkach. – Może Marion by ze mną chodziła.

– Na pewno się zgodzi – odparłam. – Powinna być przy tobie, kiedy to się zaczniesz. Tak byłoby najlepiej.

– Sama nie wiem. Wciąż mówi o adopcji, jakby to było coś oczywistego. Już skontaktowała się z agencją i tak dalej.

– Dojrzej.

– Ona chyba mówi to samo o mnie. – Wjechałyśmy na parking przed Milton's, już zapełniony przez robiących sobotnie zakupy. – Prędzej czy później jedna z nas będzie musiała ustąpić.

Po południu, po tysiącach wrzeszczących bacherów i galonów mleka, setkach bananów i dwulitrowych butli coca-coli, spojrzałam na swoją kolejkę i zobaczyłam w niej matkę. Czytała „Good Housekeeping” i trzymała pod pachą butelkę wina. Na mój widok się uśmiechnęła i zaczęła do mnie machać. Wciąż się ekscytowała, widząc córkę w pracy.

– Cześć! – powiedziała wesoło, kiedy doszła do kasy i postawiła butelkę na taśmie.

– Cześć. – Zeskanowałam kod kreskowy i podsumowałam zakupy.

– O której dziś kończysz?

– O szóstej. – Słyszałam, że Scarlett za mną kłóci się z jakimś facetem o cenę winogron. – Siedem osiemdziesiąt dziewięć.

– Chodźmy razem na kolację – zaproponowała, podając mi dziesiątkę. – Ja stawiam.

– No, nie wiem – mruknęłam. – Jestem naprawdę zmęczona.

– Chciałabym z tobą porozmawiać – powiedziała.

Kolejka do mojej kasy wciąż była długa, ludzie niecierpliwie przestępowali z nogi na nogę. Tak jak ja nie mieli czasu na numery mojej matki.

– Przyjadę po ciebie – rzuciła.

– Ale, mam... – zaczęłam, gdy wzięła wino z taśmy oraz drobne z mojej ręki i ruszyła do wyjścia. – Ja nie...

– Do zobaczenia o szóstej! – zawołała radośnie i zostawiła mnie twarzą z twarzą z grubym facetem, który kupował dwa pudełka jedzenia do odgrzania i butelkę brandy.

Ostatnio, żeby się do mnie przebić, musiała działać szybko i zdecydowanie, a potem się przyzwać. Przez resztę popołudnia myślałam o tym, co tam knuje, co chowa w zanadrzu.

Przyjechała o szóstej i czekała w strefie załadunku, z włączonym silnikiem. Kiedy wsiadłam do samochodu, spojrzała na mnie z uśmiechem, naprawdę uszczęśliwiona, i poczułam wyrzuty sumienia z powodu tego wszystkiego, o co ją podejrzewałam przez całe popołudnie.

Pojechaliśmy do włoskiej knajpki niedaleko domu, z obrusami w kratę i bufetem z pizzą. Po zjedzeniu kawałka pepperoni i zdawkowej rozmowie o szkole i pracy, pochyliła się nad stolikiem i rzuciła:

– Chcę z tobą porozmawiać o Maconie.

Powiedziała to jak, jakby go znała, jakby byli kumplami.

– O Maconie?

– No właśnie. – Upiła łyk napoju. – Szczerze mówiąc, Halley, nie podoba mi się, że się z nim spotykasz.

Cóż, pomyślałam, to nie twoja sprawa. Ale milczałam. Wiedziałam już, że to nie będzie żadna dyskusja ani dialog, gdzie byłoby miejsce na moje zdanie. Dobrze znałam matkę. Znałam jej miny, ton głosu, rozumiałam ukryte, złożone znaczenie każdego z jej westchnień.

– Odkąd się z nim zadajesz – zaczęła i widziałam, że się do tego przygotowała, obmyśliła każde słowo, pewnie nawet naszkicowała plan wywodu na kartce z notatkami do swojej książki – zostałaś przyłapana na wagarach, nie wracasz do domu na czas i stałaś się trudna, nieposłuszna. Prawdę mówiąc, prawie cię nie poznaję.

Wciąż milczałam i tylko skubałam pizzę. Straciłam apetyt. Ona tymczasem ciągnęła, rozkręciła się.

– Zmieniłaś się – mówiła głośno. Skuliłam się na krześle. To nie było miejsce na takie rozmowy, dlatego je wybrała. – Gdy wracasz do domu, zalatuje od ciebie papierosami, jesteś roztargniona i niespokojna. Już w ogóle nie rozmawiasz z nami o szkole. Zamykasz się w sobie.

Zamykasz się w sobie. Jeśli nie mogła mnie kontrolować, to byłam zamknięta w sobie.

– To znaki ostrzegawcze – kontynuowała. – Radzę rodzicom, żeby wypatrywali ich codziennie.

– Nic takiego nie robię – odparłam. – Spóźniłam się tylko dwadzieścia minut, mamó.

– To nie jest w tej chwili ważne i dobrze o tym wiesz. – Umilkła, gdy kelner

przyniósł nam chleb, a potem podjęła przyciszonym głosem: – Towarzystwo tego chłopaka ci nie służy.

Jakby był jedzeniem. Nie zieloną papryką ani pomarańczą, tylko wielkim snickersem.

– Nawet go nie znasz – zauważyłam.

– To dlatego, że nie chcesz o nim rozmawiać! – Zmięła serwetkę i rzuciła ją na talerz. – Dawałam ci mnóstwo okazji, abys mi udowodniła, że się mylę. Próbowałam dialogu...

– Nie chcę dialogu – burknęłam. – Już wyrobiłaś sobie zdanie. Nienawidzisz Macona. Zresztą tu wcale nie chodzi o niego.

– Wiem o nim tyle – zaczęła, pochylając się ku mnie. – Jeździ jak szaleniec. Nie pochodzi z Lakeview. A ty jesteś gotowa zrobić dla niego wszystko, włącznie z okłamywaniem mnie i ojca. Nie wiem natomiast, co z nim robisz, jak daleko zaszły sprawy... jeśli w grę wchodzi narkotyki albo Bóg wie co jeszcze.

– Narkotyki – powtórzyłam i się roześmiałam. – O rany, ty wszędzie wężysz narkotyki.

Ona się jednak nie śmiała.

– Ojciec i ja wszystko omówiliśmy – powiedziała, znowu ścisząc głos. – I postanowiliśmy, że nie będziesz się z nim więcej widywać.

– Co? – zapytałam. – Nie możecie mi tego zrobić. – Poczułam ściskanie w żołądku. – Nie możecie tak po prostu mi tego zakazać.

– Cóż, Halley, tak się ostatnio zachowujesz, że nie mamy wyboru. – Opadła na oparcie krzesła i założyła ręce przed sobą.

Rozmowa nie potoczyła się zgodnie z jej planem. To nie był jej gabinet, a ja nie byłam pacjentką, której mogłaby powiedzieć, co ma rodić. Nie wiedziałam jednak, czego się spodziewała. Myślała, że wyświadcza mi przysługę?

– Halley, chyba nie rozumiesz, jak łatwo popełnić błąd, za który się płaci do końca życia. Wystarczy tylko dokonać złego wyboru i...

– Znowu mówisz o Scarlett – zwróciłam jej uwagę, kręcąc głową. Byłam już tym zmęczona, tą ciągłą walką, stawianiem się, obmyślaniem następnego ruchu.

– Nie – odparła – mówię o niewłaściwym towarzystwie, uleganiu wpływom, robieniu czegoś, na co jeszcze nie jest się gotowym. Czego się nie chce. Nie wiesz, w co wplątany jest Macon.

Nie mogłam słuchać, jak wypowiada jego imię.

– Narażasz się na niebezpieczeństwo – ciągnęła. – Nie masz doświadczenia. A w dodatku jesteś taka jak ja, Halley. Nie znasz ludzi i ich idealizujesz.

Siedziałam tam i patrzyłam na matkę, na jej twarz, gdy mówiła mi, co czuję, co myślę i tak dalej. Jakbym był łamigłówką, którą sama stworzyła, i znała wszystkie rozwiązania. Skoro nie potrafiła utrzymać mnie przy sobie, chciała, żebym była w miejscu, gdzie zawsze mogła mnie znaleźć.

– To nieprawda – odparłam wolno i wiedziałam, że zaraz powiem coś okropnego, coś ostatecznego, choć już wstawałam, odsuwając krzesło. – Nie ulegałam wpływowi, nie jestem niedoświadczona i nie jestem taka jak ty.

To przeważyło szalę. Matka zbladła wstrząśnięta, jakbym dała jej w twarz.

Chciałaś dystansu, pomyślałam. To masz.

Wyprostowała się na krześle i nie podnosząc głosu, poleciła mi:

– Usiądź, Halley.

Stałam przy stoliku i myślałam o tym, żeby wybiec przez drzwi i zagubić się w tajemniczej sieci Macona, tworzonej przez pizzerie i arkady, boczne uliczki i alejki, pojechać do jego pokoju w penthousie i zostać tam, na zawsze.

– Usiądź – powtórzyła z naciskiem. Patrzyła nad moją głowę w stronę parkingu. Mrugała gwałtownie i czułam, że raz po raz oddycha głęboko.

Usiadłam i przyciągnęłam sobie krzesło, podczas gdy ona przytknęła serwetkę do ust i przywołała gestem kelnera. Dostałyśmy rachunek, zapłaciłyśmy i poszłyśmy do samochodu, nie zamieniając ani słowa. Przez całą drogę do domu patrzyłam przez okno, na znikające w tyle budynki, i myślałam o Wielkim Kanionie, przepastnym i nie do przebycia, jak ostatnio tyle barier.

Skręcając w nasz podjazd, minęliśmy Steve'a, który pod domem Scarlett wysiadał ze swojego hyundaia. Jak zwykle niósł kwiaty i był ubrany w kolejną tweedową marynarkę z łatami na rękawach. Tym razem jednak nie potrzebowałam Scarlett, żeby zwrócić uwagę na kolejny przejaw osobowości Włada – buty. Nie były to zwyczajne buty, ale potężne skórzane wysokie buciory z grubymi obcasami i sprzączkami, które musiały pobrzękiwać przy każdym kroku, choć tego nie słyszałam, bo miałam zamknięte okno. Buty wojownika, które wystawały spod spodni, jakby właśnie przeszły po głowach zabitych wrogów. Pomachał do nas, kiedy przejeżdżaliśmy, i matka, wciąż poirytowana, pozdrowiła go nieszczercze po sąsiedzku.

Nie odezwawszy się do siebie, weszłyśmy do kuchni, gdzie ojciec, stojąc do nas tyłem, rozmawiał przez telefon. Kiedy się odwrócił, od razu wiedziałam, że stało się coś złego.

– Proszę poczekać – powiedział do słuchawki, a potem zasłonił ją dłonią. – Julie. Chodzi o twoją matkę.

Odłożyła torebkę.

– Co? Co się dzieje?

– Upadła, w domu... nie jest z nią dobrze, kochanie. Znaleźli ją sąsiedzi. Jakiś czas leżała sama na podłodze.

– Upadła? – Głos matki był wysoki, drżał.

– Dzwoni doktor Robbins. – Podał jej słuchawkę i dodał: – Zarezerwuję ci bilet na samolot z drugiego telefonu.

Podeszła do aparatu i zaczerpnęła głęboko powietrza, a ojciec uściśnił ją za

ramiona i ruszył korytarzem do jej gabinetu. Stałam w progu i wstrzymałam oddech.

– Halo, tu Julie Cooke... – powiedziała do słuchawki. – Tak. Tak, mąż mi powiedział... Rozumiem. Wie pan, kiedy to się zdarzyło? Dobrze. Dobrze, oczywiście.

Cały czas, przy każdym słowie, patrzyła na mnie. Nie, nie była tego świadoma, w ogóle mnie nie widziała. Jedynie wbiła we mnie wzrok, jakby trzymała się tylko dzięki mnie.

– Mąż dzwoni już w sprawie lotu, więc będę na miejscu najszybciej, jak się da. Czy ona cierpi? No tak, naturalnie. Więc operacja odbędzie się jutro o szóstej. W porządku. Bardzo dziękuję. Do widzenia. – Odłożyła słuchawkę, odwróciła się ode mnie i stała tak z jedną ręką na aparacie.

Widziałam, jak jest napięta, sterczały jej łopatki.

– Twoja babcia zrobiła sobie krzywdę – powiedziała cicho, wciąż odwrócona. – Przewróciła się. Złamała sobie kilka żeber. A jutro rano będzie miała operację biodra. Zanim ją znaleziono, długi czas leżała sama. – Przy ostatnich słowach załamał jej się głos.

– Wyjdzie z tego? – zapytałam. Słyszałam, jak ojciec w głębi korytarza pyta o godziny odlotów i przylotów, klasę turystyczną i biznesową, możliwość kupna biletu bez rezerwacji. – Mamo?

Ramiona matki opadły, a potem się uniosły, gdy brała głęboki oddech, zanim się odwróciła. Twarz miała już spokojną, opanowaną.

– Nie wiem, kochanie. Zobaczymy.

– Mamo... – zaczęłam, bo chciałam naprawić to, co zepsułam, nie chcąc rozmawiać z nią o Maconie. Nie chcąc się przed nią otworzyć.

– Julie! – dobiegł do nas głos ojca, za głośny jak na małe pomieszczenia – za godzinę masz lot, ale będziesz miała dłuższy postój w Baltimore. Nic lepszego nie da się załatwić.

– W porządku – odparła spokojnie. – Zarezerwuj mi lot, a ja się spakuję.

– Mamo – odezwałam się. – Ja tylko...

– Kochanie, nie mam czasu – powiedziała szybko, przechodząc obok, i z roztargnieniem poklepała mnie po ramieniu. – Muszę spakować rzeczy.

Usiadłam na łóżku w swoim pokoju, z zadaniami matematycznymi do rozwiązania, przy otwartych drzwiach. Słyszałam, jak matka otwiera i zamyka szafę, a ojciec przemawia do niej uspokajającym głosem. Ale najgorsze były chwile ciszy, wtedy wyciągałam szyję, licząc, że pochwyć choć jedno słowo czy dźwięk. Wszystko byłoby lepsze niż wyobrażanie sobie, co się dzieje, gdy nic nie słysząc, bo na pewno wtedy płakała.

Matka przyszła i uściskała mnie, mierzwiąc mi włosy jak wtedy, gdy byłam mała. Powiedziała, żebym się nie martwiła, że zadzwoni, że wszystko będzie

dobrze. Zapomniała o tym, co stało się w restauracji. Tak po prostu, po jednym telefonie, znowu byłam jej córeczką.

Rozdział 11

Po wyjeździe matki czułam się, jakbym została warunkowo zwolniona z więzienia. Poranna audycja ojca wciąż miała wysoką słuchalność, co oznaczało, że prawie każdego popołudnia i wieczorami brał udział w jakichś imprezach promocyjnych. Ostatnio przegrał zakład w eterze z policjantem kierującym ruchem, co oznaczało, że musiał odwalić żenujący striptease w miejscowym klubie nocnym (na szczęście niecałkowity), chodził na setki koktajli z udziałem zwycięzców różnych konkursów i na charytatywnej imprezie w Hiltonie stoczył walkę zapaśniczą z facetem o pseudonimie Dominator. Był po niej posiniaczony i poharatany, i przez cały tydzień chodził z unieruchomionym nosem, z czego był bardzo dumny. Relacjonował w radiu swoje problemy z odprowadzaniem wody na podwórku i opowiadał miliony niesmacznych dowcipów, a ja w drodze do szkoły kuliłam się na fotelu w samochodzie.

Nieustannie dzwonił telefon, przeważnie był to zdenerwowany facet imieniem Lottie, który organizował ojcu każdą wolną chwilę, planując kolejny występ w galerii handlowej, spotkanie czy inną durną akcję pod publiczność. Ojciec, który zdaniem matki był za stary i zbyt dobrze wykształcony na takie bzdury, prawie się ze mną nie widywał, a już na pewno nie wiedział, co robię. W najlepszym razie mijaliśmy się późnym wieczorem, kiedy przechodziłam obok jego pokoju w drodze do łazienki, żeby umyć zęby. Zawarliśmy milczący układ: ja miałam się dobrze sprawować, wracać o umówionej porze, a on miał nie zadawać pytań. To były w końcu tylko cztery dni.

Oczywiście stale spotykałam się z Maconem. Teraz przyjeżdżał i odwoził mnie do szkoły, a popołudniami odstawiał do pracy albo do domu. Scarlett, która zwykle mnie woziła, była tak samo zajęta jak mój ojciec. Pracowała na dodatkowych zmianach w Milton's, żeby kupić ubranka dla dziecka i inne potrzebne rzeczy; poza tym dużo czasu spędzała z Cameronem, który ją rozśmieszał i masował jej stopy. W końcu nasza szkolna pedagog, pani Bagbie, przekonała ją, żeby dołączyła do nowo powstałej Grupy Wsparcia dla Nastoletnich Matek, która zbierała się w szkole dwa razy w tygodniu. Scarlett początkowo nie chciała, ale potem stwierdziła, że wśród dziewczyn w podobnej sytuacji – niektórych w ciąży, innych już z małymi dziećmi – nie czuje się tak wyobcowana. A jak wiedziałam, wszędzie potrafiła nawiązywać przyjaźnie.

Macon i ja dobrze się bawiliśmy. W poniedziałek w ogóle nie poszliśmy do szkoły, przez cały dzień jeździliśmy po okolicy, zjedliśmy w McDonalddie i siedzieliśmy nad rzeką. Kiedy wieczorem zadzwonili ze szkoły, ojca nie było w domu, więc wytłumaczyłam, że matka wyjechała, a ja się rozchorowałam. Macon nauczył się już podrabiać jej podpis i składał go na każdym

usprawiedliwieniu, jakiego potrzebowałam.

Matka dzwoniła co wieczór i zadawała mi rutynowe pytania o szkołę i pracę, i czy ojciec pamięta o tym, żeby mnie karmić. Mówiła, że za mną tęskni, że z babcią Halley wszystko będzie dobrze. Powiedziała, że przykro jej z powodu naszej kłótni, że zdaje sobie sprawę, jak trudno mi było zerwać z Maconem, ale pewnego dnia zrozumie, że tak należało zrobić. Ja po drugiej stronie, ze słuchawką w dłoni, tylko przytakiwałam i patrzyłam, jak Macon wycofuje samochód z podjazdu, oświetlając mnie reflektorami. Potem zatrąbił i odjechał. Wmawiałam sobie, że nie powinnam czuć się winna, bo matka gra nie fair, zmieniając zasady, jak jej się podoba. Czasami to pomagało, a czasami nie.

Wieczorem przed dniem, w którym mieliśmy z ojcem wyjechać do Buffalo na Święto Dziękczynienia, Macon przywiózł mnie z pracy do domu. Kiedy przyjechaliśmy, w środku było ciemno.

– Gdzie twój tata? – spytał, wyłączwszy silnik.

– Nie wiem. – Wzięłam swój plecak z tylnego siedzenia i otworzyłam drzwi samochodu. – Pewnie zajmuje się czymś w związku z audycją.

Kiedy pochyliłam się, żeby pocałować go na pożegnanie, cofnął się i spojrzał na ciemny dom. Na ganku u Scarlett po drugiej stronie ulicy paliło się światło i widziałam, że Marion siedzi w salonie przed telewizorem, bez butów, z nogami na stoliku do kawy. W kuchni Scarlett mieszała coś w garnku na kuchence.

– Chyba zobaczymy się po moim powrocie – powiedziałam do Macona i objęłam go za szyję.

– Nie zaprosisz mnie do środka?

– Do środka? – Cofnęłam się. Nigdy wcześniej nic takiego nie sugerował. – A chciałbyś wejść?

– Jasne. – Otworzył drzwi i chwilę później szliśmy już podjazdem obok maminych chryzantem w stronę schodków.

Na ganku leżała gazeta i kilka liści, które szeleściły przywiane wiatrem. Zanosiło się na deszcz. Wyłowiłam z plecaka klucze, otworzyłam drzwi i pchnęłam je, gdy rozległ się huk. Nawet nie podnosząc głowy, czułam, że nadlatuje samolot. Szyby w oknach po obu stronach drzwi zaczęły drżeć.

– O rany – odezwał się Macon. – Ale głośno.

– O tej godzinie jest kiepsko – wyjaśniłam. – Dużo wieczornych lotów. – W domu panowały kompletne ciemności, więc po omacku znalazłam kontakt.

Gdy na suficie zapaliło się światło, usłyszeliśmy pyknięcie, nastąpił błysk i znowu znaleźliśmy się w mroku.

– Poczekaj – powiedziałam. Rzuciłam plecak, podczas gdy Macon wszedł do domu, wpuszczając kilka liści. – Zapalę inne światło.

Wtedy objął mnie od tyłu w pasie, tak że poczułam na brzuchu jego chłodną rękę, i zaczął całować w ciemnym holu. Wyglądało na to, że nie ma żadnych

problemów z poruszaniem się po mrocznym pustym domu: zaprowadził mnie do salonu i na kanapę, a potem pchnął na haftowane poduszki matki. Całując się z nim, pozwoliłam mu wsunąć dłoń pod koszulkę i poczułam ciepło jego nóg, napierających na moje. W oddali przeleciał kolejny samolot.

– Macon – odezwałam się po chwili, łapiąc powietrze – ojciec może wrócić w każdej chwili.

On jednak wciąż mnie całował, nie zabierając ręki. Widocznie nie denerwował się tak jak ja.

– Macon. – Odepchnęłam go lekko. – Mówię poważnie.

– Dobrze, już dobrze. – Usiadł i opadł na poduszki. Matka była ich wielbicielek. – Nie masz w sobie żyłki ryzykantki?

– Nie znasz mojego ojca – odpowiedziałam, jakby tata był jakimś wielkim ogrem goniącym po podwórku chłopaków ze strzelbą.

Już wystarczająco ryzykowałam, zapraszając Macona do środka. Gdyby ojciec zastał nas samych w ciemnościach, stanowczo nie byłoby dobrze.

Wstałam i poszłam do kuchni, włączając po drodze światła. Jednak znajome otoczenie wyglądało jakoś inaczej, gdy Macon powlókł się za mną. Ciekawa byłam, o czym myśli.

– Napijesz się czegoś? – zapytałam, otwierając lodówkę.

– Nie. – Odsunął krzesło przy stole i usiadł.

Zajrzałam do lodówki, szukając coli, kiedy nagle usłyszałam głos ojca, jakby stanął tuż za mną. Daje słowo, prawie zaparło mi dech w piersiach.

– Jesteśmy w nowej pralni Simpson Dry Cleaners w centrum handlowym Lakeview. Mówi Brian. Powiem wam, że widziałem już w życiu wiele pralni, ale ta jest inna. Herb i Mary Simpson znają się na swoim fachu i...

Poczułam na twarzy falę gorąca. Krew uderzyła mi do głowy, choć wiedziałam, że to radio. Odwróciłam się i zobaczyłam uśmiechniętego Macona z ręką na gałce odbiornika.

– To nie jest śmieszne – rzuciłam.

Przysunęłam sobie krzesło i usiadłam przy Maconie, który przyciszył dźwięk, tak że słyszałam ojca mamroczącego coś o ekspresowych usługach i krochmaleniu.

Macon powiedział, że chciałby obejrzeć mój pokój i choć wiedziałam dlaczego, zaprowadziłam go tam, w ciemnościach idąc z nim za rękę po schodach. Podszedł do łóżka i nachylił się do lustra, żeby obejrzeć trofea, które zdobyłam przed laty w gimnastyce, oraz zdjęcia z automatu fotograficznego, przedstawiające Scarlett i mnie, jak robimy miny i śmiejemy się do aparatu. Potem rzucił się na łóżko, jakby było jego. A kiedy się pochylił, żeby mnie pocałować, spojrzałam szeroko otwartymi oczami nad jego głową na ostatnią półkę regału, gdzie siedziała ręcznie robiona lalka, którą dostałam na dziesiąte urodziny od babci Halley.

Przedstawiała Scarlett O'Hara w zielono-białej sukni i kapeluszu. Mimo że zamknęłam oczy, widok tej lalki sprawił, że znowu poczułam wyrzuty sumienia i ujrzałam przed oczami twarz matki, mówiącej, że źle postępuję.

Na dworze przelatywały samoloty, od których drżały szyby. Macon wsuwał rękę za pasek moich spodni głębiej niż kiedykolwiek wcześniej, a ja go odpychałam. Włączyliśmy cicho radio z budzikiem stojące na szafce nocnej, żeby wiedzieć, co robi mój ojciec, ale po jakimś czasie samo się wyłączyło i w ciszy byliśmy tylko my, ja i Macon z ustami przy moim uchu, przemawiający do mnie żarliwie. Mówił cicho, gładząc mnie po karku. Było cudownie, czułam, że się zapominam, zatracam w tym i gubię, aż nagle...

– Nie – powiedziałam. Chwyciłam go za rękę, kiedy próbował rozpiąć mi dżinsy. – To nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego? – Miał stłumiony głos.

– Wiesz dlaczego – odparłam.

– Nie, nie wiem.

– Macon.

– O co chodzi? – zapytał.

Przewrócił się na plecy i położył głowę na poduszce. Miał rozpiętą koszulkę, jedną rękę wciąż trzymał na moim brzuchu.

– Chodzi o to, że to mój dom i moje łóżko, i ojciec może wrócić w każdej chwili. Nakryłby nas.

Nachylił się ku radiu i ponownie je włączył. W pokoju rozległ się głos ojca:

– Więc przyjeździe tu, do pralni Simpson Dry Cleaners, mamy dobre ceny i świetne usługi, no i ciasto. Jak moglibyście odmówić? Mówi Brian, będę tu do dziewiątej.

Macon leżał i patrzył na mnie, udowadniając mi, że niepotrzebnie się boję.

– To po prostu nie jest dobry pomysł – powtórzyłam i wyciągnęłam rękę, żeby włączyć światło.

Z ciemności wyłonił się mój pokój, znajome parametry mojego życia: łóżko, dywan, wypchane zabawki na trzeciej półce regału. Zielona świnka pośrodku, którą przed dwoma laty kupił mi na walentynki Noah Vaughn. On nigdy nie zsuwał ręki poniżej mojej szyi, nie wynajdywał sposobów, żeby dostać się do miejsc, których starałam się strzec. Noah Vaughnowi wystarczyło, że trzymał mnie za rękę.

– Halley – odezwał się Macon cicho. – Jestem cierpliwy i czekam, ale to już prawie trzy miesiące.

– To nie tak długo – odparłam, skubiąc kołdrę w miejscu, gdzie była wytarta.

– Dla mnie długo. – Przysunął się bliżej i położył głowę na moich kolanach. Nagle odniosłam wrażenie, że już to robił. – Pomysł o tym, dobrze? Będziemy uważać, obiecuję.

– Myślę – odpowiedziałam, przeczesując palcami jego włosy.

Zamknął oczy. I naprawdę myślałam, cały czas. Ale za każdym razem, gdy mnie kusiło, gdy chciałam się poddać i złożyć broń, przypominałam sobie Scarlett. Jej także się wydawało, że uważa.

Niedługo później Macon wyszedł. Nie chciał zostać i pooglądać telewizję ani poprzytulać się i pogadać. Coś się zmieniało, czułam to, choć nigdy czegoś takiego nie przeżywałam, tak jak małe żółwie wiedzą, że po przyjściu na świat mają iść w stronę wody. Po prostu wiedzą i już. I miałam świadomość, że stracę Macona, jeśli wkrótce się z nim nie prześpię. Pocałował mnie na dobranoc i wyszedł, a ja stałam w otwartych drzwiach i patrzyłam, jak odjeżdża, trąbiąc na zakręcie.

Gdy straciłam go z oczu, pomyślałam o zarysie sylwetki, która zaczęła wypełniać się kolorem. O dziewczynie, którą byłam kiedyś i którą się stałam. Powiedziałam sobie, że ostatnio zaszło wiele dużych zmian i jeszcze jedna nie zrobi różnicy. Ale za każdym razem przypominałam sobie o Scarlett, zawsze o niej i o nowym kolorze, tym szczególnym odcieniu, którego jeszcze nie byłam gotowa przybrać.

Kiedy poszłam do Scarlett, żeby się z nią pożegnać, na stole kuchennym i na blatach stało jedzenie, a ona kucała na podłodze z wiadrem i gąbką, skrobiąc wewnątrz lodówki.

– Czujesz ten zapach? – spytała, zanim zdążyłam otworzyć usta. Nawet się nie odwróciła. Z powodu ciąży miała wyostrzone wszystkie zmysły i przysięgam, że czasami niemal miała zdolność jasnowidzenia.

– Jaki zapach?

– Nie czujesz? – Odwróciła się wreszcie, machając gąbką. Przymknęła oczy i wciągnęła w nozdrza powietrze. – To. Tę zgniliznę.

Zaczęłam węszyć, ale jedyne co czułam, to zapach chloru dochodzący z wiadra.

– Nie.

– O rany. – Wstała, wspierając się na lodówce. Z powodu rosnącego brzucha coraz trudniej było jej się poruszać. – Cameron też nie czuł... mówił, że mi odbiło. Ale naprawdę ten zapach jest taki silny, że zbiera mi się na mdłości. Cały czas muszę wstrzymywać oddech.

Spojrzałam na ciężową biblię; leżała na stole, otwarta na rozdziale *Piąty miesiąc*, który, nomen omen, zbliżał się szybko. Przerzuciłam kilka kartek, a Scarlett pochyliła się nad pojemnikiem na warzywa i, marszcząc nos, zaczęła skrobać go jak szalona.

– Strona siedemdziesiąta czwarta, ostatni akapit – powiedziałam głośno, sunąc palcem po tekście: – „Zmysł powonienia może podczas ciąży stać się silniejszy, powodując awersję do niektórych produktów żywnościowych”.

– Nie wierzę, że tego nie czujesz – mruknęła, jakby zupełnie mnie nie słyszała.

– Co zamierzasz? Wyszorować cały dom? – zapytałam, kiedy wyjęła pojemnik na masło i wsadziła go do wiadra.

– Jeśli będę musiała...

– Zwariowałam.

– Nie. Jestem w ciąży i mam prawo do dziwactw, tak powiedziała lekarka.

Więc się zamknij.

Przysunęłam sobie krzesło i usiadłam na nim, opierając łokieć na stole. Zawsze gdy byłam w kuchni u Scarlett, myślałam o tych wszystkich latach, które tu spędziłyśmy, przy włączonym radiu. W długie letnie dni piekłyśmy ciasteczka z czekoladą i tańczyłyśmy bosy po wyłożonej linoleum podłodze przy głośnej muzyce.

Dalej przerzucałam *Piąty miesiąc*.

– Posłuchaj tego – odezwałam się. – W grudniu nadal będziemy mieć zaparcia, skurcze w nogach i opuchnięte kostki.

– Super. – Przysiadła na piętach i wrzuciła gąbkę do wiadra. – Co jeszcze?

– Eee... a do tego być może żylaki i albo łatwiejsze lub trudniejsze do osiągnięcia orgazmy.

Odwróciła się do mnie, odgarniając włosy z twarzy.

– Halley, proszę.

– Tylko czytam.

– Powinnaś wiedzieć najlepiej ze wszystkich ludzi, że w tej chwili orgazmy to moje najmniejsze zmartwienie. Bardziej mnie interesuje znalezienie źródła smrodu w kuchni.

Żadnego smrodu nie czułam, ale wiedziałam, że lepiej się z nią nie kłócić. Scarlett dobrze sobie radziła i byłam z niej dumna; lepiej się odzywała, codziennie spacerowała po okolicy przez pół godziny, bo słyszała, że to służy dziecku, i czytała o wychowywaniu dzieci wszystko, co wpadało jej w ręce. To znaczy, wszystko z wyjątkiem artykułów o adopcji i broszur, które Marion zostawiała na stole albo na jej łóżku, zawsze z kartką od kogoś, kto był zainteresowany omówieniem różnych możliwości. Scarlett grała na czas, bo zamierzała zatrzymać dziecko. Jak zawsze dokonała wyboru i trzymała się tego, na nic nie zważając.

– Scarlett? – odezwałam się.

– Uhm? – doszedł do mnie jej stłumiony głos; głowę miała wetkniętą pod półkę na mięso i sery, którą lustrowała.

– Co sprawiło, że zdecydowałaś się pójść z nim do łóżka?

Wyjęła głowę powoli i zwróciła ku mnie spojrzenie.

– A dlaczego pytasz?

– Sama nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Tak się właśnie zastanawiałam.

– Przespałaś się z Maconem?

– Nie – odparłam. – Jasne, że nie.

– Ale on do tego dąży?

– Nie, wcale nie. – Obróciłam tacę na stole. – Tylko wspomniał o tym i tyle.

Podeszła do stołu i usiadła przy mnie, odgarniając obiema rękami włosy.

Zalatywało od niej chlorem.

– Co mu odpowiedziałas?

– Że się nad tym zastanowię.

Opadła na oparcie krzesła.

– A ty byś tego chciała?

– Nie wiem. Ale on chce i to nie jest dla niego wielka rzecz. Nie rozumie, dlaczego dla mnie jest.

– Bzdury – odrzekła po prostu. – Rozumie doskonale.

– To nie tak – zaprotestowałam. – Ja naprawdę go lubię. I myślę, że dla takich jak on... to rzeczywiście nic wielkiego. Takie rzeczy się robi i już.

– Halley. – Pokręciła głową. – Tu nie chodzi o niego. Chodzi o ciebie. Nie powinnaś robić nic, na co nie jesteś gotowa.

– Ale ja jestem gotowa – oznajmiłam.

– Na pewno?

– A ty byłaś gotowa? – spytałam.

Zamilkła. Położyła dłonie na brzuchu, który wyglądał, jakby połknęła małego melona albo dynię.

– Nie wiem. Pewnie nie. Byłam w nim zakochana i pewnego dnia posunęliśmy się dalej niż do tamtej pory. Później zrozumiałam, że to był błąd, pod wieloma względami.

– Bo zaszłaś w ciążę... – podpowiedziałam.

– Uhm. Z innych powodów też. Ale nie będę prawila ci kazań, bo sama byłam pewna, że dobrze robię. Skąd miałam wiedzieć, że następnego dnia już go nie będzie. I to dosłownie. Ale ty weź to pod uwagę.

– Że on zginie?

– Nie – odparła łagodnie i znowu jej twarz przybrała ten szczególny wyraz, gdy była mowa o Michaelu; wtedy zdałam sobie sprawę, ile to już czasu minęło. – Bardzo kochałam Michaela, ale... nie znałam go za dobrze. Tylko przez jedno lato, rozumiesz. Jesienią wiele mogło się zdarzyć. Kto wie, co by było.

– Mam świadomość, że on tego chce. Nie może się doczekać. I naciska.

– Jeśli pójdziesz z nim na całość, wiele się zmieni – powiedziała. – Bo musi. A jeśli on odejdzie, stracisz nie tylko jego. Powinnaś być pewna, Halley. Naprawdę pewna.

Rozdział 12

Babcia Halley przebywała w ośrodku opieki Słoneczna Jesień. Niektórzy z jego rezydentów byli przykuci do łóżek, ale inni mogli się poruszać. Po korytarzach elektrycznymi wózkami inwalidzkimi jeździły kobiety z torebkami na kolanach. Wszędzie unosił się ostry owocowy zapach, jakby od zbyt dużej ilości taniego odświeżacza powietrza. Każdy wolny fragment ścian pokrywały dekoracje na Święto Dziękczynienia, postaci indyków, pielgrzymów i łuski kukurydzy; święta miały zasadnicze znaczenie, bo nie było na co innego czekać.

Większość podróży przespaliśmy, ponieważ ojciec chciał wyjechać o czwartej nad ranem, żeby uniknąć tłoku na drogach. Miał obsesję na punkcie korków i zawsze chciał wyprzedzić innych kierowców. Wsiadłszy do samochodu, włączał radio i stale przerzucał się ze stacji na stację, sprawdzając, co u konkurencji. Doprowadzało mnie to do szału, bo nie mogłam słuchać muzyki.

Przed wyjazdem większość nocy leżałam bezsennie i nasłuchiwałam samochodów na dworze. Liczyłam, że przyjedzie Macon, choćby tylko po to, żeby zatrąbić, jeszcze raz się pożegnać. Wiedział, że martwię się o babcię, ale niezbyt dobrze to znosił; nie był rodzinny. Nie chciałam wyjechać, nie rozmówiwszy się z nim. Wyobrażałam go sobie w tych nielicznych miejscach, w których z nim bywałam, z nielicznymi znajomymi, których poznałam, i wmawiałam sobie, że zależy mu na mnie na tyle, aby nie szukać gdzie indziej tego, czego na razie nie mogłam mu dać.

Kiedy weszłam do pokoju babci Halley, rzuciło mi się w oczy przede wszystkim to, że zrobiła się malutka. Leżała w łóżku, z zamkniętymi oczami, w plamie światła słonecznego, które padało z okna na jej twarz. Przypominała lalkę o porcelanowej twarzy, nierealną, jak Scarlett O'Hara, którą mi podarowała.

– Cześć! – Matka wstała z krzesła przy oknie. Nawet jej nie zauważyłam. – Jak minęła podróż?

– Dobrze – odpowiedziałam, gdy podeszła, żeby mnie pocałować.

– Dobrze – powtórzył za mną ojciec, który objął ją w pasie. – Mieliśmy świetny czas. Zostawiliśmy wszystkich w tyle.

– Wyjdźmy na zewnątrz – zaproponowała cicho. – Miała ciężką noc i potrzebuje odpoczynku.

Po korytarzu przejeżdżała grupa pań na wózkach inwalidzkich, śmiejąc się i rozmawiając, a w sąsiednim pokoju, za na wpół otwartymi drzwiami, zobaczyłam kogoś podłączonego do kroplówki, z rurką w nosie. W pomieszczeniu było ciemno, bo zasłonięto zasłony.

– Jak tam? – zapytała matka i przyciągnęła mnie do siebie. – Stęskniłam się za wami.

– A ty jak się masz? – zagadnął ojciec.

Zauważył, tak jak ja, że wyglądała starzej, miała ściągniętą twarz, jakby już pobyt w takim miejscu przydawał człowiekowi lat.

– W porządku – odpowiedziała, wciąż mnie obejmując. Czułam się skrępowana, miałam dziwnie wykręconą rękę przy boku, ale jeśli dla matki to było ważne, stałam nieruchomo. – Dziś jest już w znacznie lepszej formie. Codziennie robi postępy. – Co chwila ścisnęła mnie za ramiona dla podkreślenia swoich słów.

Po powrocie do pokoju przez moment rozmawiałam z babcią Halley. Najpierw, kiedy otworzyła oczy, wcale mnie nie poznała, nie wiedziała, kim jestem, i to mnie przestraszyło. Jakbym zamieniła się w kogoś innego, inną Halley, miała inne rysy, głos i sposób bycia.

– To Halley, mamó – powiedziała cicho matka po drugiej stronie łóżka i spojrzała na mnie uspokajająco, ponieważ nie mogła mnie uścisnąć.

I wtedy wiekowe rysy babci Halley się zmieniły; dostrzegła mnie w tej dziwnej osobie, która na nią patrzyła.

– Halley – powiedziała niemal karcąco, jak do starej przyjaciółki, płatającej kawał. – Jak się masz, kotku?

– Dobrze. Brakowało mi ciebie – odparłam.

Wzięłam ją za rękę, tak małą w mojej dłoni. Czułam jej kości, kiedy uścisnęłam ją ostrożnie, dając do zrozumienia, zapewniając, że wszystko będzie dobrze.

Później babcia Halley zjadła indyka i galaretkę żurawinową na pomarańczowej tacy z wizerunkiem rogu obfitości. Po korytarzach ośrodka spacerowali inni ludzie, którzy przyjechali w odwiedziny do krewnych. W pewnej chwili, gdy przechodziłam obok sąsiedniego pokoju, zobaczyłam wokół mężczyzny z kroplówką i rurkami sporo osób, które tłoczyły się i mówiły cicho jedna przez drugą. Za drzwiami dziewczynka w bezrękawniku i lakierkach grała na podłodze w klasy. Na korytarzu pachniało już inaczej, woń odświeżacza zlewała się z zapachem różnych perfum i lakierów do włosów, bo nagle do środka wniknął świat zewnętrzny.

Wieczorem pojechaliśmy do hotelu w mieście i za dwadzieścia dolarów od łebka zjedliśmy świąteczną kolację w formie bufetu, z szeregami podgrzewaczy zawierających purée ziemniaczane, pieczeń, sos żurawinowy i placek z dyni. Wszyscy byli odświętnie ubrani i jedli przy małych stolikach jak podzielona wielka rodzina. Ojciec trzy razy nakładał sobie na talerz, a matka, ze zmęczoną, zmiętą od niewyspania twarzą, mówiła bez przerwy, jakby potok słów mógł zamaskować fakt, że te święta były inne od dotychczasowych, dziwne. Dla podtrzymania rozmowy zasypywała mnie pytaniami, zagadywała o Scarlett, szkołę, pracę. Ojciec opowiedział długą anegdotę o pewnym słuchaczu, który rozebrał się do naga i przebiegł Main Street, żeby zdobyć bilety na koncert – był to ostatni chwyt

reklamowy stacji. Ja jadłam niemrawo purée, gładkie jak jedwab, i myślałam o tym, co porabia Macon, czy w ogóle skosztował indyka czy tylko zadowolili się big makiem w swoim pustym pokoju, a może gdzieś imprezował beze mnie. Tęskniłam za nim, tak jak tęskniłam za grudkowatym purée, które matka robiła na Święto Dziękczynienia.

Zainstalowaliśmy się w domu babci Halley: ja w moim dawnym pokoju na wakacje, a rodzice dalej, w pokoju gościnnym z niebieską tapetą w kwiaty. Niewiele się tam zmieniło. Kot wciąż był gruby, rury wciąż grały w nocy i za każdym razem, gdy mijałam dzwonek w oknie na schodach, dotykałam go odruchowo, bezmyślnie, oznajmiając swoje przybycie.

Wieczorami czytałam od nowa nieliczne czasopisma, które przywiozłam, albo dzwoniłam do Scarlett. Ugotowała cały tradycyjny obiad świąteczny dla Camerona (który jadł z rodziną wcześniej) oraz dla Marion i Włada, który zjawił się, jak powiedziała, w eleganckich spodniach, pobrząkujących butach, naszyjniku i czymś, co można by eufemistycznie nazwać tuniką.

– Czym? – zapytałam.

– Tuniką – powtórzyła. – Czymś jak obszerna koszula z głębokim rozcięciem przy szyi, zawiązywanym na sznurek.

– Ale wetknął ją do spodni?

– Nie. Nosił na zewnątrz. I przysięgam, że Marion prawie nie zwróciła na to uwagi.

To mnie zafascynowało.

– I co powiedziałaś?

– A co miałam powiedzieć? Zaproponowałam, żeby usiadł, i podałam mu miseczkę orzeszków. Marion za nim przepada. Nie przeszkadzałoby jej, gdy przyszedł z gołym tyłkiem.

Parsknęłam śmiechem.

– Przestań.

– Mówię serio. – Westchnęła. – Ale przynajmniej obiad się udał. Cameron podtrzymywał rozmowę, a mnie bardzo chwalono za ziemniaki, choć sama ich nie jadłam. Okropnie bolą mnie plecy i od tygodnia stale jest mi niedobrze. W kuchni coś gnije. Mówiłam ci to już?

– Uhm. A były grudkowane?

– Co takiego?

– Tłuczone ziemniaki. Czy miały grudki?

– Jasne – odparła. – Muszą mieć, bo inaczej byłyby do niczego.

– No właśnie. Zostaw dla mnie trochę, dobra?

– Dobra – odpowiedziała. Jej głos trzeszczał na linii, ale jak zwykle działał uspokajająco. – Zostawię.

W tamten weekend poznałam babcię Halley trochę lepiej, i to nie w trakcie

krótkich wizyt, gdy siedziałam przy jej łóżku, trzymając ją za rękę. Wciąż cierpiała po operacji i była nieco dezorientowana; kilka razy nazwała mnie „Julie” i opowiadała mi historie, których nie kończyła. Przez cały ten czas była ze mną matką, z tyłu albo obok. Dopowiadała za babcię urywane zdania i starała się, żeby wszystko znowu było w porządku.

W moim pokoju u babci stała stara szafka ze słodko pachnącego drewna, z namalowanymi na drzwiach różami. Któregoś wieczoru, kiedy się nudziłam, otworzyłam ją i znalazłam w środku stosy pudełek ze zdjęciami, listami, drobiazgami, których babcia, prawdziwy chomik, nie potrafiła wyrzucić. Były tam fotografie jej samej jako nastolatki w wyszukanych sukienkach do tańca, pozującej wśród innych dziewcząt, z których każda była uśmiechnięta. Miała długie ciemne włosy, które upinała na głowie w koronę, wplatając kwiaty. W jednym z pudełek znajdowały się karneciki balowe z wpisanymi imionami chłopców i numerami tańców. Znalazłam zdjęcie weselne jej i dziadka, jak pochylają się nad tortem z nożem w dłoniach. To wszystko mnie zafrapowało. Przeczytałam listy, które pisała do swojej matki podczas pierwszej zagranicznej podróży, poświęcając cztery strony Hindusowi, którego poznała w parku, jego słowom oraz błękitowi nieba. A potem listy o moim dziadku, o tym, jak bardzo go kocha, listy, które wróciły do niej opieczętowane i przewiązane sznurkiem, kiedy jej matka zmarła.

Zeszłam po schodach i zastałam mamę przy kuchennym stole. Piła herbatę i siedziała w dużym zielonym fotelu babci Halley przy oknie. Nie słyszała, jak weszłam, i podskoczyła, kiedy dotknęłam jej ramienia.

– Hej – powiedziała. – Co tam robisz?

– Przeglądałam te wszystkie pamiątki babci Halley – odparłam i usiadłam przy niej. – Spójrz na to. – I pokazałam jej karnet balowy, który przywiązałam do nadgarstka, zdjęcie weselne przedstawiające dziadków tańczących przed orkiestrą, moje świadectwo urodzenia, starannie schowane do koperty.

Przez wiele godzin poznawałam życie babci poskładane do pudełek i kopert, porządnie, jakby chciała, żebym to wszystko znalazła.

– Aż trudno uwierzyć, że kiedyś była młoda – zauważyła matka, podsuwając do światła zdjęcie z wesela. – Widzisz ten naszyjnik, który miała na sobie? Dała mi go w dniu mojego ślubu. To było „coś pożyczonego”.

– Latem, kiedy miała dziewiętnaście lat, zakochała się w młodym Hindusie – powiedziałam jej. – Poznała go w parku w Londynie. Później pisał do niej przed dwa lata.

– Co ty powiesz? – zapytała łagodnie, muskając moje włosy w zamyśleniu. – Nigdy mi o tym nie mówiła.

– A ten dzwonek, który wisi przy oknie w połowie schodów... Dziadek kupił go jej na pchlim targu w Hiszpanii, kiedy tam służył.

– Naprawdę?

– Powinnaś przeczytać te listy. – Spojrzałam na swoje imię na kartce powiadamiającej o moim przyjeździe na świat: „Witaj, Halley!”.

Uśmiechnęła się do mnie, jakby nagle przypomniała sobie czasy, kiedy takie chwile między nami nie należały do rzadkości, tak jak teraz.

– Kochanie – powiedziała, ujmując w dłonie moje włosy – przepraszam cię za tamten wieczór w restauracji. Wiem, jak trudno ci zrozumieć, dlaczego nie możemy pozwolić, żebyś spotykała się z Maconem. Ale to dla twojego dobra. Pewnego dnia to zrozumiesz.

– Nie – odparłam. – Nie rozumiem. – I wtedy znowu powstała między nami przepaść, tak łatwo jak przed chwilą się zamknęła. Niemal ją widziałam.

Matka westchnęła i puściła moje włosy. Ona też to poczuła.

– Już późno. Powinnaś pójść do łóżka, okej?

– Uhm. – Wstałam i ruszyłam w stronę schodów, mijając oprawioną w ramki pierwszą stronę lokalnej gazety, w której zapowiadano pojawienie się komety. „Kometa Halleya znowu przybywa z wizytą” – głosił nagłówek.

– Pamiętam, kiedy przelatywała – powiedziałam i matka podeszła do mnie, czytając mi przez ramię. – Siedziałam u babci na kolanach, patrzyłyśmy na nią razem.

– Kochanie, byłaś taka mała – odparła bez namysłu. – A noc pochmurna. Nic nie widziałas. Pamiętam.

No właśnie, wszystko było dla niej takie oczywiste. Nawet nie miałam własnych wspomnień.

Ale się myliła. Widziałam kometę. Byłam tego pewna jak samej siebie. I swojego serca.

Następnego ranka zamknęliśmy dom na klucz, nakarmiliśmy kota i zostawiliśmy pieniądze dla jego opiekunki, a potem wsiedliśmy do samochodu, żeby ostatni raz odwiedzić babcię Halley. W domu opieki panowała cisza, goście już pojechali, wyprzedzając się nawzajem. Ojciec szybko się pożegnał i poszedł na parking do samochodu, z głową wytkniętą na wiatr patrzył już w stronę autostrady. My, za pozamykanymi dla bezpieczeństwa oknami, nie słyszałyśmy nawet, że wieje.

Długi czas siedziałam przy babci Halley i trzymałam ją za rękę. Matka zajmowała miejsce po drugiej stronie łóżka. Babcia mówiła składnie, ale z trudem. Była zmęczona, leki ją otępiały, miała zamknięte oczy. Kiedy ją pocałowałam, jej policzek wydał mi się suchy. Gdy się odsunęłam, przyłożyła mi dłoń do twarzy, miała gładkie zimne palce. Uśmiechnęła się do mnie, ale nic nie powiedziała. Przypomniam sobie tamtą dziewczynę ze zdjęć, z różami, w długich sukienkach, i odpowiedziałam uśmiechem.

Czekałam na korytarzu, żeby matka mogła się pożegnać. Stałam przy ścianie, pod zegarem, i słuchałam jego tykania. Matka za drzwiami mówiła coś

cicho i spokojnie, ale nie rozumiałam słów. W sąsiednim pokoju mężczyzna z rurkami znowu został sam, sprzęt medyczny przy jego łóżku pikał w ciemności. Na ekranie telewizora nad łóżkiem widać było tylko śnieżenie.

Wreszcie po jakichś dwudziestu minutach podeszłam do uchylonych drzwi. Matka była odwrócona do mnie plecami, trzymała rękę na dłoni babci Halley, która zasnęła i oddychała miarowo. A matka, która przez cały świąteczny weekend wręcz maniacko demonstrowała spokój, ściskając mnie i uśmiechając się, zmuszając nas do rozmowy, płakała. Siedziała z opuszczoną głową, wspartą o barierkę przy łóżku, i gdy szlochała, trzęsły jej się ramiona, a babcia Halley spała, niczego nieświadoma. Przestraszyłam się jak wtedy, gdy wróciłam z obozu i zastałam Scarlett na ganku, czekającą na mnie we łzach. Są na tym świecie pewne rzeczy, na których się polega. A kiedy znikają ze swojego stałego miejsca, traci się wiarę, grunt pod nogami.

Rozdział 13

Wreszcie, w piątym miesiącu, nie dało się już ukryć, że Scarlett jest w ciąży. Z wyraźnie zarysowanym brzuchem i stale zarumienioną twarzą nie mogła zataić swojego stanu nawet pod zielonym fartuchem Milton's Market. W pierwszym tygodniu poszła do pana Averby'ego na rozmowę. Towarzyszyłam jej jako wsparcie moralne.

– Cóż, Scarlett. – Pan Averby z uśmiechem spojrział na nas zza biurka. Był w wieku mojego ojca i miał łysinę, którą starał się ukryć zaczeską. – Zauważyłem, że... hm... masz mi coś do powiedzenia.

– Do powiedzenia? – zapytała Scarlett. Jak zwykle udawała, że nic nie rozumie; chciała, żeby to on poruszył temat.

– Hm, to znaczy, ostatnio zwróciłem uwagę... zauważyłem... że jesteś przy nadziei.

– Przy nadziei? – powtórzyła Scarlett, kiwając głową. – Jestem w ciąży.

– Otóż to – podjął szybko. Wyraźnie zaczął się pocić. – Więc tak się właśnie zastanawiałem, czy nie chciałabyś ze mną na ten temat porozmawiać.

– Nie ma o czym – odparła, zmieniając pozycję na krześle. Stale było jej niewygodnie. – A pan chciałby ze mną o czymś porozmawiać?

– Cóż, nie, ale wydaje mi się, że należy wziąć to pod uwagę, bo mogą się pojawić problemy... związane z twoim stanem. – Trudno mu było wydusić, że go niepokoi, co klienci pomyślą o szesnastoletniej kasjerce w ciąży, i to w Milton's, „waszym rodzinnym supermarkecie”. Że stanowi zły przykład. Że to nieprzyzwoite. Albo coś w tym rodzaju.

– Nie sądzę – odrzekła spokojnie Scarlett. – Lekarka mówi, że mogę stać, byle nie bez przerwy. To nie wpłynie na moją pracę, panie Averby.

– Jest bardzo dobrą pracownicą – włączyłam się. – W sierpniu została pracownikiem miesiąca.

– Zgadza się. – Uśmiechnęła się do mnie.

Wcześniej mi powiedziała, że za nic nie odejdzie, nawet żeby oszczędzić Milton's powodu do zakłopotania. A nie mogli jej zwolnić. Byłoby to wbrew prawu, jak dowiedziała się w Grupie Wsparcia Nastoletnich Matek.

– Rzeczywiście, jesteś bardzo dobrą pracownicą – potwierdził pan Averby, który zaczął wiercić się na krześle, jakby nie mógł sobie znaleźć komfortowej pozycji. – Nie wiedziałem tylko, czy zamierzasz zachować dotychczasowy wymiar godzin. Gdybyś chciała go zmniejszyć albo omówić inne możliwości...

– Nie. Nie ma potrzeby. Jestem zadowolona – ucięła Scarlett. – Ale doceniam pańską troskę.

Teraz pan Averby wyglądał na zmęczonego, pokonanego. Zrezygnowanego.

– Dobrze – powiedział. – Więc to chyba wszystko. Dziękuję, że przysłaś, Scarlett. Daj mi znać, gdybyś miała jakieś problemy.

– Dzięki – odparła.

Wstałyśmy razem i wyszłyśmy z gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Przeszłyśmy przez działy produktów hurtowych i płatków, gdy zaczęła tak chichotać, że musiała się zatrzymać.

– Biedak – powiedziałam, zgięta w pół, zanosząc się śmiechem. – Nie wiedział, co go czeka.

– Myślał, że będę chciała odejść. – Oparła się o regał z importowaną kawą, łapiąc oddech. – A ja się nie wstydę, Halley. Wiem, że postępuję właściwie, i nikt mi nie wmówi, że tak nie jest.

– Słusznie. – Znowu zaczęłam się zastanawiać, dlaczego właściwe postępowanie spotyka się z takim oporem.

Można by sądzić, że będzie wręcz przeciwnie. Trzeba walczyć, żeby zachować prawość, a w każdym razie tak mi się wydawało.

Przyszedł grudzień i wszystko nagle stało się zielone, czerwone i błyszczące. W pracy bez przerwy nadawano gwiazdkowe przeboje, głównie *Jingle Bells*, a ja wciąż nie zdecydowałam, co z Maconem. Uchodziło mi to płazem dlatego, że nie widywaliśmy się już tak dużo, tylko w szkole, jedynym miejscu, gdzie sprawy nie mogły zajść za daleko. Brałam dodatkowe zmiany w Milton's i opiekowałam się Scarlett, która potrzebowała mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek. Woziałam ją na kontrole lekarskie, pchałam wózek w sklepie z rzeczami dla dzieci, podczas gdy ona sprawdzała ceny łózek i spacerówek, jeździłam z nią późnym wieczorem na lody czekoladowo-malinowe, kiedy przychodził kryzys. Byłam z nią nawet wtedy, gdy pisała kolejne wersje listu do pani Sherwood na jej nowy florydzki adres, za każdym razem zaczynając: „Nie zna mnie pani, ale...”. To była najłatwiejsza część. Reszta przychodziła już trudniej.

Macon także był zajęty. Zrywał się ze szkoły albo w ogóle nie przychodził. Dzwonił do mnie o różnych porach dnia, żeby porozmawiać dwie minuty, bo zawsze musiał nagle kończyć. Nie mógł przyjść do mojego domu ani nawet mnie podwieźć, bo to było zbyt ryzykowane. Matka rzadko o nim wspominała; sądziła, że przestałam się z nim widywać. Poza tym zajmowała się pracą i przenosinami babci Halley do innego ośrodka.

– On jest jakiś inny – któregoś popołudnia poskarżyłam się Scarlett, kiedy siedziałyśmy na jej łóżku i czytałyśmy czasopisma: ja „Elle”, a ona „Pracującą Matkę”.

Cameron na dole robił budyń, najnowszą zachciankę Scarlett. Wsypywał tyle cukru, że głowa bolała, ale ona tak lubiła.

– Zmienił się – dodałam.

– Halley – zaczęła. – Przecież czytasz „Cosmo”. Wiesz, że w każdym

związku kiedyś kończy się okres zawrotu głowy. To normalne.

– Tak myślisz?

– Tak. – Przerzuciła następną kartkę. – Nie mam co do tego wątpliwości.

Przed Bożym Narodzeniem zdarzyło się kilkakrotnie, że musiałam go powstrzymać, gdy jego ręka zawędrowała za daleko. Dwa razy u niego w domu, kiedy w piątkowe wieczory leżeliśmy na łóżku i byliśmy tego tak bliscy jak jeszcze nigdy. Raz w samochodzie nad jeziorem, gdy było zimno i nagle odsunął się ode mnie, kręcąc w ciemności głową. Ale nie chodziło tylko o niego. Mnie też było coraz ciężiej.

– Kochasz go? – zapytała pewnego dnia Scarlett, gdy opowiedziałam jej o ostatnim incydencie.

Siedziałyśmy na rampie wyładunkowej w Milton's podczas przerwy, w otoczeniu kartonów soku pomidorowego.

– Tak – odpowiedziałam. Nigdy wcześniej tego nie mówiłam, ale tak czułam.

– A on cię kocha?

– Tak – odparłam trochę nieszczerze.

Ale to nic nie dało. Scarlett odgryzła kolejny kęs bajgla i zapytała:

– Powiedział ci to?

– Nie. Nie wprost.

Wyprostowała się, nic więcej nie mówiąc. Dowiodła swego.

– Ale to takie banalne – odezwałam się. – Z tym: „Kocham cię”. Jakby to miało jakieś znaczenie. Jeśli to powie, mogę iść z nim na całość. Jeśli nie, to nie powinnam.

– Tego nie powiedziałam – odparła po prostu. – Wolałabym tylko, żeby to zrobił, zanim się zdecydujesz.

– To tylko dwa słowa – zauważyłam od niechcienia i dopiłam colę. – Wielu ludzi sypia ze sobą, nie mówiąc nic o miłości.

Scarlett usiadła prosto, przyciągając nogi do brzucha, na ile się dało.

– Nie tacy jak my, Halley. Nie tacy jak my.

Moja matka, przeważnie poważna i rzeczowa, ma fioła na punkcie świąt. Boże Narodzenie zaczyna się u nas w chwili, gdy tylko zostanie zjedzony obiad z okazji Święta Dziękczynienia, a choinka, ubrana i aż uginająca się od zbyt dużej liczby ozdób, stoi aż do Nowego Roku. Doprowadza tym do szału mojego ojca, który twierdzi, że nie wierzy w święta. Gdyby to zależało od niego, drzewko świąteczne zostałoby rozebrane i wyrzucone na śmietnik w dziesięć sekund po otwarciu ostatniego prezentu – i byłoby po sprawie. Albo gdyby miał prawo głosu, w ogóle nie mielibyśmy choinki i kropka. Wręczalibyśmy sobie prezenty w torebkach, w których przyszły (to jego ulubiony papier opakowaniowy), jedlibyśmy duży posiłek i oglądalibyśmy mecz w telewizji. Jednak żeniąc się

z moją matką, która uparła się, żeby ich ślub odbył się w sylwestra, wiedział, że nie ma szans. Nawet najmniejszych.

Sądziłam, że z powodu stanu babci Halley święta tego roku zejdą na dalszy plan, a przynajmniej nie będą tak bardzo matki absorbować. Ale byłam w błędzie. Zamiast tego stały się jeszcze ważniejsze; chodziło o to, żebyśmy mieli idealną Gwiazdkę, najlepszą z dotychczasowych. Po powrocie do domu ze Święta Dziękczynienia minął jeden dzień i pudełka z ozdobami zostały wyjęte, skarpety na prezenty zawieszono i zaczęło się planowanie. Można było dostać zawrotu głowy.

– Musimy kupić choinkę – oznajmiła matka w okolicach czwartego grudnia. Siedzieliśmy przy kolacji. – Jeszcze dziś. Pomyślałam, że miło by było zrobić to razem.

Ojciec pierwszy raz w tym roku wyraził niezadowolenie, wzdychając i mrużąc coś pod nosem. To była jego świąteczna tradycja: bożonarodzeniowe narzekanie.

– Stragan jest otwarty do dziewiątej – podjęła wesoło i sięgnęła po mój talerz.

– Mam dużo lekcji do odrobienia – rzuciłam, uciekając się do stałej wymówki, ale ojciec kopnął mnie pod stołem. Jeśli on miał jechać, to ja też.

Na placu panował tłok, więc znalezienie idealnego drzewka zajęło matce – w przenikliwym zimnie – z pół godziny. Stałam przy samochodzie, z każdą minutą coraz bardziej sfrustrowana, i patrzyłam, jak chodzi z ojcem świerkowymi alejkami, wyciągając raz to drzewko, raz inne, aby je obejrzeć. Z głośników nad nami grzmiały piosenki świąteczne jakby z tej samej taśmy co w Milton's; znałam każde ich słowo, każdą nutę, każdą pauzę, podśpiewywałam, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– Cześć, Halley. – Odwróciłam się i zobaczyłam Elizabeth Gunderson, która trzymała za rękę dziewczynkę w spódniczce baletnicy i ciężkim zimowym płaszczu.

Były do siebie bardzo podobne i miały włosy takiego samego koloru. Ostatnio rzadko ją widywałam. Po skandalu z jej chłopakiem i najlepszą przyjaciółką zniknęła na dwa tygodnie ze szkoły – na „wycięcie wyrostka”; jak głosiły plotki, była w szpitalu, ale nigdy tego nie potwierdzono.

– Hej, Elizabeth. – Uśmiechnęłam się do niej uprzejmie. Nie zamierzałam już robić z siebie niemoty.

– Elizabeth, chcę poszukać jemioly – odezwała się dziewczynka i pociągnęła ją w stronę wystawy obok kasy. – Chodź.

– Chwileczkę, Amy – chłodno odparła Elizabeth, stawiając opór. Mała wydeła usta, tupiąc nogą w baletce. – I jak, Halley? Co słychać?

– Nic specjalnego. Rodzinne zakupy.

– Uhm, ja też. – Spojrzała na Amy, która puściła jej rękę i wykonywała

między nami niezbyt udane piruety. – I jak z Maconem?

– Dobrze – odpowiedziałam tak lodowato, jak potrafiłam, patrząc na różową spódniczkę Amy.

– Często widuję go u Rhetty – zauważyła. – Znasz Rhetę, prawda?

Poprawna odpowiedź na to pytanie brzmiała:

– Jasne.

– Nigdy cię tam z nim nie widziałam, ale pomyślałam, że po prostu nie zwróciłam na ciebie uwagi. – Odrzuciła włosy do tyłu swoim klasycznym gestem; wyobraziłam ją sobie w mundurku cheerleaderki, wyskakującą wysoko w powietrze z rozwianymi włosami. – Odkąd Mack i ja zerwaliśmy ze sobą, dużo tam bywam.

– Szkoda. To znaczy, że tak się między wami skończyło.

– Uhm. – Wypuściła z ust obłoczek pary. – Macon był cudowny, on naprawdę rozumie takie sprawy. Szczęściara z ciebie, że go masz.

Przyglądałam jej się, zapominając, że powinnam okazać zimną krew, zachować pozory. Próbowałam wyczytać coś z jej oczu, zorientować się, co naprawdę dzieje się u Rhetty, tam, gdzie nigdy nie byłam. Ani nawet nie zostałam zaproszona. Elizabeth Gunderson najwyraźniej nie miała szlabanu, matka nie kontrolowała wciąż jej życia. Mogła bywać, gdzie chciała.

– Elizabeth! – Spojrzałyśmy w bok. Obok bmw z przywiązaną na dachu choinką stał mężczyzna. – Jedźmy, kochanie. Amy, wsiadaj do auta.

– To co? – odezwała się Elizabeth, gdy dziewczynka pobiegła do samochodu. – Zobaczymy się jutro w szkole, no nie?

– Uhm.

Pomachała do mnie, jakbyśmy były kumpelkami, i ojciec zamknął za nią drzwi samochodu. Gdy odjeżdżali, zalało mnie światło ich reflektorów, tak że zmrużyłam oczy i nie widziałam, czy mnie obserwowała.

– Znaleźliśmy choinkę! – usłyszałam za sobą głos matki. – Jest idealna. W samą porę, bo twój ojciec zaczął już tracić cierpliwość.

– Fajnie – odparłam.

– To była koleżanka ze szkoły? – zapytała, gdy samochód z Elizabeth odjechał.

– Nie – burknęłam pod nosem. Bożonarodzeniowe rozdrażnienie.

– Ale znam ją?

– Nie – odparłam głośniej. Wydawało jej się, że zna wszystkich moich znajomych. – W każdym razie nienawidzę jej.

Matka cofnęła się o krok i spojrzała na mnie. Jako terapeutka uznała to za przyzwolenie, aby dobrać się do mojego wnętrza.

– Nienawidzisz jej – powtórzyła. – Ale dlaczego?

– Bez powodu. – Żałowałam, że w ogóle cokolwiek powiedziałam.

– No to mamy cholerne drzewko! – zawołał ojciec swoim tubalnym radiowym głosem. Spojrzało na niego kilka osób. Podszedł do nas i postawił choinkę między nami, tak że dostałam w twarz iglastą gałęzią. – Najlepsza z całego placu, tak przynajmniej uważa twoja matka.

– Jedźmy do domu – powiedziała matka, wciąż obserwując mnie zza drzewka. Można by pomyśleć, że nigdy wcześniej nie mówiłam o kimś, że go nie nienawidzę. – Robi się późno.

– Dobrze – odparł ojciec. – Jeśli będziemy mieli szczęście, może uda nam się wsadzić to cholerstwo do bagażnika.

Obeszli samochód, a ja wsiałam na przednie siedzenie, zatrzaskując drzwi mocniej, niż powinnam. Naprawdę nienawidziłam Elizabeth Gunderson i tego, że Bóg dał mi dziewictwo, abym pewnego dnia je straciła, nienawidziłam nawet Bożego Narodzenia – bo mogłam. We wrześniu powiedziałam Scarlett, że do Macona pasuje ktoś taki jak Elizabeth, i być może miałam rację. Nie byłam jednak gotowa pogodzić się z inną myślą: że nie tyle ja nie jestem odpowiednia dla Macona, ile to on nie jest odpowiedni dla mnie. A to różnica. Nawet dla kogoś, komu niewiele rzeczy przychodzi łatwo – takiego jak ja.

Następnego dnia, kiedy miałam być w pracy, a zamiast tego pojechałam z Maconem do niego, jego ręka znowu zawędrowała na znany teren walki. Zatrzymałam ją, usiadłam i spytałam:

– Kto to jest Rhetta?

Spojrzał na mnie.

– Kto taki?

– Rhetta?

– A dlaczego pytasz?

– Po prostu jestem ciekawa.

Westchnął głośno, demonstracyjnie, a potem z powrotem opadł na łóżko.

– To moja koleżanka – odpowiedział. – Mieszka niedaleko, w Coverdale.

– Często u niej bywasz? – Wiedziałam, że wyjdę na małostkową i zazdrosną, ale nie miałam wyboru. Zamierzałam wkrótce oddać mu coś cennego. Musiałam mieć pewność.

– Czasami. – Z roztargnieniem obwiodł mój pępek palcem. Dla niego to najwyraźniej nie było nic ważnego. – Skąd się o niej dowiedziałaś?

– Od Elizabeth Gunderson – odparłam. Wpatrywałam się w jego twarz, żeby dostrzec jakiś znak, podejrzanę drganie na dźwięk jej imienia.

– A tak, wpada tam od czasu do czasu – rzucił niedbale. – Przyjaźni się z Rhettą czy coś takiego.

– Naprawdę?

– Uhm. – Obserwowałam go, a on odwzajemnił moje spojrzenie i nagle załapał.

– O co chodzi, Halley? Masz jakiś problem?
– Nie – zaprzeczyłam. – Tylko wydało mi się dziwne, że nigdy o tym nie wspominałeś. Elizabeth powiedziała, że często cię tam widuje.
– Elizabeth nic nie wie.
– A zachowuje się, jakby wiedziała.
– I co z tego? Czy to moja wina? – Zaczął się złościć. – O rany, Halley, to nic takiego, rozumiesz? Dlaczego to nagle stało się takie ważne?
– Wcale nie – wyjaśniłam. – Tylko że przeważnie nie wiem, gdzie się podziewasz ani co robisz, a potem dowiaduję się od Elizabeth, że chodzisz gdzieś z nią i nic mi o tym nie mówisz.
– Nigdzie z nią nie chodzę. Bywam w tym samym miejscu co ona, i to nie zawsze. Nie mam zwyczaju nikomu się spowiadać. Nie mogę ci opowiadać, co będę robił w danej chwili, bo przeważnie sam tego nie wiem. – Pokręcił głową. – Taki już jestem.

Na samym początku, gdy moje życie skupiało się na wuefie i niczego jeszcze między nami nie było, wszystko wyglądało inaczej. Nawet dwa miesiące wcześniej, kiedy całymi popołudniami tylko jeździłam z nim po okolicy, słuchając radia pod błękitnym jesiennym niebem, nie zdarzały się nam takie rozmowy, takie krępujące chwile ciszy. Nie rozmawialiśmy już ze sobą ani nie śmialiśmy się tak jak kiedyś. Teraz tylko jeździliśmy do niego, siedzieliśmy w samochodzie nad jeziorem i walczyliśmy ze sobą, dyskutując o zaufaniu i oczekiwaniach. Było tak samo jak z matką.

– Posłuchaj – powiedział. Objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie. – Musisz mi zaufać, rozumiesz?

– Rozumiem.

Łatwo mu było uwierzyć, gdy tak leżeliśmy wczesnym zimowym wieczorem w ciemności, on całował mnie w czoło, a ja splatałam swoje gołe stopy z jego stopami. Było dobrze, naprawdę dobrze i ludzie właśnie tak robili; wszyscy oprócz mnie. Byłam bardziej niż kiedykolwiek skłonna powiedzieć mu, że go kocham, ale wstrzymałam się z tym. On musiał powiedzieć to pierwszy i zaklinałam go w duchu, żeby to zrobił, tak jak zaklinałam, żeby do mnie podszedł na wuefie, kiedy to wszystko się zaczęło.

Felieton, felieton, myślałam z napięciem, kiedy mnie całował. Felieton, felieton. Całowanie się z nim było tak cudowne, że zamknęłam oczy, czując jego ciepłe ciało przy sobie i wdychając jego zapach. Felieton, felieton. Jego ręka zsunęła się na mój pasek od dzinsów. Kocham cię, kocham cię.

Ale nie usłyszałam tego, tak jak zwykle. Odepchnęłam jego dłoń, wciąż go całując, ale on się odsunął i pokręcił głową.

– Co? – spytałam, choć znałam odpowiedź.

– Chodzi o mnie? – chciał wiedzieć. – Nie chcesz zrobić tego ze mną?

– Nie. Oczywiście, że nie. Chodzi o to... że to dla mnie coś ważnego.
– Mówiłaś, że się zastanowisz.
– I się zastanawiam. – W każdej sekundzie, pomyślałam. – Naprawdę, Macon.

Usiadł na łóżku, wciąż mnie obejmując.

– To, co przydarzyło się Scarlett – zaczął pewnie – nam się nie zdarzy. Będziemy uważać.

– Nie w tym rzecz.

Patrzył na mnie.

– To w czym?

– Chodzi o mnie – wyjaśniłam i po tym, jak się poruszył, wyglądając za okno, zorientowałam się, że to nie była właściwa odpowiedź. – Taka już jestem.

Doszliśmy do tego samego punktu co zawsze, punktu, który dobrze znałam. Staliśmy naprzeciwko siebie na polu walki, oko w oko, w tym samym miejscu, w którym zaczęliśmy. Nic się nie zmieniło.

Zbliżało się Boże Narodzenie i wszyscy nagle popadli w obłąd. Matki przychodziły do Milton's w bluzach z wieńcami ostrokrzewu i reniferami, i nawet mój szef, zaganiany pan Averby, w Wigilię paradował w czapce świętego Mikołaja. Moi rodzice chodzili z przyjęcia na przyjęcie, a ja leżałam w łóżku i gdy wracali do domu na rauszu, rozbawieni, słyszałam ich stłumione chichoty, które niosły się po schodach. Przenosiny babci Halley do domu opieki były już zorganizowane i matka miała pojechać do niej na początku stycznia, żeby pomóc. Myślałam o babci w tamtym pokoiku, takiej drobnej w łóżku, i odsuwałam od siebie ten obraz.

Mieliśmy już choinkę, pod nią leżały wszystkie prezenty, a na kominku stały kartki świąteczne. Na ganku wisiały lampki, a na wszystkich wolnych powierzchniach, na stolikach i ścianach, znajdowały się ozdoby gwiazdkowe. Ojciec wciąż coś tłukł. Najpierw wskutek zbyt śmiałego ruchu ręki stracił ze stolika uśmiechniętego pulchnego mikołaja z porcelany, rozbijając go o ścianę, a później przeszedł po jednym z Trzech Króli, który przetoczył się po podłodze ze żłóbka pod choinką. Rozległ się chrzęst. Tak działo się co roku, co tłumaczyło, dlaczego we wszystkich naszych zestawach świątecznych brakowało jakiegoś elementu – Jezuska, renifera, najwyższego z kolędników. Ofiary Bożego Narodzenia.

Scarlett i ja wieczorami robiłyśmy razem zakupy w centrum handlowym; ona kupiła dla Camerona płytę Abby, jego ulubionego zespołu, a ja dla Macona ray-bany, bo ciągle je gubił. W centrum panował duży ruch i duchota, i nawet małe mechaniczne elfy w wiosce świętego Mikołaja wydawały się zmęczone.

Miałam wrażenie, że coraz mniej czasu spędzam z Maconem. Wciąż gdzieś jeździł z kolegami, coraz krócej rozmawiał ze mną przez telefon. Kiedy po mnie przyjeżdżał albo gdzieś się wybieraliśmy, rzadko byliśmy sami; przeważnie kogoś

podwoził czy też zabierał z nami jakiegoś kumpla. Wciąż był roztargniony i przestałam znajdować w kieszeniach i plecaku słodycze. Pewnego dnia w łazience przypadkiem usłyszałam, jak jakaś dziewczyna mówiła, że Macon ukradł radio jej chłopakowi z samochodu, ale kiedy go o to spytałam, tylko się zaśmiał i odpowiedział, że bym nie wierzyła we wszystko, co usłyszę w łazience. Kiedy do mnie dzwonił z gwarynych miejsc, których nie znałam, wydawało mi się, że robi to z obowiązku, a nie dlatego, że za mną tęskni. Czułam, że go tracę. Musiałam działać szybko.

Tymczasem matka była szczęśliwa, bo myślała, że znowu jest między nami dobrze. Zadowolona z siebie, uśmiechała się do mnie z drugiej strony pokoju, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz, miałam rację. Czy tak nie jest lepiej?”.

W Wigilię, kiedy rodzice wybrali się na kolejne przyjęcie, przyjechał Macon, żeby dać mi prezent. Zadzwoił ze stacji benzynowej niedaleko i powiedział, że ma tylko chwilę. Spotkałam się z nim przed domem.

– Masz. – Podał mi pudełko owinięte w czerwony papier. – Otwórz.

Był to pierścionek, srebrny i ciężki. Ja bym takiego nie wybrała, ale kiedy włożyłam go na palec, wyglądał ślicznie.

– O rany. – Podniosłam prawą rękę. – Jest piękny.

– Uhm. Wiedziałem, że będzie pasował.

Dostał już ode mnie okulary; nie umiałam dochowywać sekretów. Przekonał mnie, że bym mu dała prezent do razu, błagał i prosił jak dziecko. Ale miałam dla niego coś jeszcze.

– Wesołych świąt – powiedziałam. Zbliżyłam się i pocałowałam go. – I dzięki.

– Nie ma za co. Dobrze na tobie wygląda. – Podniósł moją dłoń i przyjrzał jej się znowu.

– Co robisz dziś wieczorem? – spytałam.

– Nic specjalnego. – Puścił moją rękę. – Gdzieś wyskoczę z chłopakami.

– Nie pomagasz mamie?

Wzruszył ramionami.

– Dziś wieczorem nie.

– Będziesz u Rhetty?

Westchnął, a potem przewrócił oczami.

– Nie wiem, Halley. Dlaczego pytasz?

Kopnęłam leżącą na ziemi butelkę.

– Tak się zastanawiałam.

– Nie zaczynaj znowu, dobra? – Spojrzał w stronę ulicy. Jedna uwaga i już zaczął się niecierpliwić, chciał odejść.

Ale nie mogłam przestać.

– Dlaczego nigdy mnie tam nie zabierasz? – ciągnęłam. – Ani nigdzie

indziej? Co takiego tam robicie?

– Nic – odparł swobodnie. – Nie podobałoby ci się tam. Nudziłabyś się.

– Na pewno nie. – Spojrzałam na niego. – Wstydzisz się mnie czy co?

– Nie. Jasne, że nie. Posłuchaj, Halley. Nie chcę, żebyś bywała w niektórych z tych miejsc, bo nie są dla ciebie.

Poczułam się urażona.

– Co to znaczy?

– Nic. – Machnął ręką, sfrustrowany. – Zapomnij o tym.

– Myślisz, że jestem zbyt naiwna? Żeby poznać twoich znajomych?

– Nic takiego nie powiedziałem. – Westchnął. – Nie róbmy tego. Proszę.

Miałam wybór: dać sobie spokój i zastanawiać się, co chciał powiedzieć, albo drążyć dalej temat i zyskać pewność. Ale było Boże Narodzenie, błyskały światełka na choince w oknie od frontu. Na moim palcu tkwił pierścionek, a to coś znaczyło.

– Przepraszam – powiedziałam. – Pierścionek naprawdę bardzo mi się podoba.

– To dobrze. – Pocałował mnie, gładząc po włosach. – Muszę lecieć. Zadzwoń do ciebie.

– Fajnie.

Pocałował mnie znowu, a potem z głową pochyloną przed wiatrem obszedł samochód.

– Macon!

– Co?! – Już prawie wsiadł za kierownicę.

– Co robisz w sylwestra?!

– Nie wiem jeszcze. A co?!

– Bo chciałabym go spędzić z tobą – powiedziałam. Miałam nadzieję, że wie, co mam na myśli, jaka to ważna sprawa. Co chcę mu dać. – Dobrze?

Stał w miejscu i patrzył mi w twarz, a potem skinął głową.

– Dobrze. Jesteśmy umówieni.

– Wesołych Świąt! – rzuciłam, gdy wsiadł do samochodu.

– Wesołych Świąt! – zawołał, a potem włączył silnik i szybko wyjechał z podjazdu. Potem błysnął światłami, zatrąbił i odjechał z piskiem opon, a u pana Harpera zapaliło się światło.

No więc tak. Podjęłam decyzję i musiałam się tego trzymać. Mówiłam sobie, że postępuję słusznie, że tak chcę, a jednak czułam, że coś jest nie tak. Ale było już za późno, żeby się wycofać.

Wtedy usłyszałam głos Scarlett.

– Halley! Chodź!

Odwróciłam się. Stała w otwartych drzwiach domu, z ręką na brzuchu, i machała gwałtownie ręką. Za nią stał Cameron, postać w czerni na tle żółtego

światła salonu.

– Szybko! – Krzyczała tak, że przebiegłam przez ulicę, myśląc gorączkowo, że coś się dzieje z dzieckiem. Dziecko! Dziecko!

Zdyszana, w panice, dotarłam do schodków na ganek i zobaczyłam, że Scarlett uśmiecha się do mnie z podnieceniem.

– Co się stało? – zapytałam.

– To. – Ujęła moją rękę i położyła sobie na brzuchu, przesuwając ją na środek i w dół. Miała ciepłą skórę.

Spojrzałam na nią pytająco i nagle to poczułam. Jakiś ruch, opór... kopnięcie.

– Poczulaś? – zapytała, kładąc rękę na mojej dłoni. Uśmiechała się szeroko.
– Tak czy nie?

– Tak. – Wciąż trzymałam rękę na jej brzuchu i dziecko kopnęło ponownie.
– To niesamowite.

– No właśnie. – Zaśmiała się. – Lekarka mówiła, że tak wkrótce będzie, ale kiedy to się stało, spanikowałam. Siedziałam na kanapie, a tu bum. Nie umiem tego nawet opowiedzieć.

– Szkoda, że nie widziałaś jej twarzy – włączył się Cameron swoim spokojnym niskim głosem. – O mało się nie rozplakała.

– Wcale nie. – Scarlett dźgnęła go łokciem. – Tylko że... słyszysz, jak to jest, gdy poczuje się to pierwszy raz, ale sądzisz, że ludzie przesadzają... To jednak było coś. Naprawdę coś.

– Wiem – odparłam i usiadłyśmy razem na schodkach.

Spojrzałam na Scarlett, na jej zarumienioną twarz, rozpostartą na brzuchu dłoń, i chciałam jej powiedzieć o swojej decyzji. Ale to nie była odpowiednia pora, więc położyłam rękę na jej dłoni i znowu poczułam kopnięcie.

Rozdział 14

W sylwestra matka od rana szaleńczo sprzątała w domu przed corocznym przyjęciem z okazji rocznicy ślubu. Była tak zajęta, że zainteresowała się mną dopiero późnym popołudniem, kiedy podniosłam nogi, żeby mogła odkurzyć kawałek podłogi przed telewizorem.

– Jakie masz plany na wieczór? – zapytała. Spryskała stolik środkiem do drewna i zaczęła go pucować. – Będziecie ze Scarlett oglądać transmisję z Times Square?

– Nie wiem – odparłam. – Jeszcze nie zdecydowałyśmy.

– Hm, tak sobie pomyślałam... – zaczęła, posuwając się w stronę kominka i sprzątając wokół choinki, która mimo głośnych gderań ojca wciąż stała, tracąc mnóstwo igieł, gdy ktoś ją potrącił. – Może zostaniesz w domu i mi pomożesz? Znalazłabym ci coś do roboty.

– Pewnie, od razu – rzuciłam.

Naprawdę myślałam, że żartuje. Przecież był sylwester, na litość boską. Patrzyłam, jak spryskuje regał.

– Będą Vaughnowie, mogłabyś zająć się Clarą, a poza tym obie ze Scarlett lubicie pomagać na przyjęciach...

– Chwileczkę – powiedziałam, ale ona wciąż się krzątała; starannie odkurzała bibeloty, jakby od tego zależało jej życie. – Mam plany na wieczór.

– Wyglądało na to, że nie masz – odparła krótko. Podniosła zdjęcie znad Wielkiego Kanionu i przetrąła je ściereczką, a potem odstawiła na kominek. – Mówiłaś, że jeszcze nie wiecie, co będziecie robić. Więc pomyślałam, że byłoby lepiej...

– Nie – odrzekłam i nagle zdałam sobie sprawę, że mówię zbyt gwałtownie, z desperacją, jakbym czuła wokół siebie zaciskającą się sieć. – Nie mogę.

Spodziewałam się, że odwróci się ze szmatą w dłoni, machnie ręką i powie: „Chcesz dziś wieczorem pójść z nim do łóżka!”, dowodząc, że potrafi czytać w moich myślach, i znowu dokonując za mnie wyboru, zanim sama zdążyłam się dobrze zastanowić.

– Skoro ty i Scarlett zamierzacie oglądać telewizję i snuć się z kąta w kąt, równie dobrze mogłybyście to robić tu, Halley. A ja byłabym spokojniejsza, wiedząc, że mam was pod bokiem.

– Jest sylwester – sprzeciwiłam się. – Mam szesnaście lat. Nie możesz zatrzymywać mnie w domu.

– Oj, Halley. – Westchnęła. – Nie dramatyzuj.

– Dlaczego mi to robisz? Nie możesz przyjść do mnie o piątej po południu i kazać mi zostać w domu. To nie fair.

Odwróciła się do mnie ze ścierką.

– Dobrze – powiedziała wreszcie, naprawdę przyglądając mi się przez chwilę, jakby wypatrywała najdrobniejszej oznaki słabości. – Możesz iść do Scarlett. Wiesz, że ci ufam, Halley. Nie zawieźdź mnie.

Nie mogłam wytrzymać jej wzroku. Po tych wszystkich miesiącach negocjacji i układów, ataków i wycofywania się, użyła swojej ostatniej broni: zaufania.

– W porządku – odparłam, walcząc z przyływem dawnego sentymentu, z czasów Wielkiego Kanionu i wcześniej. Kiedy była moją przyjaciółką, najlepszą przyjaciółką. – Możesz mi zaufać.

– To dobrze – odrzekła spokojnie, wciąż na mnie patrząc.

Wytrzymałam jej spojrzenie i pierwsza opuściła wzrok.

Ubrawszy się do wyjścia, stanęłam przed lustrem i uważnie przyjrzałam się swojej twarzy. Nie widziałam niczego poza nią, zdobytych w gimnastyce wstążek, dyplomów honorowych, zdjęć przedstawiających mnie i Scarlett, pamiątek z ważnych chwil w moim życiu. Potarłam kciukiem srebrny pierścionek, który dostałam od Macona. Tym razem mogłam liczyć tylko na siebie i na własną pamięć, więc skupiłam się, robiąc sobie w myśli zdjęcie, które miałam zapamiętać na zawsze.

Idąc na Spruce Street, skąd miał mnie zabrać Macon, wstąpiłam do Scarlett. Był to jeden z pierwszych sylwestrów, których nie spędzałyśmy razem; podjęłam decyzję, ale z niewiadomego powodu miałam z tego powodu poczucie winy.

– Weź to – powiedziała do mnie Scarlett, kiedy weszłam, i wetknęła mi coś do ręki.

Gdy opuściłam jedną z prezerwatyw, zza rogu wyszła Marion, paląc papierosa, z włosami na wałkach. Nic jednak nie zauważyła i poszła dalej, przestępując nad na wpół złożonym wózkiem dla dziecka – żadna z nas nie rozumiała instrukcji – a ja z bijącym sercem szybko schowałam zgubę.

– Chyba nie będę potrzebowała aż tylu – odpowiedziałam.

Scarlett dała mi co najmniej dziesięć, w niebieskich opakowaniach. Wyglądały jak miętówki, które w hotelach kładą ci na poduszce. Zobaczyłam, że Cameron siedzi przy stole w kuchni. Ciął na trójkąty i kwadraty płat ciasta z zamrażalnika. Scarlett ostatnio pochłaniała ciastka; zwykle nie czekała nawet, aż się upieką, zjadała je wprost z blachy.

– Weź wszystkie – zauważyła. – Lepiej się zabezpieczyć, niż potem żałować. Było to jedno z ulubionych powiedzeń mojej matki.

Gdy tam stałyśmy w kuchni, patrzyła na mnie tak, jakby chciała coś powiedzieć. Przysunęłam sobie krzesło i usiadłam.

– Dobra, wyrzuć to z siebie. O co chodzi?

– O nic. – Zakręciła obrotową tacą na stole.

Cameron przyglądał nam się nerwowo. Ostatnio miał zwyczaj nosić jedną rzecz, która nie była czarna – pomysł Scarlett – i tego dnia włożył niebieską koszulę, w której wyglądał zaskakująco pogodnie.

– Tylko... martwię się o ciebie – dodała.

– Dlaczego?

– Trudno powiedzieć. Wiem, co zamierzasz, i że twoim zdaniem to słuszne, ale...

– Proszę, nie rób mi tego – rzuciłam pospiesznie. – Nie teraz.

– Nic ci nie robię – odparła. – Chcę jedynie, żebyś była ostrożna.

Cameron wstał od stołu i podszedł do piecyka, trzymając w rękach ciasto. Był zarumieniony.

– Powiedziałaś, że będziesz mnie wspierać – rzekłam. – I że sama będę wiedziała, kiedy przyjdzie pora. – Najpierw moja matka, a teraz ona staje mi na drodze, żebym nie posunęła się za daleko.

Popatrzyła na mnie.

– Czy on cię kocha, Halley?

– Scarlett, daj spokój.

– Tak czy nie?

– Jasne, że tak. – Spojrzałam na pierścionek. Im więcej razy to mówiłam, tym bardziej się w tym utwierdzałam.

– Powiedział to? I mówi?

– Nie musi – odparłam. – Po prostu wiem.

Rozległ się brzęk, gdy Cameron upuścił blachę z ciastkami, podniósł ją i mamrocząc pod nosem, uderzył nią o piecyk.

– Halley. – Scarlett pokręciła głową. – Nie bądź głupia. Nie oddawaj czegoś cennego komuś, kto nawet nie potrafi powiedzieć, że cię kocha.

– Zamierzam to zrobić – rzuciłam głośno. – Nie mogę uwierzyć, że tak się zachowujesz po tym, co sobie powiedziałyśmy w ostatnich tygodniach. Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką.

Patrzyła na mnie twardym wzrokiem, z zaciśniętymi rękami.

– Jestem twoją najlepszą przyjaciółką, Halley – stwierdziła spokojnie. – I dlatego tak się zachowuję.

Nie mieściło mi się to w głowie. Po tych wszystkich rozmowach o tym, że powinnam sobie zaufać, bo będę wiedziała, kiedy przyjdzie pora, Scarlett przestała mnie wspierać.

– Jeszcze mi tego potrzeba – skwitowałam, wstając i odsuwając krzesło. – Muszę iść.

– Źle robisz. – Wstała razem ze mną. – I wiesz o tym.

– Źle? – spytałam i wiedziałam, że zaraz powiem coś okropnego, zanim jeszcze te słowa wyszły z moich ust. – Ale ty zrobiłaś dobrze? I jak na tym

wyszłaś?

Cofnęła się, jakbym uderzyła ją w twarz, i zrozumiałam, że przesadziłam. Cameron, stojąc przy kuchence, patrzył na mnie z taką samą miną, z jaką ja spoglądałam na Maryann Lister, Ginny Tabor i każdego innego, kto skrzywdził Scarlett.

Stałyśmy tak w milczeniu i patrzyłyśmy na siebie z obu stron kuchni, kiedy nagle zabrzmiał dzwonek u drzwi. Żadna z nas się nie poruszyła.

– Cześć. – Usłyszałam męski głos i zobaczyłam za Scarlett Steve’a, albo kogoś, kogo za niego uznałam.

Wszedł do kuchni. Transformacja była już całkowita. Miał na sobie naszyjnik z medalionem, wysokie buty, tunikę, spodnie z grubego płótna i coś w rodzaju peleryny. Do tego nosił przy boku miecz. Stał tam, obok stojaka z przyprawami, jak żywy anachronizm.

– Jest gotowa? – zagadnął. Jakby nie zauważył, że się na niego gapimy.

– Nie wiem – odpowiedziała łagodnie Scarlett i cofnęła się w stronę schodów. – Pójdę zobaczyć, dobrze?

– Super.

Wład i ja, ujawniwszy swoje prawdziwe oblicza, staliśmy tam, w kuchni Scarlett, u progu Nowego Roku. Scarlett na górze rozmawiała z Marion. Na stole przede mną leżała ciężowa biblia, otwarta na rozdziale *Szósty miesiąc*. Scarlett zaznaczyła na różowo kilka fragmentów, pisak leżał obok.

– Muszę iść – powiedziałam nagle. Wład, który poprawiał sobie miecz, spojrzął na mnie. – Cameron, pożegnaj Scarlett ode mnie, dobrze?

– Uhm – odparł powoli. – Jasne.

– Baw się dobrze! – zawołał za mną Wład, kiedy znalazłam się przy tylnych drzwiach. – Szczęśliwego Nowego Roku!

Byłam już w połowie drogi przez podwórko, kiedy się odwróciłam i spojrzałam na dom, górujące nade mną rozświetlone okna. Pragnęłam zobaczyć w jednym z nich Scarlett, jej rękę na szybie – to był nasz dawny tajemny szyfr. Ale daremnie, i zaczęłam się zastanawiać, czy nie wrócić. Jednak zrobiło się zimno i późno, więc poszłam dalej, w stronę Spruce Street, Macona w samochodzie stojącym na jałowym biegu przy skrzynce pocztowej i tego, co miało się zdarzyć.

Impreza odbywała się u chłopaka imieniem Ronnie, za miastem. Jechaliśmy różnymi krętymi drogami, mijając kilka przyczep i starych rozsypujących się szop, i wreszcie zatrzymaliśmy się przed niepozornym parterowym domem z czerwonej cegły, z niebieskim światłem na ganku. Wokół biegało parę rozszczekanych psów, a na podwórku i werandzie kręcili się ludzie, z których żadnego nie znałam.

Gdy tylko weszłam do środka, przechodząc obok beczki przy frontowych drzwiach, wyobraziłam sobie, co pomyślałaby moja matka. Na pewno zwróciłaby uwagę na to samo co ja: boazerie ze sklejk, pełne popielniczki i butelki piwa na

stoliku do kawy, żółto-brązowy kosmaty dywan, który sprawiał wrażenie mokrego, kiedy po nim przeszłam. Wnętrze zupełnie nie przypominało domu Ginny Tabor, w którym można sobie było wyobrazić prawdziwe życie, rodziców, obiady i Boże Narodzenie.

Na kanapie siedziało i piło kilka osób, a obok nich stał telewizor z zakłóceniami na ekranie. Muzyka zagłuszała wszystko i idąc za Maconem do kuchni, musiałam przestępować nad ludźmi siedzącymi na podłodze i opartymi o ściany.

Wyglądało na to, że Macon zna tam wszystkich; gdy przechodził obok nich, klepali go w ramię i wołali po imieniu nad moją głową. Nalał mi, a potem sobie piwa z beczki, podczas gdy ja starałam się jak najbardziej skulić, żeby zmieścić się w małej przestrzeni za nim.

Macon podał mi piwo i z nerwów od razu wypilałam prawie całe. Wyszczерzył się na to i dolał mi znowu, a potem dał znak, żebym poszła za nim korytarzem, w którym stał kosz na śmieci, pełen puszek piwa.

– Puk, puk – powiedział, wchodząc do sypialni.

Na łóżku siedzieli chłopak i dziewczyna, która przechylała się na bok. Pokój był mały i ciemny, oświetlony tylko jedną świecą stojącą na wezgłowie, wyposażony w półki i szafki jak sypialnia moich rodziców.

– Hej! – rzucił chłopak. Miał krótkie włosy i tatuaż na ramieniu. – Co słysząc, stary?

– Nic specjalnego. – Macon usiadł w nogach łóżka. – To jest Halley. Halley, to Ronnie.

– Cześć – powiedziałam.

– Witaj. – Ronnie miał zaspane oczy, sterczące ciemne włosy i niski, poważny głos.

Przesunął ręką po łóżku, dotykając nogi dziewczyny, która przestała szukać czegoś na podłodze i podniosła głowę.

– Zgubiłam ten cholerny kolczyk – odezwała się. Włosy zsunęły jej się na twarz i dostrzegłam tylko usta. – Spadł pod łóżko i nie mogę go znaleźć. – Usiadłszy prosto, spojrzała na mnie, a ja na nią. Elizabeth Gunderson. – Hej – powiedziała do Macona, machając włosami w typowy dla siebie sposób, który wydawał się tu zupełnie nie na miejscu. – Cześć, Halley.

– Cześć. – Wciąż się na nią gapiłam.

Miała na sobie za dużą bawełnianą koszulkę i szorty, w których na pewno tu nie przysłała. Nie traciła czasu.

Ronnie podniósł z podłogi czerwoną fajkę do palenia, którą podał Maconowi. Dopilałam piwo, żeby czymś się zająć, a Macon się zaciągnął.

– Ty też chcesz? – zapytał mnie Ronnie.

Poczułam na sobie wzrok Elizabeth, która zapaliła papierosa. Byłam

ciekawa, co pomyślałby jej ojciec, w ciuchach od Ralpa Laurena i z wypasionym bmw, gdyby ją teraz zobaczył. Zaczęłam się zastanawiać, co pomyślałby o mnie mój tata. Dałabym głowę, że się uśmiechnęła, przyglądając mi się w ciemności.

– Pewnie – odparłam. Szybko odsunęłam myśl o ojcu. Podałam Maconowi pustą szklankę i wzięłam fajkę, a następnie przytknęłam ją do ust, tak jak to widywałam na imprezach. On ją zapalił i zaciągnęłam się dymem, który wypełnił mi płuca. Wstrzymałam oddech aż do bólu, a potem odetchnęłam. – Dzięki – powiedziałam do Ronniego i oddałam mu fajkę, podczas gdy Macon położył mi rękę na plecach.

Był w błędzie. Potrafiłam się dopasować. Dopasowałam się wszędzie.

Po jakimś czasie Ronnie i Macon wyszli w jakiejś sprawie na zewnątrz i zostałam sama z Elizabeth. Przed wyjściem Macon dał mi piwo, którego wypiałam od razu połowę, bo nagle poczułam w ustach suchość. Nigdy wcześniej nie paliłam marihuany, więc nie bardzo wiedziałam, jak to jest. A nie miałam zamiaru pytać Elizabeth Gunderson, która, zanim straciłam rachubę, sztachnęła się ze trzy razy i teraz leżała w poprzek łóżka, oglądając sobie palce u stóp. Ja wciąż siedziałam sztywno, patrzyłam na dywan, który nagle wydał mi się fascynujący, i zastanawiałam się, dlaczego nigdy wcześniej tego nie próbowałam.

– To jak? – zapytała nagle, przewracając się na brzuch. – Kiedy Scarlett ma termin?

– W maju – odpowiedziałam i mój głos wydał mi się dziwny. – W drugim tygodniu czy coś takiego.

– To niewiarygodne, że urodzi dziecko Michaela – zauważyła. – Nie wiedziałam, że się ze sobą przespali.

Znowu zwilżyłam usta i pociągnęłam łyk piwa. Potem rozejrzałam się po pokoju. Spojrzałam na ręczniki wiszące w oknie zamiast zasłon, „Penthouse’a” leżącego u moich stóp, brudną kuwetę przy drzwiach. Nie widziałam żadnego kota.

Przypomniałam sobie, że rozmawiam z Elizabeth, więc wróciłam pamięcią do tego, o czym mówiłyśmy – co nie było łatwe – i odpowiedziałam:

– Nie przespali, tylko chodzili ze sobą całe lato.

– Naprawdę? – spytała. Jej głos nie brzmiał dziwnie. – Nie miałam pojęcia.

– Uhm. – Znowu napiłam się mojego cennego piwa, które stało się ciepłe i niesmaczne. – Byli w sobie zakochani.

– Nie miałam pojęcia – powtórzyła wolno. – Musieli bardzo się z tym kryć. Ostatniego lata dużo widywałam się z Michaelem i nigdy o niej nie wspomniał.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Miałam wrażenie, że wkroczyłyśmy na grząski grunt, więc zmieniłam temat. Scarlett nie pasowała do tego pokoju, do tego miejsca, tak samo jak moja matka.

– Więc Ronnie to twój chłopak?

Parsknęła śmiechem, jakby wiedziała coś, o czym ja nie wiedziałam.

– Mój chłopak? Nie. To po prostu... Ronnie.

– Aha.

– To śmieszne, że urodzi to dziecko – powiedziała, przywołując znowu Scarlett. – Zmarnuje sobie życie.

Patrzyłam na kuwetę, znowu zastanawiając się, gdzie jest kot.

– Nie, wcale nie. Ona tak chce.

– Hm. – Znowu usiadła, machając włosami, i wyjęła papierosa z paczki na wezglowiu. – Ja na jej miejscu raczej bym się zabiła, niż urodziła. Wiem, że to nie dla mnie.

W tej chwili stwierdziłam, że naprawdę nienawidzę Elizabeth Gunderson. Nagle wszystko zrozumiałam. Była wcieleniem zła. Żyła po to, żeby podkładać bomby i odpalać je przed odejściem, żeby wybuchły mi w twarz.

– Nie jesteś Scarlett – zwróciłam jej uwagę.

– Wiem. – Wstała z łóżka i schowała papierosy do kieszeni. – Dzięki Bogu, no nie? – Podeszła do drzwi, ocierając się o mnie, i stanęła w progu. – Idziesz?

– Nie – odparłam, patrząc za nią – chyba po prostu...

Ale ona już wyszła, zostawiając uchylone drzwi, przez które wpadało światło, i zostałam sama.

Przez jakiś czas siedziałam na łóżku; do pokoju dochodziła muzyka i głosy, chichot dziewczyn, trzaskanie drzwi. Straciłam poczucie czasu i miałam wrażenie, że upływają godziny, że ominęło mnie nadejście Nowego Roku, kiedy wreszcie do pokoju wślizgnął się Macon i zamknął za sobą drzwi na klucz.

– Hej – powiedział. W mroku widziałam tylko jego zęby, zbliżające się do mnie usta.

Pochyliłam się, bo chciałam dostrzec jego twarz. Kiedy się zbliżył, z ulgą zobaczyłam, że wygląda tak jak zawsze. Mój Macon. Mój chłopak. Mój.

– Która godzina?

– Nie wiem. – Spojrzał na zegarek, który świecił zielono w ciemności. – Wpół do dwunastej. A co?

– Tak się zastanawiałam. Gdzie byłeś?

– Pokręciłem się tu i tam. – Podał mi piwo, które było zimne i smaczne.

Nie pamiętałam, ile już wypiałam. Miałam nogi jak z waty, więc przytuliłam się do niego na łóżku, całując go w szyję, a on mnie objął. Kiedy zamknęłam oczy, świat zaczął wirować, ale Macon trzymał mnie mocno, sunąc dłonią po mojej nodze w stronę paska od dżinsów. Zaczęło się.

Całowałam go dalej, próbując się w tym zatracić, ale w pokoju było gorąco, duszno, a łóżko śmierdziało potem. W miarę jak posuwaliśmy się dalej, myślałam o tym, że nie tak to sobie wyobrażałam. Nie tutaj, w tym śmierdzącym łóżku, z zawrotami głowy, przy dźwięku spuszczonej wody w ubikacji za ścianą. Nie w pokoju z pełną kuwetą i „Penthouse'em” na podłodze, w miejscu, gdzie przed

chwilą leżała Elizabeth Gunderson.

Zaczęłam się denerwować, niepokoić i kiedy Macon rozpiął mi dzinsy, hałas dochodzący z łazienki stał się jeszcze głośniejszy, na zewnątrz jakaś dziewczyna zaczęła kasłać. Wtedy poczułam, że coś wbija mi się w gołe plecy, coś twardego i zimnego. Wzięłam to do ręki i nad głową Macona przysunęłam do przyćmionego światła. Był to kolczyk, złota łożka; należał do Elizabeth. Scarlett miała taką samą parę.

– Poczekaj – powiedziałam nagle do Macona.

Odepchnęłam go. Byliśmy już blisko i jęknął, gdy się spod niego wyslizgnęłam.

– Co? – zapytał. – Coś nie tak?

– Niedobrze mi – rzuciłam i mówiąc to, poczułam, że rzeczywiście tak jest. Pomyślałam o tych wszystkich piwach, które wypijałam, o marihuanie, o tym, że leżę w tym cuchnącym, przepoconym łóżku, o brudnej kuwecie. – Chyba muszę na świeże powietrze.

– Chodź. – Przesunął ręką po moich plecach, ale była zimna, nagle nieprzyjemna. – Połóż się. Chodź do mnie.

– Nie. – Odsunęłam się gwałtownie i wstałam, ale straciłam równowagę i wszystko zaczęło wirować. Oparłam się o drzwi i próbowałam przekręcić klucz w zamku. – Powinnam wrócić do domu.

– Do domu? – Powtórzył, jakby to było coś odrażającego. – Halley, jest jeszcze wcześniej. Nie możesz wrócić do domu.

Nie byłam w stanie otworzyć drzwi i nagle poczułam, że wszystko powoli się unosi.

– Muszę iść – powtórzyłam. – Zaraz zwymiotuję.

– Poczekaj. Uspokój się, dobrze? Chodź do mnie.

– Nie – odparłam i nagle zaczęłam płakać.

To dziwne miejsce mnie przerażało i nienawidziłam Macona za to, że mi to robi, nienawidziłam samej siebie, mojej matki i Scarlett za to, że miały rację, od początku. I wtedy to usłyszałam: głośnie odliczanie wstecz. Dziesięć, dziewięć, osiem. Było mi niedobrze, czułam się zagubiona, nie mogłam trafić do zamka. Zawartość żołądka podeszła mi do gardła i gorycz wypełniła usta, a wtedy drzwi wreszcie jakimś cudem ustąpiły; zaczęłam biec korytarzem, siedem, sześć, pięć, potracając stłoczonych w kuchni i salonie ludzi, którzy skandowali cyfry, wypadłam na zimne powietrze, pokonałam schodki, podjazd, cztery, trzy, dwa, i znalazłam się między drzewami. Wreszcie, gdy wybiła północ, nastał Nowy Rok i wszyscy wiwatowali, padłam na kolana i zwymiotowałam.

Rozdział 15

Przez pierwszą część drogi do domu w ogóle się do mnie nie odzywał, jakbym specjalnie się pochorowała. Kiedy odnalazł mnie między drzewami, byłam półprzytomna, pragnęłam umrzeć, miałam przyklejone liście do twarzy. Wsadził mnie do samochodu i szybko ruszył z podjazdu. Gdy znaleźliśmy się na głównej drodze, jeszcze przyspieszył, nie zwalniając na zakrętach.

Kuliłam się przy oknie, z zamkniętymi oczami, pełna obaw, że znowu się porzygam. Czułam się strasznie.

– Przepraszam – powiedziałam po jakichś dziesięciu kilometrach, kiedy ukazały się światła miasteczka. Gdy tylko pomyślałam o tamtej kuwecie i łóżku, przewracało mi się w żołądku. – Naprawdę.

– Zapomnij o tym – rzucił i wchodząc w zakręt, zmienił bieg. Silnik zaryczał.

– Chciałam – zapewniłam go. – Przysięgam, taki miałam zamiar. Ale za dużo wypięłam.

Nic nie odpowiedział, tylko z piskiem opon wjechał na drogę, która prowadziła do mojego domu, i dodał gazu.

– Macon, nie bądź taki – zaczęłam. – Proszę.

– Mówiłaś, że chcesz. Zapowiadałaś, że spędzisz ze mną sylwestra, dawałaś do zrozumienia, co to znaczy, a potem się rozmyśliłaś. – Dojeżdżaliśmy już do głównego skrzyżowania na moim przedmieściu, przed nami błyszczały zielone światła.

– To nie tak – zaprotestowałam.

– Chrzanisz. Tak naprawdę nigdy nie miałaś na to ochoty, Halley. Nie możesz się tak bawić.

– To wcale nie była zabawa – nie ustępowałam. – Naprawdę tego chciałam. Tylko nie było tak jak trzeba.

– Dla mnie było w porządku. – Zgasło zielone światło i zapaliło się żółte, ale on tylko przygazował i jechaliśmy coraz szybciej.

Obok przemknęło rzęsiście oświetlone centrum handlowe.

– Macon, zwolnij – poprosiłam, kiedy w pędzie zbliżyliśmy się do skrzyżowania.

Żółte światło przeszło w czerwone i już wiedziałam, że nie zwolnimy.

– Nic nie rozumiesz – powiedział Macon i jeszcze przyspieszył, tuż pod czerwonym światłem.

Przestraszona odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć.

– Jesteś taka...

Czekałam, co powie, jakim słowem mnie określi, gdy zobaczyłam na jego twarzy światła reflektorów, jaskrawożółte, coraz jaśniejsze, i spytałam jeszcze, co się dzieje, co jest nie tak. Pamiętam tylko to światło, ostre światło obejmujące moje ramiona i jasną przerażoną twarz Macona, kiedy coś dużego uderzyło głośno

w drzwi po mojej stronie, zasypując mnie szkłem, iskrami łąpiącymi blask jak brylanty, i zabierając mnie ze sobą w ciemność.

Rozdział 16

Pamiętam chłód. Wiatr wiał mi w twarz i było przeraźliwie zimno, lodowato. Pamiętam czerwone światła i czyjeś jęki. Płacz i wreszcie Macona, który trzymał mnie za rękę, mocno, i wreszcie to mówił, nie w tym miejscu i nie o tej porze, ale mówił. „Kocham cię. O Boże. Halley, przepraszam. Kocham cię. Jestem tu, trzymaj się. Jestem przy tobie”.

Kiedy przyjechało pogotowie, prosiłam tylko, żeby zawieźli mnie do domu: nic mi nie będzie, tylko zawieźcie mnie do domu. Wiedziałam, że to już blisko, znałam tę okolicę. Setki razy przejeżdżałam przez to skrzyżowanie; była to pierwsza większa droga, przez którą przeszłam samodzielnie.

Usiłowałam nie tracić kontaktu z Maconem, trzymać go za rękę albo widzieć jego twarz, ale straciłam go w drodze do szpitala.

– Musiał zostać na miejscu wypadku – spokojnym głosem powtarzała mi rudowłosa kobieta za każdym razem, gdy o niego pytałam. – Leż i spróbuj się odprężyć, kochanie. Jak się nazywasz?

– Halley – odpowiedziałam.

Nie miałam pojęcia, co mi jest. Bolała mnie noga i całkiem zapuchło mi jedno oko. Nie mogłam poruszyć palcami lewej ręki, ale nie czułam bólu. To było dziwne.

– Ładne imię – zauważyła, gdy ktoś wbił mi coś w ramię i pod wpływem ukłucia drgnęłam. – Bardzo ładne.

W szpitalu położono mnie na łóżku i nakryto prześcieradłem. Potem znalazłam się w centrum krzątaniny, dotykały mnie i chwytaly czyjeś ręce. Przyszedł ktoś, kto nachylił się do mojego ucha i zapytał o numer telefonu. Podałam numer Scarlett, bo nawet w tej sytuacji wiedziałam, jakie będę miała kłopoty z rodzicami.

Po jakimś czasie zjawiała się lekarka i powiedziała mi, że mam skręconą rękę w nadgarstku, rany szarpane na plecach, rozcięcie przy prawym oku, które zostało zszyte, i dwa stłuczone żebra. Ból lewej nogi był spowodowany stłuczeniem, a ponieważ doznałam uderzenia w głowę, chcieli zatrzymać mnie na noc. Wciąż powtarzała, że miałam mnóstwo szczęścia. Pytałam o Macona, gdzie jest, ale nie udzieliła mi odpowiedzi, mówiła tylko, żebym spróbowała zasnąć, odpocząć. Zapowiedziała, że wróci później, aby sprawdzić, jak się czuję. Ach, a przy okazji, na zewnątrz czeka moja siostra.

– Siostra? – spytałam, a kiedy rozsunęli zasłony i weszła Scarlett, wyglądała, jakby dopiero co zwlekła się z łóżka.

Włosy miała ściągnięte w kucyk, a na sobie długą flanelową koszulę, w której sypiała. Jej brzuch wydawał się większy niż kilka godzin wcześniej.

– O rany, Halley. – Zatrzymała się kilka kroków od łóżka i spojrzała na mnie. Była przestraszona, ale starała się tego nie okazywać. – Co się stało?

– To był wypadek – odparłam.

– A gdzie Macon? – zapytała.

– Nie wiem. – Nagle zebrało mi się na płacz i wszystko zaczęło mnie boleć.

– Nie ma go na zewnątrz?

– Nie – odpowiedziała i zacięła usta w wąską kreskę. – Nie widziałam go – rzuciła krótko.

– Musiał zostać na miejscu zdarzenia – wyjaśniłam. – Powiedział, że przyjedzie. Bardzo się martwił.

– I dobrze – burknęła. – O mało cię nie zabił.

Zamknęłam oczy i słyszałam tylko pikanie jakiegoś urządzenia w sąsiedniej sali. Brzmiało to jak dźwięk dzwonka w połowie schodów u babci Halley.

– Nie zrobiłam tego – odezwałam się po dłuższej chwili ciszy. – Gdybyś się zastanawiała.

– Nie myślałam o tym – odrzekła. – Ale się cieszę.

– Kiedy moi rodzice się dowiedzą, będzie po mnie – zauważyłam, ale stałam się tak senna, że trudno mi było nawet wypowiedzieć te słowa. – Nie pozwolą mi już nigdy się z nim zobaczyć.

– Jego tu nie ma, Halley – łagodnie zwróciła mi uwagę.

– Jest na miejscu wypadku – powtórzyłam.

– Od tego czasu minęło już półtorej godziny. W poczekalni był też policjant.

Rozmawiałam z nim. Macon sobie pojechał.

– Nie – sprzeciwiłam się, walcząc z sennością. – Już tu jedzie.

– Och, Halley – odparła z wielkim smutkiem. – Tak bardzo mi przykro.

Zaczęłam odpływać, pikanie stało się cichsze i zasnąłam.

Gdy się obudziłam, zobaczyłam mecz futbolu amerykańskiego na ekranie telewizora wysoko naprzeciwko mnie. Piłka przeleciała w powietrzu, rozgrywający wyciągnął rękę, złapał ją i zaczął biec z nią wśród zawodników w hełmach, a tłum za nim go dopingował. Dotarłszy do strefy końcowej, ściał piłkę, przybił piątkę z jednym z kolegów z drużyny, a gdy kamera zrobiła zbliżenie jego twarzy, wzniosł pięści nad głowę.

– Cześć – usłyszałam głos matki, odwróciłam się i zobaczyłam, że siedzi przy mnie, bardzo blisko. – Jak się czujesz?

– W porządku – odpowiedziałam.

Po drugiej stronie pokoju ujrzałam ojca, wciąż w badziewnej meksykańskiej koszulce, którą zawsze wkładał na sylwestra.

– Kiedy przyjechaliście?

– Niedawno. – Spojrzałam na zegar ścienny, gdy wyciągnęła rękę i odgarnęła mi włosy z twarzy, przesuwając palcami po bandażu na moim oku.

Było w pół do czwartej. Nad ranem? Po południu? Nie bardzo wiedziałam. – Halley, kochanie, naprawdę napędziłaś nam strachu.

– Przepraszam – odparłam, słowa przychodziły mi z trudem, czułam się strasznie zmęczona. – Zepsułam wam przyjęcie.

– O przyjęcie się nie martw – skwitowała. Także wyglądała na zmęczoną, miała ten sam smutny wyraz twarzy jak w tamtym tygodniu, gdy byliśmy u babci Halley. – Gdzie byłaś? Co się stało?

– Julie – odezwał się ojciec poważnym głosem, stając przy sąsiednim łóżku. – Daj jej odpocząć. To w tej chwili nieważne.

– Policjant powiedział, że byłaś z Maconem Faulknerem – ciągnęła jednak. Mówiła przerywanym głosem, jakby szła po nierównym terenie. – To prawda? To on cię na to naraził?

– Nie – odrzekłam i zaczęło do mnie wracać: zimno i tamto jaskrawe światło, spadające gwiazdy. Byłam tak wykończona, że zamknęłam oczy. – To był tylko...

– Wiedziałaś, wiedziałaś! – odparła. Wciąż trzymała mnie za rękę i uściśnęła ją mocno. – O Boże, nie możesz mnie posłuchać? Dlaczego nie bierzesz pod uwagę, że mogę mieć rację? Że wiem, co jest dla ciebie najlepsze. Ale ty zawsze musisz przekonać się na własnej skórze. I zobacz, co się stało, spójrz... – Mówiła coraz łagodniej, a może znowu przysnęłam. Trudno powiedzieć.

– Julie – powtórzył ojciec i obszedł łóżko, bo słyszałam jego zbliżające się kroki. – Julie, ona śpi. Nawet cię nie słyszy, kochanie.

– Obiecałaś, że nie będziesz się z nim widywać – ochryple szepnęła mi do ucha. – Obiecałaś.

– Daj spokój – powiedział ojciec. I powtórzył tak cicho, że ledwie usłyszałam. – Daj spokój.

Zasypiałam z płataniną myśli w głowie, które zlewały się z dochodzącymi do mnie dźwiękami. Ale nim całkiem straciłam świadomość, usłyszałam przy uchu jakiś głos, jej albo Macona – a może tylko mi się zdawało, może sama to sobie wymyśliłam. „Będę przy tobie” – powiedział, kiedy odpływałam w sen. „Będę”.

Rozdział 17

Styczeń był szary, nijaki i wyglądało na to, że się nie skończy. Nowy Rok spędziłam w szpitalu, wróciłam do domu cała obolała i przez następny tydzień leżałam w łóżku, patrząc przez okno na dom Scarlett i przelatujące w górze samoloty. Matka całkowicie przejęła kontrolę nad moim życiem, a ja się nie sprzeciwiałam.

Nie rozmawialiśmy o Maconie. Było wiadomo, że tamtej nocy przed wypadkiem coś przeżyłam, coś ważnego, ale ona o to nie pytała, a ja nic nie mówiłam. Zmieniała mi tylko opatrunki na ręce i oku, podawała lekarstwa i przynosiła posiłki na tacy. W cichym domu, z matką zawsze tak blisko, Macon stał się jak sen, coś mglistego, prawie nierzeczywistego. Nie mogłam go sobie nawet wyobrazić, to było zbyt bolesne.

On jednak próbował się ze mną kontaktować. Pierwszego wieczoru w domu słyszałam, że przyjechał i stoi z włączonym silnikiem przed znakiem stopu – to był nasz dawny sygnał. A ja leżałam, tylko patrzyłam w sufit i słuchałam. Odjechał po jakichś dziesięciu minutach, a gdy skręcał za róg, światła jego samochodu omiotły ściany pokoju, rozświetlając lustro, kawałek tapety i uśmiechniętą twarz Scarlett O'Hara. Potem zatrąbił, dając mi ostatnią szansę, ale ja zwróciłam twarz w stronę nocnego nieba i zamknęłam oczy.

Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Tamta noc stanowiła zatarte wspomnienie, począwszy od kłótni ze Scarlett, aż po wrażenie zimna, okropnego zimna na poboczu drogi. Byłam zła i urażona, czułam się głupio z powodu tego, co sobie wyobrażałam, a także dlatego, że zwróciłam się nawet przeciwko Scarlett, najważniejszej dla mnie osobie, kiedy próbowała powiedzieć mi prawdę.

Czasami, gdy leżałam w łóżku, szukałam na palcu pierścienka, który mi podarował; zapomniałam jednak, że musieli go rozciąć na pogotowiu. Leżał na moim biurku, w plastikowej torebce, obok miski ze słodyczami, których nie tknęłam. Macon okazał się inny, niż sądziłam. Może od początku był taki. Ja także byłam inna, niż myślałam.

Oczywiście niektórzy z nas wyrobili sobie własne zdanie.

– Zachował się jak dupek – oznajmiła Scarlett po upływie pierwszego tygodnia, kiedy siedziałyśmy przy kuchennym stole i jadłyśmy winogrona. Nigdy nie wracałyśmy do naszej kłótni w sylwestra; obie nas to krępowało. – A dziś w szkole wciąż o ciebie pytał. Nie chciał dać mi spokoju. Jakby nie mógł po prostu do ciebie przyjść.

– Przyjechał zeszłego wieczoru – wyjaśniłam. – Siedział w samochodzie, jakby czekał, że do niego wyjdę.

– Gdyby mu choć trochę zależało, klęczałby pod twoimi drzwiami i błagał

o przebaczenie. – Skrzywiła się i zmieniła pozycję na krześle. Była już naprawdę duża; nie mogła już przysunąć się do stołu i chodziła jak kaczka, bo nie dało się tego inaczej określić. – Jestem tak naładowana hormonami, że mogłabym go zabić gołymi rękami.

Nic na to nie powiedziałam. Serce nie sługa, nie można niczego mu nakazać.

Wieczorem kilka dni później coś uderzyło w okno mojego pokoju. Leżałam w łóżku i nasłuchiwałam stukotu kamyków o szybę, aż w końcu podeszłam do okna i wystawiłam głowę. Ledwie widziałam Macona w mroku na podwórku, ale wiedziałam, że tam jest.

– Halley! – zawołał cicho. – Wyjdź. Muszę z tobą porozmawiać.

Nic nie odpowiedziałam. Patrzyłam w okno rodziców, czekając, żeby zapaliło się w nim światło i niemal na to liczyłam.

– Chodź – poprosił. – Tylko na chwilkę. Okej?

Zamknęłam okno, zesłam po tylnych schodach i nawet lekko trzasnęłam siatkowymi drzwiami, zamykając je za sobą. Nie dbałam już o ostrożność.

Stał na bocznym podwórku, przy jałowcach, i kiedy wyłoniłam się zza rogu, wyszedł z cienia i zbliżył się do mnie.

– Cześć – powiedział.

– Cześć – odparłam.

Cisza.

– Jak się czujesz? – zapytał. – Co z twoją ręką?

– Lepiej.

Czekał, żebym powiedziała coś więcej. Ale ja milczałam.

– Posłuchaj – zaczął – wiem, że jesteś na mnie wściekła za to, że nie przyjechałem do szpitala, ale miałem powód. Twój rodzice byli wystarczająco zmartwieni, żebym jeszcze miał im wchodzić w drogę. Poza tym musiałem zadzwonić po pomoc drogową, bo wóz był skasowany i...

Gdy mówił, patrzyłam mu w twarz, zastanawiając się, dlaczego kiedyś wydawał mi się taki niezwykły. Zafascynował mnie tym, co mi pokazywał, ale to były tylko sztuczki zręcznościowe, jak wyciągnięcie królika z kapelusza. Każdy to umie, jeśli się nauczy. To nic specjalnego.

A on wciąż mówił i mówił:

– ...i przyjeżdżałem przez cały tydzień, żeby ci wytłumaczyć, ale nie chciałaś wyjść, a ja nie mogłem zadzwonić...

– Macon. – Podniosłam rękę. – Przestań, dobrze?

Wyglądał na zaskoczonego.

– Nie chciałem zrobić ci krzywdy – powiedział. Nie wiedziałam, jaką krzywdę ma na myśli. – Tylko mnie poniosło. Ale przepraszam cię, Halley. Wynagrodzę ci to. Potrzebuję cię. Od tamtego czasu nie mogę się pozbierać.

– Tak? – rzuciłam, nie wierząc w ani jedno słowo.

– Tak – odparł cicho. Objął mnie i przyciągnął, urażając moje potłuczone żebra i znowu sprawiając mi ból. – Wariuję bez ciebie.

Cofnęłam się i założyłam ręce na piersi.

– Nie mogę się z tobą widywać – powiedziałam.

Zamrugął, zastanawiając się nad tym.

– Twoim rodzicom z czasem przejdzie – rzucił od niechcienia i zrozumiałam, że mówił to już wiele razy. Wszystko, każde słowo, które brałam do serca, mówił setki razy setkom innych dziewczyn pod oknami ich pokoi, na podwórkach, w bocznych uliczkach i na tylnych siedzeniach samochodów, w ciemnych pokojach na imprezach, za zamkniętymi na klucz drzwiami.

– Nie chodzi o moich rodziców – odparłam. – Chodzi o mnie.

– Halley, daj spokój. – Wtulił głowę w ramiona z miną winowajcy, jak wiele razy na wuefie. – Wyjdziemy z tego.

– Nie sądzę – odpowiedziałam.

W czasie tych wszystkich szarych styczniowych dni rozumiałam bowiem, że zasługuję na coś lepszego. Zasługiwałam na wyznania miłości, owoce kiwi, kwiaty i przychodzących po mnie zakochanych wojowników. Zasługiwałam na zdjęcia mojej twarzy z najrozmaitszymi minami i ciepło kopiącej nóżki dziecka pod dłonią. Zasługiwałam na to, żeby dojrzewać, zmieniać się, stawać się tymi wszystkimi kobietami, którymi mogłam być w ciągu mojego życia i z których każda byłaby lepsza od poprzedniej.

– Halley, poczekaj! – zawołał za mną, gdy się cofnęłam. – Nie odchodź.

Ale ja już zniknęłam, demonstrując własną magiczną sztuczkę.

Nie zauważyłam jej w pierwszej chwili, kiedy weszłam do środka i zamknęłam drzwi za sobą. Dopiero gdy odwróciłam się w ciemności, korytarz nagle zalało światło. Matka stała w szlafroku z ręką na włączniku.

– A więc to tak – powiedziała, kiedy zamrugałam powiekami. – Widzę, że jest jak dawniej.

– Co?

– Czy to nie był nasz znajomy Macon? – zapytała gniewnie. – Czy on kiedykolwiek przychodzi za dnia? Czy działa tylko pod osłoną ciemności?

– Mamo, nie rozumiesz. – Zamierzałam jej powiedzieć, że już go nie ma, może nawet przyznać, że miała rację.

– Rozumiem, że nic ci nie przemawia do rozumu, nawet to, że ten chłopak omal cię nie zabił. Nie mieści mi się w głowie, że wysłaś do niego po tym wszystkim, jakby nic się nie zmieniło. Po tym, co zrobił.

– Musiałam z nim porozmawiać – odparłam. – Musiałam...

– Nie wracałyśmy do tego tematu, bo byłaś po wypadku, ale na coś takiego nie pozwolę. Rozumiesz? Jeśli ty nie masz dość rozumu, żeby trzymać się z daleka od tego chłopaka, ja cię przed nim ochronię.

– Mamo. – Nie mogłam uwierzyć, że znowu mi to robi. Odbiera mi tę chwilę, ten moment, kiedy wykazałam tyle siły.

– Zrobię wszystko, co będzie trzeba – oświadczyła cicho i spokojnie. – Jeśli będę musiała przenieść cię do innej szkoły, trudno. Nawet gdybym miała chodzić za tobą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie będziesz się z nim widywać, Halley. Nie pozwolę, żebyś zniszczyła samą siebie.

– Dlaczego zakładasz, że do niego wrócę? – zapytałam, kiedy zaczerpnęła powietrza, żeby perorować dalej. – Dlaczego po prostu nie spytasz, co mu przez chwilę powiedziałam?

Zbita z tropu, zamknęła usta.

– Słucham?

– Dlaczego, zanim wyciągniesz fałszywe wnioski, nie zaczekasz chwilę, żeby się dowiedzieć, co takiego myślę i co zamierzam? Nigdy nie dajesz mi szansy.

– Owszem, daję – odpowiedziała z godnością.

– Nie. Nieprawda. A potem zachodzisz w głowę, dlaczego nic ci nie mówię, nie zwieram ci się ze swoich problemów. Nie mogę podzielić się z tobą niczym i niczego ci powierzyć, bo ty od razu zagarniasz to dla siebie.

– Wcale nie – odparła, ale powoli zaczęło do niej docierać, widziałam to. – Halley, ty nie zawsze wiesz, jaka jest stawka, a ja tak.

– Nigdy niczego się nie nauczę, jeśli mi na to nie pozwolisz – powiedziałam wolno.

I tak stałyśmy w kuchni, matka i ja, patrząc na siebie nad tym wszystkim, co narosło między nami od czerwca, kiedy to byłam gotowa dobrowolnie powierzyć jej samą siebie. Teraz chciałam, żeby oddała mi to z wiarą, że poradzę sobie sama.

– Dobrze – odezwała się wreszcie. Przesunęła palcami po włosach. – W porządku.

– Dziękuję – odpowiedziałam, kiedy wyłączyła światło i ruszyłyśmy razem po schodach.

Jej kroki stanowiły echo moich. Musiałyśmy oswoić się z umową, którą właśnie zawarłyśmy. To było niczym nauka czegoś nowego, instynktownego, jak chodzenie czy mówienie. Zmiana czegoś, czego już się człowiek nauczył i do czego sam doszedł.

Kiedy dotarłyśmy do szczytu schodów, żeby rozejść się każda w swoją stronę, matka się zatrzymała.

– Więc co mu powiedziałaś? – spytała łagodnie.

Na zewnątrz, po drugiej stronie ulicy, widziałam światło w kuchni Scarlett, żółtą plamę w ciemności.

– Że nie jest taki, jak myślałam – odparłam. – Że się na nim zawiodłam i nie mogę się z nim spotykać. I pożegnałam się z nim.

Wiedziałałam, że chciałyby jeszcze o wiele zapytać i wiele powiedzieć, ale

tylko pokiwała głową. Musiałyśmy uczyć się tego powoli, ustanawiając reguły zależnie od sytuacji. Przed nami leżała niezbadana kraina, tak szeroka jak Wielki Kanion i daleka jak kometa Halleya.

– To dobrze – odrzekła po prostu. Potem poszła do swojego pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Nie możesz przewidzieć chwili, kiedy wszystko wskoczy na dawne tory, jak nie możesz przewidzieć momentu, w którym się zgubisz. Ale stojąc tam sama na podeście schodów, pomyślałam o babci Halley i o tym, jak przytuliła mnie do siebie, gdy razem spoglądałyśmy w niebo. Myślałam, że już sobie tego nie przypomnę, ale wtedy zamknęłam oczy i nagle ujrzałam wreszcie kometa Halleya, jasną i niesamowitą, przecinającą w górze niebo nade mną.

Część III

Grace

Rozdział 18

– Och, kochanie, wyglądasz pięknie! Brian, przyjdź tu z aparatem, musisz to zobaczyć. Halley, stań tam. Nie... tam, żebyś miała za sobą okno. A może...

– Mamo – jęknęłam. Sięgnęłam za siebie, do metki, która drapała mnie po szyi od chwili, gdy włożyłam tę przeklętą sukienkę. – Proszę. Nie teraz, dobrze?

– Ale musimy zrobić zdjęcia – odparła, dając mi znak, żebym zbliżyła się do rośliny doniczkowej w kącie kuchni. – Tobie samej i z Noah, kiedy przyjdzie.

Noah. Za każdym razem, kiedy słyszałam jego imię, nie mogłam się nadziwić, że dałam się w to wrobić. Nie tylko w bal i badziwną kieckę z metką, która doprowadzała mnie do szału, ale we wszystko razem: bal w sukience z metką w towarzystwie Noah Vaughna. Nie mogło być gorzej.

– Ojej – powiedziała matka, patrząc nad moim ramieniem i podnosząc rękę do ust. Wyglądała, jakby się miała zaraz rozplakać. – Tylko spójrz!

Odwróciłam się i zobaczyłam Scarlett, taką, jaką ją widziałam na górze zaledwie kilka minut wcześniej, tyle że może jeszcze większą, jeśli to w ogóle możliwe. Była w dziewiątym miesiącu, miała wystający brzuch, który stanowił pierwszą rzecz, jaką się widziało, gdy wchodziła do pokoju. Sukienkę specjalnie uszyła jej matka Cameron, krawcowa, która tak się cieszyła, że Cameron idzie na bal, że siedziała nad nią wiele godzin, a nawet dni. Była to idealna sukienka ciążowa na bal, czarno-biała, długa do kolan, z dekoltem w kształcie łezki, który ukazywał piękny dekolt Scarlett, i wysokim stanem w stylu empire. Scarlett wyglądała w niej pięknie, nawet jeśli dość potężnie. Ale to uśmiech na jej twarzy, szeroki i dumny, stanowił o jej urodzie.

– Ta-dam! – zawołała, wskazując na siebie i opuszczając ręce, jakby była nagrodą w jakimś konkursie. – Szał, no nie?

Stała tam, uśmiechając się do mnie, i musiałam odpowiedzieć tym samym. Odkąd postanowiłyśmy, że pójdziemy na bal i spełnimy swoje marzenia rodem z „Seventeen”, wszystko było jakieś nienormalne. Ale już od jakiegoś czasu nie było normalnie, ani trochę.

Od stycznia coś się zmieniło. Nieznacznie, w sposób trudny do zauważenia, ale wyczuwalny. Matka gryzła się w język, choć wiedziałam, że aż ją korci, żeby wyrazić swoją opinię, zdominować rozmowę – zachować się jak to ona. Zaczerpywała tchu i już dobierała słowa, po czym się zatrzymywała, wypuszczała powietrze i patrzyła na mnie surowo, bo coś między nami się działo, coś niezauważalnego dla całej reszty świata. Wycofywała się i skupiała na czymś innym, jak sprzedaż domu babci Halley, odwiedziny u niej, nowa książka, o sobie znowu w roli córki. I może o mnie. A może nie.

Jeśli chodzi o Macona, od tamtego wieczoru na podwórku niewiele z nim

rozmawiałam. Pokazywał się w szkole jeszcze rzadziej, a jeśli już, starałam się go unikać. Wciąż jednak na jego widok cierpiałam, tak jak codziennie rano czułam rwanie w nadgarstku czy ucisk w żebrach, kiedy leżałam w określonej pozycji. W marcu, gdy się dowiedziałam, że matka wyrzuciła go z domu, zaczęłam się martwić. W połowie kwietnia, kiedy dotarła do mnie wiadomość, że chodzi z Elizabeth Gunderson, płakałam przez całe dwa dni.

Starałam się skoncentrować na czymś ważniejszym: na dziecku. Zobaczyłam je, małe i ledwie rozpoznawalne, kiedy w szóstym miesiącu robiłyśmy USG. Miało rączki i nóżki, nosek i oczka. Lekarka zidentyfikowała płęć, ale Scarlett nie chciała tego wiedzieć; wołała mieć niespodziankę.

Zorganizowałyśmy u mnie w domu przyjęcie z okazji bliskich urodzin dziecka; zaprosiłyśmy Camerona i jego matkę, dziewczyny z Grupy Wsparcia Nastoletnich Matek i nawet Ginny Tabor, która kupiła wielką wypchaną żółtą kaczkę, kwaczącą przy naciśnięciu. Ale coś było z tą zabawką nie tak, bo kwakała, kiedy tylko brało się ją do ręki, i nie chciała się zamknąć, dopóki nie odkręciło się jej głowy – takie wyjście niestety nie wchodziło w grę z Ginny. Mama Camerona uszyła śliczną wyprawkę, a moi rodzice podarowali Scarlett dziesięć kuponów na opiekę nad dzieckiem w razie, gdyby chciała zrobić sobie przerwę. Ja z kolei zamówiłam dużą odbitkę zdjęcia mnie i Scarlett siedzących u niej na schodach ganku: Scarlett trzymała ręce na swoim wielkim brzuchu i opierała głowę na moim ramieniu. Zostało oprawione w ramkę i Scarlett od razu powiesiła je nad dziecięcym łóżeczkiem, żeby jej maleństwo codziennie na nie patrzyło.

– Nasza trójka – powiedziała, a ja kiwnęłam głową.

A potem już tylko czekałyśmy, krążąc w strefie oczekiwania jak samolot, podczas gdy termin rozwiązania był coraz bliższy.

Planowałyśmy. Kupiłyśmy książeczkę z imionami dla dzieci i sporządzałyśmy listy tych, które nam się podobały; musiało być proste, nie kojarzyć się z kimś innym jak imię Scarlett, ani nie wymagać objaśnienia jak moje. Obie wiedziałyśmy, że imię jest ważne.

Jeździłyśmy do szkoły rodzenia i siedziałam w długim rzędzie ojców z jej głową na kolanach. Byłyśmy tam najmłodsze. Oddychałyśmy i parłyśmy, a ja wmawiałam sobie, że dam radę, gdy się zacnie. Scarlett była przestraszona i zmęczona tym całym wdychaniem i wydychaniem, ale ja zawsze kiwałam głową, udając pewność i spokój.

No i Marion dojrzała. Do początków marca, mniej więcej do szóstego miesiąca, obstawała przy oddaniu dziecka do adopcji, ale któregoś dnia zastałam ją w pokoju dziecięcym. Do środka ukosem wpadało światło słoneczne, ciepłe i jasne, odbijając się od żółtych ścian i konstelacji gwiazdnych, które Cameron namalował na suficie. Wszystko było gotowe: ubranka złożone w szufladach, łóżeczko i stolik do przewijania na miejscu, wózek wreszcie poskładany (z pomocą sąsiada, który

był inżynierem i jako jedyny potrafił zrozumieć instrukcję obsługi). Marion stała z rękami splecionymi na piersi i uśmiechem na twarzy. Wtedy zrozumiałam. Że nie będzie kwestii adopcji. Oczywiście, kiedy mnie zobaczyła, odwróciła się i ściągnęła brwi, mamrocząc coś o oparach farby, a potem szybko wyszła. Ale to cała Marion. Znałam ją i wiedziałam, czego byłam świadkiem.

I wreszcie odprowadziłam Scarlett do skrzynki pocztowej, żeby wrzucić list, który pisałyśmy i poprawiałyśmy przez te wszystkie miesiące. Zaczynał się: „Droga Pani Sherwood! Nie zna mnie Pani, ale chcę Pani coś powiedzieć”. Wsunęła go do szczeliny, klapka szczęknęła i nie było odwrotu. Jeśli dostaniemy odpowiedź, to dobrze. Jeśli nie, dziecko będzie miało wystarczająco dużo miłości, żeby iść w życie.

A teraz dwunastego maja wybierałyśmy się na bal. Robiłam to dla Scarlett; było to dla niej ważne. Kiedy Cameron poprosił, żeby mu towarzyszyła, nie miałam wyboru, też musiałam iść. I wylądowałam w parze z Noah Vaughnem.

Właściwie to była sprawka mojej matki. Wspomniała o balu w piątkowy wieczór, kiedy byli u nas Vaughnowie, a wtedy pani Vaughn się rozpromieniła i poszło jak lawina. „Oczywiście mówię Halley, że powinna iść – tokowała matka. – To przecież bal”. „Noah, nie mogę uwierzyć, że nic mi o tym nie mówiłeś” – zdumiała się pani Vaughn. „Idzie najlepsza przyjaciółka Halley, znasz Scarlett, ale Halley nie ma partnera...” – zaczęła matka i wtedy zdałam sobie sprawę, na co się zanosi, do czego to doprowadzi. Noah gapił się na mnie zza stołu, a ojciec chichotał nad talerzem. „Noah także nie ma osoby towarzyszącej – podjęła pani Vaughn – więc dlaczego wy dwoje nie mielibyście...”. Wówczas moja matka, która już się czegoś nauczyła, spojrzała na mnie poprzez stół, zorientowała się poniewczasie i rzuciła szybko: „Ale Halley może mieć plany na ten weekend”, jednak oczywiście było już za późno, o wiele za późno, bo pani Vaughn już z podnieceniem klasnęła i uśmiechnęła się szeroko, a matka usiłowała mnie nakłonić, żebym na nią spojrzała, ale ja nie chciałam. Widziałam tylko Noah, po drugiej stronie stołu, jedzącego pizzę, z serem na brodzie.

Naturalnie Scarlett nie mogła się nacieszyć. Wyciągnęła mnie na zakupy i uparła się, żebyśmy wyszykowały się razem. Zgodziłam się, starając się nie marudzić, bo wiedziałam, że dla niej to koniec pewnego etapu, że potem przyjdzie na świat dziecko i wszystko się zmieni.

– Uśmiech! – zawołała matka, cofając się w kuchni z aparatem fotograficznym, na którym błyskała czerwona dioda. Ojciec, oparty o drzwi kuchenne, robił do mnie miny. – Och, obie wyglądacie wspaniale. Tak szykownie!

Scarlett objęła mnie i przyciągnęła do siebie, żebyśmy zmieściły się w kadrze. Zobaczyłam czerwone pasma w jej włosach, promienny uśmiech i piegi na nosie.

– Dobrze! – Matka była już pod ścianą i przykucnęła. – A teraz powiedzcie:

„Bal!”.

– Bal! – wykrzyknęła Scarlett wciąż z uśmiechem.

– Bal – powtórzyłam ciszej, patrząc na nią, nie w obiektyw, i wtedy błysnął flesz.

Zorientowałam się, że Noah jest pijany, już w chwili, gdy z bukietem kwiatów przeszedł przez salon.

– Cześć! – powiedział. Podszedł bliżej i wyciągnął rękę w stronę gorsu mojej sukni. Miał gorący, słodki oddech. – Nie ruszaj się.

– Ja go przypnę – odparłam pospiesznie i wzięłam od niego bukiet, zanim mnie zakłuł na śmierć.

Pani Vaughn, która najwyraźniej ostatnio nie zbliżała się do niego, i moja matka, która wręcz pękała z dumy, patrzyły na nas z drugiej strony pokoju. Obok Cameron uważnie przypinał łososiowe różyczki do obfitego dekoltu Scarlett. Był bardzo drobny i elegancki w swoim smokingu, szerokim pasie i skarpetkach w kolorze żurawinowym. Jak zauważyła moja matka, wyglądał po europejsku, zwłaszcza w porównaniu z Noah, który miał na sobie wypożyczony smoking, za krótkie spodnie i wyzierające spod nich sportowe skarpetki. Przypięłam sobie bukiet, z pośpiechu omal się nie kalecząc, i ustawiłam się do następnej kolejki zdjęć.

– Cudownie! – orzekła pani Vaughn, obchodząc nas z kamerą wideo, podczas gdy Noah ukradkiem objął mnie w pasie. Alkohol wyraźnie dodał mu odwagi. – Halley, uśmiechnij się!

– I jeszcze jedno – powiedziała matka, zużywając kolejną rolkę filmu, klatka po klatce. – Będziecie mieli wspaniały wieczór!

Była też Marion z jednorazowym aparatem i fotografowała Scarlett. Tego wieczoru wybierała się z Władem na turniej rycerski, miała na sobie długą aksamitną suknię z bufiastymi rękawami, w której wyglądała jak Ginewra, a może Śpiąca Królewna. Powoli wciągnęło ją weekendowe hobby Steve’a, najwyraźniej jej się spodobało. Brała udział w turniejach i piła miód. Scarlett wprawiało to w zażenowanie, ale Marion twierdziła, że miło jest od czasu do czasu stać się kimś innym.

– Scarlett! – zawołała, machając ręką nad głową. – Tu, kotku. Doskonale. Doskonale!

Kiedy już utrwalono nasze kreacje i nas samych, w końcu wyszliśmy z domu i wsiedliśmy do limuzyny wypożyczonej z hotelu, w którym pracował ojciec Camerona. Cameron, mimo swoich dziwactw, wiedział, jak zorganizować wieczór. Nie mogłam powiedzieć tego samego o moim towarzyszu.

– Gdzie jest barek? – wybełkotał Noah, kiedy tylko zatrzasnęliśmy drzwi i odjechaliśmy. – W takim wypasionym samochodzie powinien być barek.

Scarlett przyglądała mu się uważnie, wyglądając suknię.

– Jest na bani – wyjaśniłam. – Nie zwracaj na niego uwagi.
– Wcale nie – odparł z oburzeniem Noah. Tego wieczoru powiedział już więcej niż w ciągu półtora roku, odkąd ze sobą zerwaliśmy. – Ale tu powinien być barek.

– Na pewno go wyjęli – zauważył spokojnie Cameron. – Przykro mi.
– Niepotrzebnie. – Scarlett uściśniła go za ramię. – To nie ma znaczenia.
– I tak go nie potrzebuję – oświadczył głośno Noah i wyjął z wewnętrznej kieszeni smokingu plastikowy pojemnik na sok. – Na wszelki wypadek się zaopatrzyłem.

Tylko spojrzała na niego.

– Noah – jęknęłam. – Proszę.
– O matko – powiedziała Scarlett, gdy odkręcił pojemnik i pociągnął z niego łyk, zalewając sobie koszulę. – To się nazywa klasa.

– Mnie pasuje – odciął się Noah.

Schował pojemnik z powrotem do kieszeni, otarł usta i objął mnie ramieniem, które od razu straciłam.

Gdy dojechaliśmy na bal, był już kompletnie zalany. Limuzyna zawiozła nas na parking przed stołówką i ruszyłam do wejścia, zostawiając go za sobą. On tymczasem wypił do końca alkohol, rzucił pojemnik na chodnik i wyciągnął rękę, żeby mnie zatrzymać; ale złapał za suknię i rozerwał ją w pasie. Poczułam na tyłku i nogach chłód, więc się zatrzymałam.

– Ojej – rzucił, kiedy się odwróciłam. Chichocząc, trzymał w ręce coś białego i lśniącego, co jeszcze niedawno stanowiło część mojej sukni. – Przepraszam.

– Ty palancie – warknęłam, sięgając ręką do tyłu, żeby zebrać materiał i jakoś się okryć.

Nie dość, że przyjechałam na bal z Noah Vaughnem, to jeszcze byłam półnaga. Jedna wielka kompromitacja.

– Co tam, Halley?! – zawołała Scarlett z głównego wejścia do stołówki. Przy stoliku, patrząc na mnie, siedziała Melissa Ringley, szefowa komitetu organizacyjnego balu. – Pospiesz się!

– Wejdźcie beze mnie! – odkrzyknęłam. – Zaraz przyjdę!

– Na pewno?!

– Tak.

Wzruszyła ramionami i podała Melissie bilety, po czym zniknęła z Cameronem w stołówce. Przy dźwiękach dochodzącej stamtąd głośnej muzyki mijali mnie nowi goście, zmierzający do wejścia. Wycofałam się w cień laboratorium naukowego, żeby zająć się suknią.

– Pomogę ci – zaoferował Noah, chwiejąc się za mną na nogach.

– Nie możesz mi pomóc – odpowiedziałam. – Rozumiesz?

– Nie bądź taka wredna – burknął i z uporem wyciągnął rękę ku sukni, muskając palcami moją skórę. – Wiesz, bardzo się zmieniłaś od czasu, kiedy ze sobą chodziliśmy.

– Skoro tak twierdzisz, Noah. – Rozpaczliwie potrzebowałam agrałki. Nie mogłam wejść do środka, świecąc gołym tyłkiem, nawet dla Scarlett.

– Kiedyś byłaś miła i w ogóle – ciągnął – ale potem zaczęło ci się wydawać, że jesteś strasznie wyluzowana, bo zadajesz się z Maconem Faulknerem i tak dalej. Nagle zaczęłaś patrzeć na wszystkich z góry.

– Noah, zamknij się – warknęłam.

– To ty się zamknij! – odciął się głośno.

Spojrzały na nas dwie dziewczyny w białych sukienkach i szpilkach. Staraly się rozpoznać nas w ciemnościach.

Zignorowałam go, ponownie próbując dosięgnąć tyłu sukni, ale nagle znalazł się przede mną i gdy odwróciłam głowę, chuchnął mi w twarz. Nie zwróciłam uwagi, że jest już taki wysoki. Objął mnie w pasie i wsunął mi rękę pod sukienkę w miejscu rozdarcia, dotykając moich majtek. Spojrzałam na niego osłupiała, patrząc, jak zbliża twarz do mojej twarzy, z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami, z których wysuwa się język...

– Odwal się ode mnie! – powiedziałam głośno i go odepchnęłam.

Zatoczył się, potknął o ścięty pień drzewa i wylądował na chodniku w chwili, gdy przechodziła kolejna grupa ludzi. Nie przejmując się już sukienką ani całym wieczorem, oparłam się o mur, próbując zniknąć.

– Oj! – Chłopak z przechodzącej grupy pochylił się nad Noah, który wciąż leżał na ziemi. – Wszystko w porządku, koleś?

– To taka... taka... – bełkotał.

Wstał i próbował obejść róg budynku, mamrocząc do siebie. Chłopak i jego dziewczyna odprowadzili go wzrokiem, potem zaśmiali się nerwowo i ruszyli przez dziedziniec w stronę Melissy Ringley i stołówki. Zostałam sama.

Myślałam o tym, żeby wrócić do domu. Miałam pieniądze, mogłam złapać taksówkę albo zadzwonić po ojca i darować sobie ten wieczór. Ale wiedziałam, że Scarlett będzie się niepokoić, więc zebrałam tył sukni i poszłam jej powiedzieć, co zamierzam.

Znalazłam ją na parkiecie z Cameronem. Nie mogli tańczyć blisko siebie, ze względu na jej brzuch, ale robili, co mogli. Wokół nich przesuwały się te wszystkie nieskazitelne dziewczyny z upiętymi włosami i umalowanymi ustami, na wysokich obcasach, z partnerami w czarnych smokingach i eleganckich butach. Ginny Tabor i Brett Hershey, całujący się przy stole z ponczem, mieli na głowach korony królowej i króla balu. A Regina Little, jedna z najgrubszych dziewczyn w szkole, w obszernej białej sukience, tańczyła z co najmniej trzydziestoletnim facetem w mundurze wojskowym. Wreszcie w kącie dostrzegłam Elizabeth Gunderson

i Macona. Nie tańczyli, nie uśmiechali się ani nawet nie rozmawiali, tylko stali i gapili się na tłum, tak jak ja.

Macon mnie zauważył i wtedy po raz pierwszy od długiego czasu poczułam taki zawrót głowy jak wtedy na tamie. Wyglądał dobrze, uśmiechnął się do mnie i pomyślałam, że w tej rozpaczliwej chwili, gdy byłam sama na balu, mógłby mnie stąd zabrać.

Nagle poczułam, że za dużo tego dla mnie. Bal, Michael, moja matka, dziecko. Macon i dom Ronniego, tamta noc w samochodzie, szkło sypiące mi się na głowę. Elizabeth Gunderson i jej przebiegły uśmiech, chłód lasu, gdy pochorowałam się w sylwestra, dłoń babci Halley, szczupła i ciepła. I wreszcie Noah, podchodzący do mnie z wysuniętym językiem, a teraz Scarlett na parkiecie, na wprost mnie, tańcząca spokojnie do muzyki i uśmiechnięta, uśmiechnięta.

Przepchnęłam się przez tłum, wciąż trzymając z tyłu sukienkę; myślałam tylko o tym, żeby się stamtąd wydostać, jak najszybciej. Minęłam dziewczyny we wspaniałych sukniach, w obłokach perfum i wód kolońskich, panią Oakley, wicedyrektorę, która przyglądała się wszystkim, szukając ukrytych narkotyków i alkoholu. Przepychałam się, dopóki nie dotarłam do łazienki. Wpadłam do niej i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Pierwszą osobą, którą zobaczyłam, była Melissa Ringley; stała przed szeregiem luster ze szminką w ręce. Spojrzała na moje odbicie i odwróciła się z otwartymi jeszcze ustami, które tworzyły idealną literę O.

– Halley, o rany, co się stało? – Odłożyła szminkę i podeszła do mnie, unosząc brzeg sukni, żeby jej nie pobrudzić. Była to czarna kreacja z szeroką spódnicą i skromnym dekoltem. Zdobił ją tylko mały złoty krzyżyk zawieszony na szyi. – Dobrze się czujesz?

Rzeczywiście wyglądałam żałośnie. Włosy, starannie upięte przez Scarlett we francuski kok, wysunęły się spod spinek i sterczały jak krzywy irokez. Twarz miałam czerwoną, tusz do rzęs rozmazany, a suknię, którą puściłam, rozchyłoną z tyłu. Dwie inne dziewczyny, które poprawiały makijaż, przeszły obok, zerkając na moją bieliznę i cmokając. Wyszły, zostawiając mnie i Melissę same.

– Nic mi nie jest – odpowiedziałam szybko. Podeszłam do umywalki, zwilżyłam papierowy ręcznik i próbowałam coś zrobić z twarzą. Rozpuściłam włosy, z których posypały się spinki. – Okropny wieczór i tyle.

– Uhm. Słyszałam, że Noah się upił. – Ostatnie słowo wypowiedziała szeptem i ukradkiem rozejrzała się dookoła. – Współczuję ci. Co się stało z twoją suknią? O mój Boże, Halley, odwróć się. Spójrz na to!

– Wiem – wycedziłam przez zaciśnięte zęby. Nie mogłam uwierzyć, że Melissa Ringley ogląda mój goły tyłek. – Chcę się stąd wydostać.

– Nie możesz tak wyjść – oznajmiła i zaczęła się wokół mnie krzątać. – Podaj mi te spinki, zobaczę, co się da zrobić.

Gdy Melissa, mamrocząc do siebie, spinała mi suknię, stałam nieruchomo i zastanawiałam się, czy może być gorzej. Okazało się, że tak.

Elizabeth Gunderson miała na sobie czarną obcisłą sukienkę i buty na szpilkach. Usłyszałam ich stukot na zewnątrz, zanim jeszcze otworzyła drzwi i weszła do środka. Zobaczywszy mnie, zmrużyła oczy i zmierzyła mnie wzrokiem od góry do dołu, a potem podeszła do sąsiedniej umywalki i pochyliła się do lustra.

– Hm, powinnaś dzięki temu jakoś dotrzeć do końca balu – oznajmiła wesoło Melissa i stanęła przede mną, wyrzucając niepotrzebne spinki do kosza na śmieci. – Tylko staraj się nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów.

– Dobra – odparłam i spojrzałam na swoje odbicie. Czułam, że Elizabeth mnie obserwuje. Niech sobie chodzi z Maconem, pomyślałam; idealnie do siebie pasują. Ale to nie poprawiło mi nastroju. – Dzięki, Melissa. Naprawdę.

– Och, nie ma za co – zaszczebiotała, poprawiając swojego blond boba. – To należy do moich obowiązków jako organizatorki balu, no nie? – Pogroziła mi palcem i wyszła, a zza drzwi dobiegła muzyka, jakiś wolny kawałek.

Elizabeth, przysuwając twarz do lustra, pociągnęła tuszem rzęsy. Wyglądała na zmęczoną, wręcz wykończoną, tak że teraz ja jej się przyjrzałam. Miała zaczerwienione oczy i za ciemną szminkę, przez co jej usta na tle jasnej cery przypominały ranę.

Ostatni raz spojrzałam na swoje odbicie, stwierdziłam, że więcej w tych okolicznościach nie zdziałam, i odwróciłam się do wyjścia. Nie miałam Elizabeth Gunderson nic do powiedzenia. Ale gdy podeszłam do drzwi, odezwała się nagle.

– Halley.

Odwróciłam się.

– Tak?

Odsunęła się od lustra i przerzuciła włosy na plecy.

– Dobrze się bawisz? – Nie patrzyła na mnie, tylko na torebkę w swoich dłoniach.

Uśmiechnęłam się wbrew sobie.

– Nie. A ty?

Wzięła głęboki oddech, a potem przesunęła palcem po ustach, rozprowadzając szminkę.

– Ja też nie.

Pokiwałam głową, niepewna, co jeszcze powiedzieć, i znowu wyciągnęłam rękę do klamki.

– No to na razie – powiedziałam.

Byłam już prawie za drzwiami i ledwie ją usłyszałam z powodu głośnej muzyki, gdy rzuciła:

– On jest wciąż w tobie zakochany, wiesz? Nie chce się do tego przyznać, ale tak jest. On cię kocha.

Zatrzymałam się i odwróciłam.

– Macon? – spytałam.

– Wypiera się tego – dodała cicho, ale drżał jej głos i przypomniałam sobie, jaka byłam o nią zazdrosna tamtej nocy u Ronniego, kiedy leżała rozciągnięta na łóżku i oglądała sobie paznokcie u stóp. Ale to już należało do przeszłości. – Twierdzi, że nawet o tobie nie myśli, ale ja wiem swoje. Zwłaszcza dziś wieczorem. Kiedy cię zobaczył tam, na sali. Już ja wiem.

– To nic takiego – odparłam i uświadomiłam sobie, że mówię prawdę.

Tak czułam. To nie była miłość.

– A ty nadal go kochasz? – Jej głos dziwnie odbił się echem w łazience, najpierw głośniej, a potem ciszej.

– Nie – odpowiedziałam. Pochwyciłam swoje odbicie w lustrze: potargane włosy, rozerwana sukienka. Widać było nawet bliznę przy oku, w miejscu, gdzie stał się makijaż. Ale to nie miało znaczenia. Czułam się dobrze. – Nie Kocham.

Elizabeth Gunderson odwróciła się od umywalki, przerzucając włosy przez ramię tak jak setki razy wcześniej podczas występów towarzyszących meczom futbolowym. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie dowiedziałam się co, bo gwałtownie otworzyły się drzwi i wpadła Ginny Tabor w różowej sukni, krzycząc od progu:

– Halley! – Zatrzymała się, przykładając dłoń do piersi i łapiąc oddech: – Musisz... musisz iść!

– Dlaczego? – zapytałam.

– Scarlett – wydyszała. Podniosła palec, wciągając powietrze: – Scarlett zaczęła rodzić.

– Co takiego?! – Odwróciłam się szybko i spojrzałam na nią. – Poważnie?

– Przysięgam. Właśnie pozowała z Cameronem do zdjęcia, ja i Brett byliśmy następni w kolejce, gdy błysnął flesz, a ona zrobiła dziwną minę i się zaczęło...

– Z drogi! – wykrzyknęłam.

Wyminęłam ją i wpadłam do stołówki, obiegłam parkiet i ludzi popijających poncz, minęłam orkiestrę i dotarłam do drewnianego mostku, przy którym wszyscy robili sobie zdjęcia. Usłyszałam podekscytowane głosy, zobaczyłam załamującego ręce fotografa z wielkim aparatem i wreszcie dostrzegłam Scarlett z czerwoną twarzą, w otoczeniu zbyt wielu osób, które tłoczyły się przy niej. Na mój widok wybuchnęła płaczem.

– Wszystko w porządku, wszystko w porządku – powiedziałam.

Przepchnęłam się do niej i stanęłam obok Camerona, który straszliwie zbladł. Ktoś wołał, żeby wezwać pogotowie, muzyka ucichła, a ja nie mogłam sobie przypomnieć nawet zasad oddychania, których uczyłyśmy się w szkole rodzenia. Scarlett złapała mnie za dekolt i przyciągnęła do siebie; miała zaskakująco dużo siły.

– Nie chcę pogotowia – powiedziała. – Po prostu zabierz mnie stąd. Nie urodzę dziecka na balu.

– Dobrze, dobrze. – Spojrzałam na Camerona, szukając u niego pomocy, ale wsparty o mostek, wachlował się ręką. Wyglądał gorzej niż Scarlett. – No, to chodźmy.

Pomogłam jej wstać i podtrzymując ją, zaczęłam przepychać się przez tłum. Pani Oakley, która znalazła się przy mnie, mówiła, że już gdzieś zadzwoniła i żebyśmy zostały na miejscu, Ginny Tabor w obłoku różu krzyczała niedaleko, żeby gotować wodę, ale ja czułam tylko rękę Scarlett, która ścisnęła mnie za ramię tak mocno, że ledwie co widziałam. Ale jakoś posuwałyśmy się przed siebie.

– Gdzie Cameron? – spytała między sapnięciami, gdy wyszłyśmy na dziedziniec. – Co z nim?

– Jest gdzieś z tyłu – odparłam, ciągnąc ją za sobą i wciąż czując uścisk jej ręki. – Chyba zrobiło mu się słabo.

– Nie ma na to czasu! – wrzasnęła mi prosto do ucha.

– Wszystko w porządku, wszystko w porządku – powtarzałam i gdy zbliżyłyśmy się do parkingu, nagle przyszło mi do głowy, że nie mamy żadnego środka transportu, bo limuzyna miała przyjechać dopiero o północy.

Byłyśmy już prawie same, bo większość została przy drzwiach stołówki z panią Oakley, która krzyczała coś o tym, że powinnyśmy poczekać na karetkę będącą już w drodze.

– Nie chcę karetki – powtórzyła Scarlett. – Jeśli spróbują mnie do niej zapakować, będę drapała i gryzła.

– Nie mamy samochodu – przypomniałam jej. – Przyjechałyśmy limuzyną, nie pamiętasz?

– Wszystko jedno. – Jeszcze mocniej ścisnęła moje ramię. – Zrób coś!

– Złapię okazję – powiedziałam. Rozejrzałam się po parkingu w poszukiwaniu jakiegoś nieszczęśnika, który by akurat wyjeżdżał. – Nie martw się. Mam wszystko pod kontrolą.

O czymś takim nie pisano w „Seventeen”. Byłyśmy zdane tylko na siebie.

Wtedy zza rogu dobiegł pisk opon, więc stanęłam na palcach i zaczęłam szaleńczo machać ręką, jednocześnie podtrzymując Scarlett.

– Halo! – wołałam. – Proszę się zatrzymać!

– O nie – jęknęła cicho Scarlett. – Odeszły mi wody. Co za wstyd. I już po sukience.

– Proszę się zatrzymać! – wrzasnęłam, gdy samochód się zbliżył. Już zwalniał i oczywiście, kiedy zatrzymał się przy nas, nie miałam wątpliwości, kto siedzi za kierownicą.

– Cześć – powiedział Macon, uśmiechając się do nas. Odblokował drzwi. Tym razem miał lexusa, a obok niego siedziała Elizabeth. – Podrzucić was gdzieś?

– Jasne, że tak! – zawołała Scarlett. – Zgłupiałeś czy co?

– Byłoby miło z twojej strony, dziękujemy – rzuciłam uprzejmie.

Elizabeth sięgnęła do tyłu i otworzyła tylne drzwi. Wsiadłyśmy do samochodu: Scarlett cała lepka, a ja sypiąc wszędzie spinkami, bo zdecydowanie wykonywałam gwałtowne ruchy. Już ruszaliśmy, gdy podbiegł Cameron, więc zatrzymaliśmy się jeszcze, żeby go zabrać; sapał i dyszał, i wciąż był blady.

– Co z tobą? – zapytałam go, kiedy Scarlett wzięła mnie za jeszcze nie całkiem sprawną rękę i uściśnęła tak mocno, że prawie zmiażdżyła mi palce.

– Zemdlałem – odparł cicho.

– Co powiedział? – huknęła Scarlett z mojej drugiej strony.

– Nic takiego – odparłam. – Ma się dobrze. A teraz skupmy się na oddychaniu. Głęboki wdech i wydech...

– Nie chcę oddychać – powiedziała cicho. – Chcę środki przeciwbólowe, i to szybko.

W lusterku wstecznym zobaczyłam, że Macon uśmiecha się do nas, i przypomniało mi się nagle, jak to było, gdy ostatnim razem jechaliśmy razem samochodem, pędząc w stronę miasteczka. Ale nie mogłam teraz o tym myśleć.

– Oddychaj – rzuciłam do Scarlett. – No już.

– Boję się – szepnęła. – O Boże, Halley, to boli.

Uściśnęłam mocniej jej rękę, nie zważając na własny ból.

– Przypomnij sobie, czego nauczyłyśmy się na zajęciach, dobrze? Myśl o czymś, co cię uspokaja. O oceanie, łące z kwiatami, jeziorze w lesie.

– Zamknij się! – warknęła. – O rany, posłuchaj samej siebie.

– Dobrze, w porządku, nie myśl o tym. Przypomnij sobie coś miłego, jak wycieczka na plażę w szóstej klasie, pamiętasz? Wtedy, kiedy poparzyła cię meduza.

– To ma być miłe? – Miała spocone czoło i gorącą rękę.

Staralam się nie okazywać strachu, ale to nie było łatwe.

– Jasne, że tak – odparłam. Macon wciąż spoglądał na mnie, gdy pędziliśmy Main Street, ale ja nie zwracałam na niego uwagi i mówiłam dalej: – A pamiętasz, jak każdego lata piekłyśmy ciastka u ciebie w kuchni i tańczyłyśmy do muzyki z radia? I to ostatnie lato z Michaeliem, wyprawę nad jezioro i...

– Kiwi – rzuciła, wciągając powietrze.

Cameron obok mnie wyglądał, jakby znowu miał zemdleć.

– Właśnie – powiedziałam, gotowa ucześcić się wszystkiego – kiwi. Pamiętasz tamten dzień, kiedy dostałaś prawo jazdy? I pierwsze, co zrobiłaś, to wpadłaś do mojego domu, przez drzwi od garażu? Pamiętasz?

– Twój tata powiedział, że inni zaczynają od stłuczek – powiedziała ochryple, wciąż ściskając mnie z rękę. – Ale ja jestem wyjątkowa.

Światła szpitala były coraz bliżej. Gdzieś niedaleko usłyszałam sygnał

karetki pogotowia.

– Tak powiedział. – Odgarnęłam wilgotne włosy z jej czoła. – Trzymaj się, Scarlett, dobrze? Jesteś już prawie na miejscu. Trzymaj się.

Jeszcze mocniej ścisnęła mi rękę i zamknęła oczy.

– Nie zostawiaj mnie, dobrze? Obiecuj, że nie zostawisz.

– Obiecuję – odpowiedziałam w chwili, kiedy zajechaliśmy na parking, mijając wejście na pogotowie. – Będę przy tobie.

W środku wetknęli mi do ręki plik formularzy, posadzili Scarlett na wózku i przewieźli ją przez dwuskrzydłowe drzwi, zostawiając mnie i Camerona w izbie przyjęć, z grupą skautów, którzy mieli wypadek na obozie, starszym panem z rozciętym czołem i krzyczącą po hiszpańsku kobietą z dzieckiem na biodrze. Cameron usiadł, wsadził głowę między kolana, a ja, po wypełnieniu formularzy, poszłam do automatu telefonicznego, żeby zadzwonić do Marion.

Oczywiście nie było jej w domu. Bawiła się na turnieju albo na średniowiecznych tańcach, czy co tam robili z Władem w weekendy. Telefon dzwonił i dzwonił, aż włączyła się automatyczna sekretarka. W następnej kolejności zrobiłam więc to, co podpowiadała mi intuicja. Zatelefonowałam do matki.

– Halley? – rzuciła, gdy tylko się odezwałam. – Gdzie jesteś? Właśnie dzwoniła pani Vaughn. Powiedziała, że Noah leżał pijany na parkingu i Norman musiał pojechać, żeby odebrać go od dyrektorki. Wpadła w histerię. Nikt nie wie, co się z tobą stało...

– Mamo...

– Mam nadzieję, że nie piłaś, nie wiem, co wstąpiło w Noah, nigdy wcześniej się tak nie zachowywał, Norman się wściekł, widocznie...

– Mamo – powtórzyłam, tym razem głośniej. – Dziecko jest w drodze.

– Dziecko? – Nagle zapadła cisza. – Teraz? W tej chwili?

– Tak. – Obok mnie skauci walili w automat ze słodyczami, wyrzekając, że zostali okantowani, a Cameron siedział z zamkniętymi oczami, kuląc się na plastikowym krześle. – Jestem w szpitalu, właśnie zabrali Scarlett. Nie mam w tej chwili czasu wyjaśniać, co się stało Noah, jasne? Nie mogę skontaktować się z Marion, więc kiedy wróci do domu, powiedz jej, gdzie jesteśmy. I żeby szybko przyjechała.

– Czy ze Scarlett wszystko w porządku?

– Boi się – odparłam. Pomyślałam, że jest sama tam, gdzie ją zabrali, a przecież obiecałam, że bez względu na wszystko będę przy niej. – Muszę kończyć, dobra? Zadzwonię później.

– Dobrze, kochanie. Daj znać, co i jak.

– Zgoda. – Odwiesiłam słuchawkę i wróciłam biegiem na izbę przyjęć, ciągnąc za sobą suknię z jedną tylko spinką, która trzymała ją razem.

Przechodząc obok wejścia, zobaczyłam Macona i Elizabeth, którzy siedzieli w samochodzie. Rozmawiali, Macon poruszał ustami i ze złością machał palcem. Elizabeth patrzyła przez okno, z przewieszoną przez szybę ręką, w której trzymała papierosa. Nawet mnie nie widziała.

Podeszłam do recepcji i powiedziałam, że jestem siostrą Scarlett i że chodziłam z nią do szkoły rodzenia. Zaprowadzono mnie za podwójne drzwi do sali, w której znajdowała się Scarlett, podłączona do urządzenia monitorującego funkcje życiowe dziecka.

– Gdzie się podziewałaś?! – zawołała, gdy tylko się pojawiłam. Trzymała w dłoni plastikowy woreczek z lodem i była w zielonej koszuli, a jej suknia balowa leżała rzucona na krzesło w kącie. – Ja tu umieram ze strachu, Halley, a ty znikasz.

– Nie zniknęłam – odparłam delikatnie. – Dzwoniłam do Marion i załatwiałam sprawy w recepcji. Już jestem.

– To dobrze – skwitowała. – Bo naprawdę potrzebuję... – Urwała i usiadła prosto, trzymając się za brzuch.

Wydała niski, gardłowy jęk, coraz wyższy, a ja tylko na nią patrzyłam i nie poznawałam jej twarzy. W jednej chwili zrozumiałam, że sobie nie poradzę.

Drzwi za mną się otworzyły i weszła lekarka, pogodna i spokojna, która bez pośpiechu podeszła do fotela porodowego, podczas gdy Scarlett sapała, szukając mojej dłoni, którą natychmiast ścisnęła tak mocno, jakby chciała pogruchotać mi kości.

– Wygląda na to, że poród już się zaczął – powiedziała pani doktor, biorąc kartę wiszącą na ramie fotela.

– Na to wygląda – wydyszała Scarlett. – Czy mogę dostać jakieś środki?

– Za chwilę – odparła lekarka. Podniosła okrywające Scarlett prześcieradło i umieściła jej nogi na podnóżkach. – Zobaczmy, na jakim etapie jesteśmy.

Chwilę badała Scarlett, która tymczasem miażdżyła mi rękę.

– W porządku – powiedziała, opuszczając z powrotem prześcieradło. – Jesteśmy blisko. To nie powinno już długo potrwać, więc się odpręż i skup na oddychaniu z partnerką. Resztę zostaw nam.

– A co ze znieczuleniem? – spytała niecierpliwie Scarlett. – Mogę je dostać?

– Zaraz kogoś przyślę. – Lekarka uśmiechnęła się do nas. – Nie martw się, kochanie. Zanim się zorientujesz, będzie po wszystkim. – Włożyła kartę na miejsce, zatknęła długopis za ucho i wyszła, machając do nas po drodze.

– Nienawidzę jej – oświadczyła Scarlett z przekonaniem, trzymając w ustach lód. – Naprawdę.

– Oddychajmy – zaproponowałam, przyciągając sobie krzesło do fotela. – Głęboki wdech, dobra?

– Nie chcę oddychać – warknęła. – Chcę odpłynąć, całkowicie, nawet gdyby mieli mnie czymś zdzielić po głowie. Nie wytrzymam tego, Halley. Nie

wytrzymam.

– Wytrzymasz – oznajmiłam surowo. – Jesteśmy na to przygotowane.

– Łatwo ci mówić. – Zassała lód. – Ty musisz tylko przypominać mi o oddychaniu i stać przy mnie. Przypadła ci łatwiejsza część.

– Scarlett. Pozbieraj się.

Podniosła się na łóżku, wypluwając resztki kostek lodu.

– Nie mów mi, żebym się trzymała, dopóki sama nie poznasz tego bólu, bo nie przypomina niczego... – Nagle zamilkła i zbladła, bo nadszedł kolejny skurcz.

– Oddychaj – poleciłam jej i sama zaczęłam robić to samo: głęboki wdech, wydech. – No, dalej.

Ale ona tylko jęczała, wydając tak niepokojące odgłosy, że cofnęłam się od fotela, śmiertelnie przestraszona. Myliłam się. Nie byliśmy na to przygotowane. To była poważna sprawa, która zdecydowanie nas przerastała, i nagle zrozumiałam, jak musiał się czuć Cameron. Pożałowałam, że nie jestem w poczekalni, ze skautami i automatem ze słodyczami, że nie krążę tam i nie czekam, żeby zapalić cygaro.

– Zostań tutaj – powiedziałam do niej, cofając się jeszcze bardziej, krok po kroku, aż nagle przestała jęczeć i popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. – Będę...

– Nie wychodź! – wykrzyknęła. Próbowwała usiąść, sięgając do poręczy fotela.

Ale ja już znalazłam się za drzwiami, nagle sama na korytarzu. Za plecami, w miejscu, gdzie miałam rozdartą suknię, poczułam zimną ścianę. Próbowalam opanować strach. Słyszałam za drzwiami jęczącą Scarlett. Nie mogłam się pozbierać w chwili, gdy najbardziej mnie potrzebowała.

Potem to usłyszałam. Dźwięk zbliżających się kroków, coraz głośniejszych, rzeczowe i konkretne tup, tup, tup, dochodzące zza rogu. Spojrzałam na lewo i zobaczyłam moją matkę z torebką pod pachą i wzrokiem skierowanym przed siebie.

– Gdzie ona jest? – zapytała, zbliżywszy się do mnie i wetknąwszy torebkę pod drugie ramię.

– Tam – odparłam. – Panikuje.

– To chodźmy do niej. – Wyciągnęła rękę do klamki, ale ja nie ruszyłam się z miejsca, tylko jeszcze bardziej przywarłam do ściany. – Halley? Co jest?

– Nie mogę – odpowiedziałam dziwnie wysokim głosem. – To szaleństwo, ona cierpi, a ja...

– Kochanie. – Popatrzyła na mnie. – Powinnaś być przy niej.

– Nie mogę – sprzeciwiłam się przez ściśnięte gardło. – Nie poradzę sobie z tym.

– Trudno – odrzekła po prostu. Chwyciła mnie za ramię i pchnęła w stronę

drzwi. – Scarlett na ciebie liczy. Nie możesz jej zawieść.

– W żaden sposób jej nie pomogę, nie chciałaby mnie tam, jestem w rozszypce – mamrotałam, ale matka już otwierała drzwi, pchając je wolną ręką.

– Jesteś jedyną osobą, którą tam chce – oznajmiła i chwilę później z jej ręką na ramieniu szłam już w stronę fotela porodowego.

Scarlett ścisnęła w dłoniach prześcieradło, a po policzkach spływały jej łzy.

– Cześć, kochanie – powiedziała matka. Podeszła do łóżka i pogłaskała Scarlett po głowie. – Świetnie sobie radzisz. Po prostu świetnie.

– Czy jest tam Marion? – spytała Scarlett.

– Jeszcze nie, ale Brian został w domu i na nią czeka. Wkrótce przyjedzie. Nie martw się. Jak możemy ci pomóc?

– Tylko mnie nie zostawiajcie – szepnęła Scarlett, kiedy matka usiadła przy niej, odkładając torebkę na krzesło, na którym leżała suknia. – Nie chcę być sama.

– Nie będziesz. – Matka znacząco spojrzała na krzesło po drugiej stronie łóżka, więc zajęłam je zawstydzona. – Jesteśmy przy tobie.

Popatrzyłam na fotel, zmęczoną, błyszczącą od potu twarz Scarlett i moją matkę, która szeptała jej coś do ucha. I zrozumiałam, jakie słowa jej mówi; słyszałam je po wszystkich koszmarach sennych, wypadkach na łyżwach i deskorolkach, za każdym razem, gdy wredoty ścigały mnie na swoich różowych rowerach. Patrzyłam, jak matka robi to, co umie najlepiej, i dotarło do mnie, że nigdy nie zdołam całkowicie się od niej odciąć. Niezależnie od tego, czy byłam słaba, czy silna, stanowiła część mnie, tak samo ważną jak serce. I zrozumiałam, że nigdy w życiu nie stanę się na tyle silna, żeby obyć się bez niej.

Rozdział 19

Pani doktor spojrzała na nas i pokiwała głową.

– Już blisko, Scarlett, widzę główkę. Jeszcze tylko trochę wysiłku i dziecko przyjdzie na świat, więc się przygotuj, dobrze?

– Już niedługo – szepnęłam do niej i mocniej ścisnęłam ją za rękę. – Jeszcze chwila.

– Świetnie ci idzie – powiedziała moja matka. – Jesteś bardzo dzielna. Dzielniejsza, niż ja byłam.

– To dzięki znieczuleniu – zauważyłam. – Od tamtej pory idzie jak po maśle.

– Przymknij się – warknęła Scarlett. – Przysięgam, że zabiję cię, kiedy już będzie po wszystkim.

– Jeszcze jedno porządne parcie! – poleciła lekarka. – Przygotuj się!

– Oddychaj – szepnęłam do niej i sama zaczerpnęłam powietrza. – Oddychaj.

– Oddychaj – powtórzyła za mną matka jak echo. – No, kochanie. Dasz radę.

Scarlett zapała się o mnie, wykręcając mi rękę. Twarz jej nabrzmiała, a usta się otworzyły, gdy zaczęła mocno przeć, jak jeszcze nigdy tej nocy, zbierając resztki sił.

– Idzie, idzie. – Lekarka uśmiechała się z podnieceniem. – Przyj, Scarlett, jeszcze trochę...

Scarlett znowu zaczęła przeć, a lekarka wyciągnęła ręce, manewrowała nimi... i nagle zobaczyłam, że coś trzyma – coś małego, czerwonego i śliskiego z wierzgającymi nóżkami i maleńką buzią, która otworzyła się i zaczęła kwilić cieniutkim głosem.

– To dziewczynka – powiedziała lekarka.

Pielęgniarki wytarły dziecko, przemyły mu buzię i włożyły je Scarlett w ramiona, tuż przy piersi. Scarlett, płacząc, spojrzała na nie i zamknęła oczy. Mała była z nami od tamtego lata, rosła i rosła, i oto znalazła się na świecie, realna jak my.

– Dziewczynka – odezwała się Scarlett czule. – Wiedziałam.

– Jest śliczna – powiedziałam do niej. – Ma moje oczy.

– I moje włosy – dodała. Wciąż płacząc, pogłaskała dziewczynkę po główce, na której widać było rudy meszek. – Popatrz.

– Powinnaś być dumna – orzekła moja matka. Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć ślicznej główki. – Bardzo dumna. – Spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Dam jej na imię Grace – odparła Scarlett. – Grace Halley.

– Halley? – Zdumiałam się. – Nie żartuj.

– Nie żartuję. – Ucałowała dziecko w czółko. – Grace Halley Thomas.

Spojrzałam znowu na Grace i poczułam uniesienie. Symbolizowała cały nasz

ostatni rok, od lata z Michael'em do zimy z Maconem. Wiedziałem, że nigdy tego nie zapomnimy.

Scarlett promieniała; kołysała Grace w ramionach i całowała po kolei wszystkie jej paluszki, u rącek i nóg, pytając każdego, czy widział piękniejszego noworodka. (Nikt nie widział.) Kiedy już nacieszyliśmy się dziewczynką i Scarlett zasnęła, wyszłam do poczekalni, żeby przekazać wiadomość. Widok, który ujrzałam, kiedy wyszłam zza automatów i wodotrysków z pitną wodą, sprawił, że stanęłam jak wryta.

W poczekalni było tłoczno i kolorowo. Po jednej stronie, pod drzwiami pogotowia, zebrała się co najmniej połowa naszej klasy, w sukniach balowych i smokingach; stali oparci o ściany albo siedzieli na tanich plastikowych kanapach. Byli tam Ginny Tabor i Brett Hershey, dziewczyny z grafiki użytkowej i ich chłopcy, Melissa Ringley, a nawet Maryann Lister, a poza tym tabuny innych ludzi, których nie znałam. Wszyscy odstawieni, w oczekiwaniu na nowiny jedli batony czekoladowe i gawędzili. Nie widziałam Elizabeth Gunderson, ale zauważyłam Macona; oparty o automat ze słodyczami rozmawiał z Cameronem, który wreszcie odzyskał kolory na twarzy.

A po drugiej stronie poczekalni, oddzieleni krzesłami i współczesnością, stali Wład, zdyszana Marion i co najmniej dwudziestu innych rycerzy z damami w średniowiecznych strojach. Niektórzy z panów nosili tarcze i miecze. Jeden nawet miał na sobie kolczugę, którą podzwaniał, gdy krążył tam i z powrotem.

Nagle wszyscy mnie zobaczyli.

Marion przebiegła przez pomieszczenie z suknią szeleszczącą wokół stóp, a za nią ruszyli Wład i kilku innych rycerzy. Pielęgniarka z recepcji przewróciła oczami, gdy ją minęłam, wychodząc naprzeciw spieszącej z jednej strony Marion oraz Cameronowi i Ginny Tabor z drugiej. Za spowitą w róż Ginny podążała gromada dziewczyn w pastelach i chłopców w czerni, deptając sobie po piętach. Pozostali zamilkli, wstawali z krzeseł i podchodzili do mnie, patrząc mi badawczo w twarz.

– I co? – zapytała Ginny, zatrzymując się przede mną.

– Jak ona się ma? – chciała wiedzieć Marion. – Właśnie przyjechałam, późno wróciłam do domu...

– Wszystko z nią w porządku? – dodał Cameron. – Tak?

– Scarlett ma się dobrze – odpowiedziałam i uśmiechnęłam się do niego. Zwróciłam się do zebranych, uczestników balu, dam, rycerzy i wojowników, nie mówiąc już o dziwnych skautach i ochroniarzu, którzy taktownie trzymali się w pewnej odległości. – To dziewczynka.

Ktoś zaczął klaskać i wiwatować, a chwilę potem wszyscy mówili już jeden przez drugiego i klepali się nawzajem po plecach, panowie w smokingach zmieszali się z rycerzami, podając sobie ręce i wymieniając uściski. Marion poszła

zobaczyć wnuczkę, Cameron ruszył za nią, a Ginny Tabor pocałowała na pokaz Bretta Hersheya. Pielęgniarka poleciła, by wszyscy się uciszyli, ale nikt jej nie słuchał, ja zaś tylko stałam i chłonełam ten widok z uśmiechem, starając się wszystko zapamiętać, żeby potem opowiedzieć to dokładnie Scarlett – i Grace.

Później odesłałam matkę do domu i zostałam przy Scarlett, patrząc, jak śpi. To była nasza szczególna noc, choć w innym sensie, niż się spodziewaliśmy. Byłam tak podekscytowana narodzinami dziecka i tym, co będzie dalej, że miałam ochotę ją obudzić i omówić z nią wszystko już teraz, ale wydawała się taka spokojna, więc się wstrzymałam. Wychodząc, zjrzałam do Grace, skuloną w łóżeczku. Przytknęłam rozłożoną dłoń do szyby, aby dać jej znać, że jestem.

Zeszłam po schodach i opuściłam szpital, żeby wrócić do domu. Chciałam przebyć tę drogę sama.

Zdjęłam buty i okręciwszy ich paski wokół nadgarstka, ruszyłam chodnikiem. Nie myślałam o Maconie ani matce czekającej na mnie w domu, ani nawet o Scarlett, śpiącej za jednym z tych rozświetlonych szpitalnych okien. Idąc bosy do domu, w sukni balowej (spiętej prowizorycznie), myślałam tylko o Grace Halley.

Zastanawiałam się, jaką będzie dziewczyną i czy kiedykolwiek zobaczy kometę, od nazwy której dostała imię, po mnie i babci Halley. Wiedziałam, że któregoś dnia wezmę ją na kolana, pokażę niebo i powiem, że jest wyjątkowa, czysta i piękna jak przelatująca w górze kometa. Miałam nadzieję, że Grace przejmie od nas to, co najlepsze: ducha Scarlett, siłę mojej matki, determinację Marion, poczucie humoru Michaela. Nie bardzo wiedziałam, co może wziąć po mnie, jeszcze nie. Ale byłam pewna, że kiedy powiem jej o komecie, za kilka lat, już będzie wiedziała. Pochylę się do jej ucha i wypowiem słowa, których nikt inny nie usłyszy i które wyjaśnią wszystko. Będzie to język pociechy, komet i dziewczyn, którymi się w końcu staniemy.

[1] Nawiązanie do popularnego poematu dla dzieci autorstwa Eugene'a Fielda.

Tytuł oryginału: *Someone Like You*

Pierwsze wydanie: Viking, a member of Penguin Putnam Inc., 1998

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Małgorzata Pogoda

Opracowanie redakcyjne: Anna Kubalska

Korekta: Jolanta Nowak

© 1998 by Sarah Dessen

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2016

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Viking Children's Books, an imprint of Penguin Young Readers Group, a division of Penguin Random House LLC.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC.

Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Trevillion Images.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-1791-0

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.

